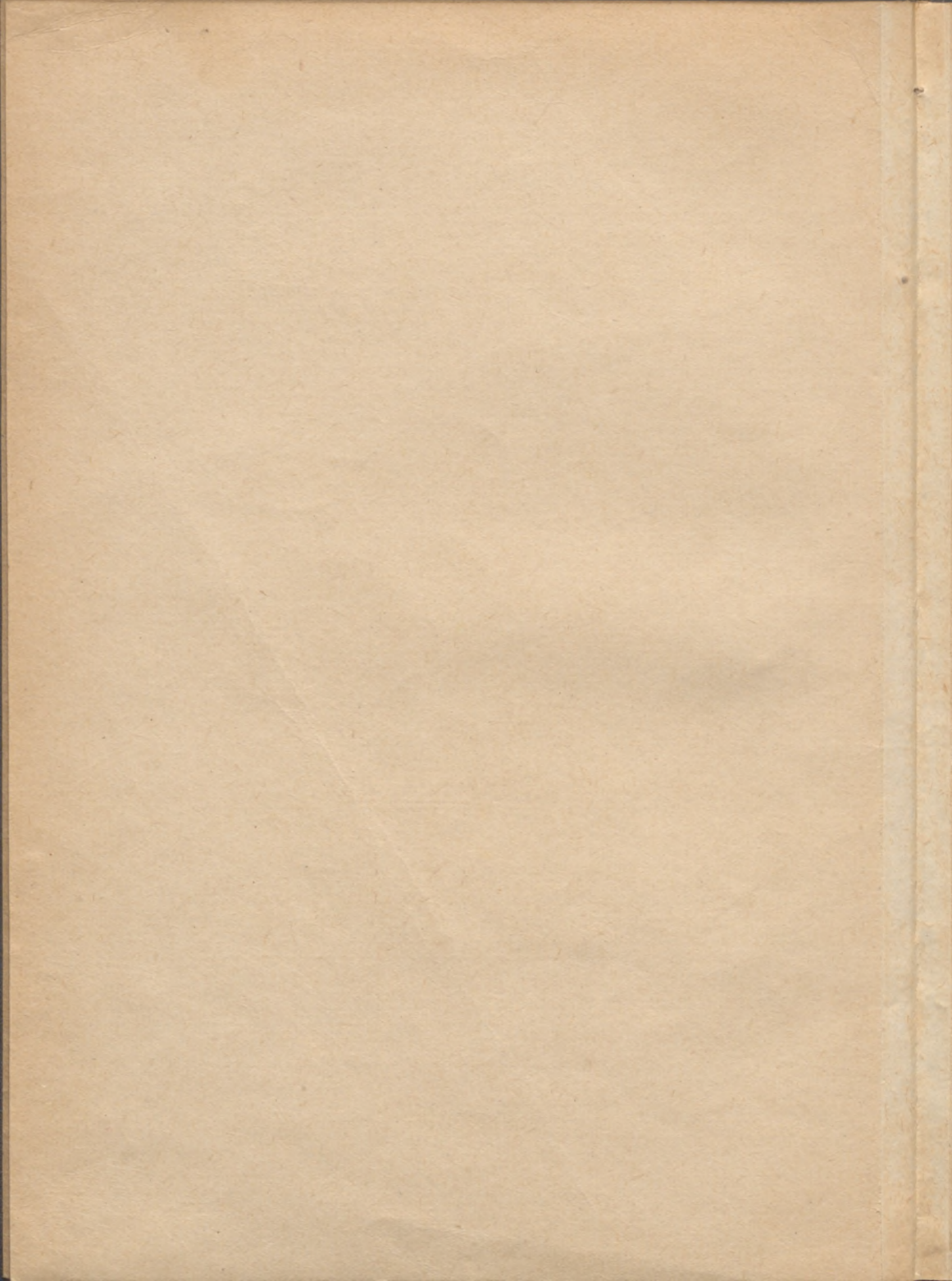


MAUPASSANT

# WŁÓCZĘGA



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

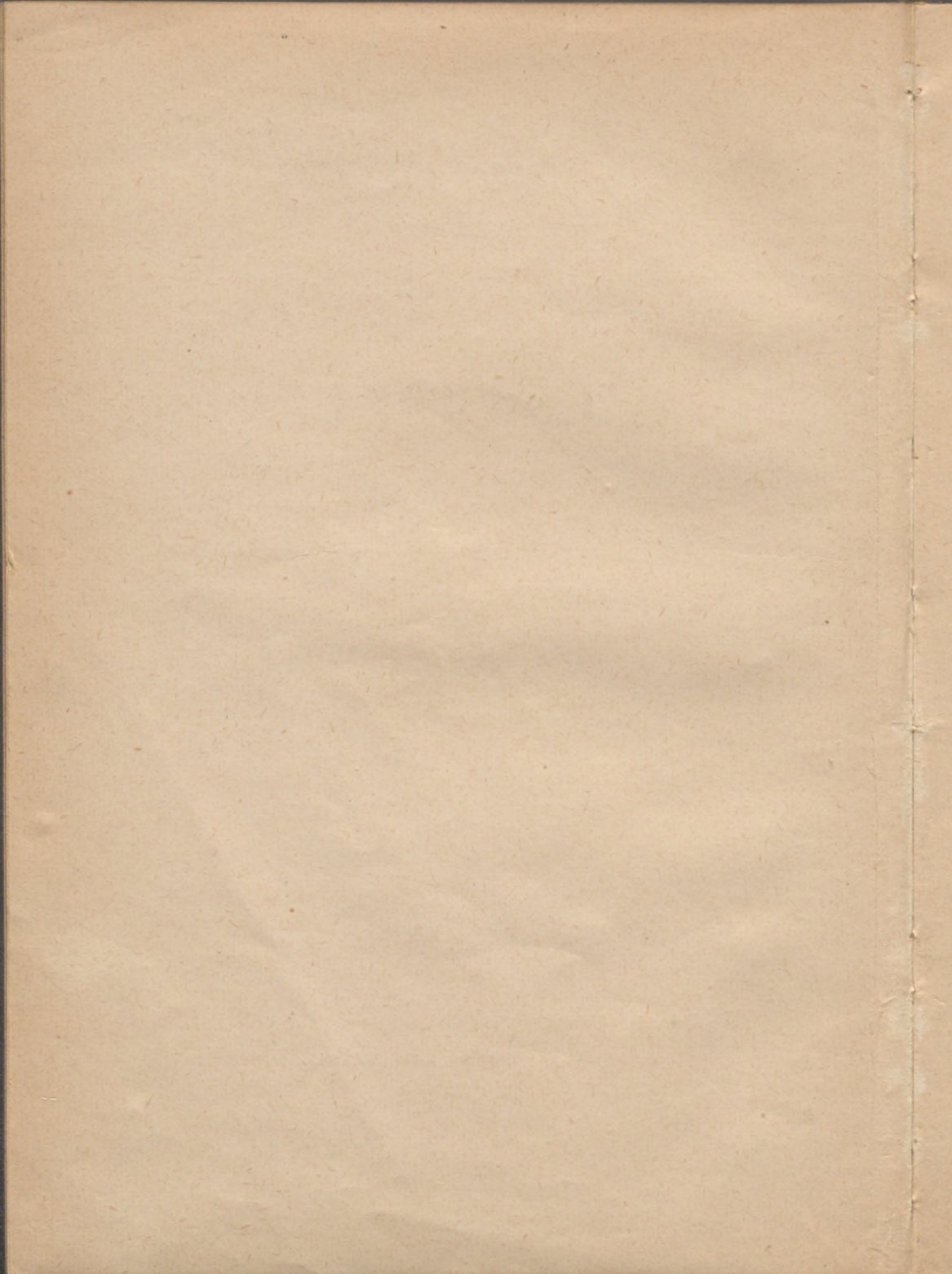




MAUPASSANT

\*

WŁÓCZĘGA





GUY DE MAUPASSANT

# WŁÓCZĘGA

*Opowiadania*



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

---

WARSZAWA 1949

„Książka i Wiedza”, Warszawa  
Printed in Poland  
Kwiecień 1949 rok

\*

Przekład  
MARII FELDMAN'OWEJ

\*

Okladkę projektował  
MIECZYSLAW PIOTROWSKI

E.O.1336/49

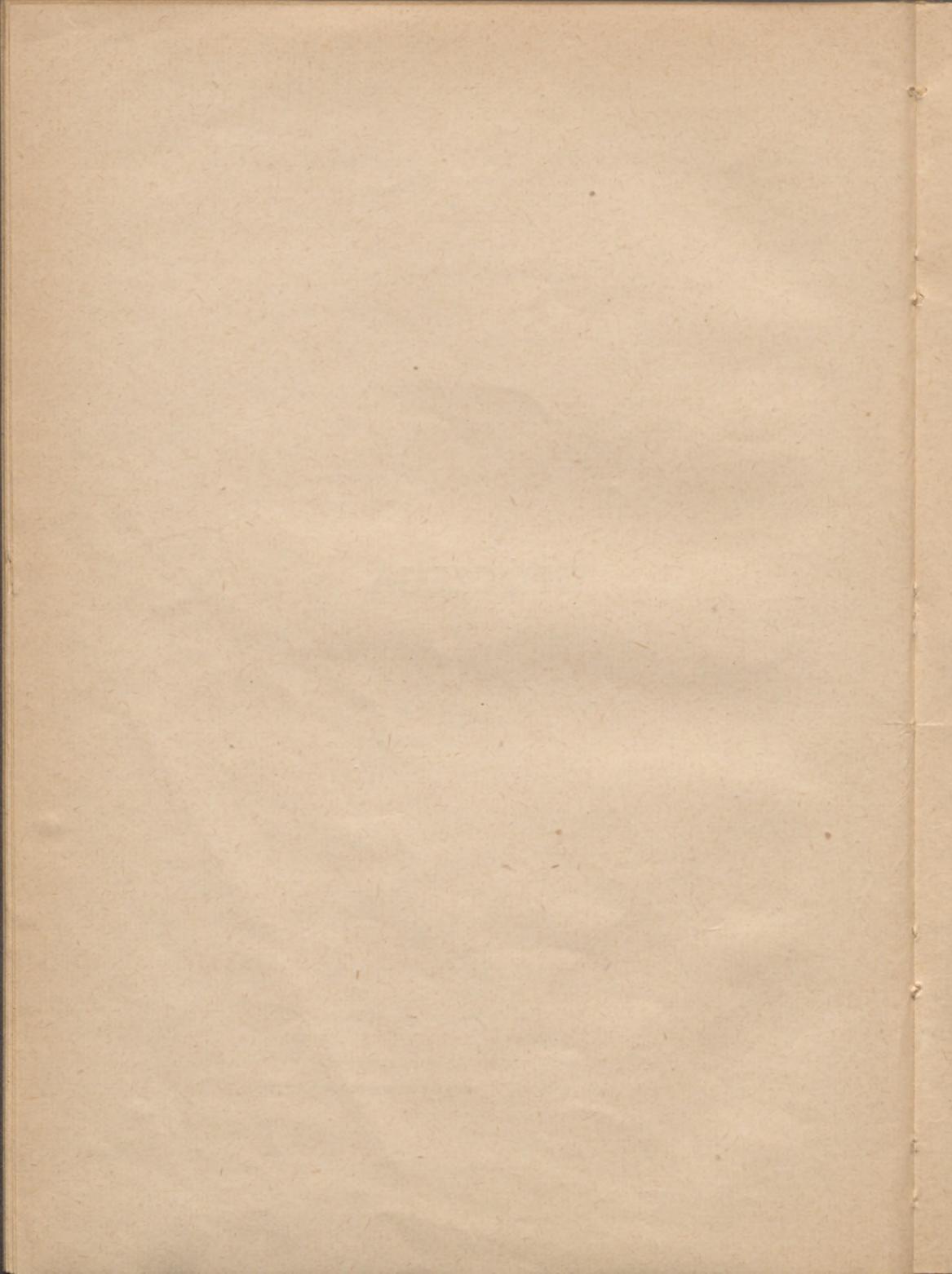


F 37826

Tłoczono 15370 egzemplarzy  
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Wałbrzychu  
Obj. 12 ark. Papier druk. sat. V kl. 70 g. 61×86 cm.



WŁÓCZĘGA





Szedł od czterdziestu dni szukając wszędzie roboty. Opuścił swoje strony, Ville-Avaray, gdyż nie było tam zajęcia. Z fachu pomocnik ciesielski, mocny i pracowity dwudziestosiedmioletni mężczyzna, przez dwa miesiące był na utrzymaniu rodziny; będąc najstarszym synem musiał siedzieć z założonymi rękoma wskutek ogólnego bezrobocia. Chleb coraz rzadziej pojawiał się w domu; obydwie siostry chodziły na dniówkę, lecz zarabiały bardzo mało; a on, Jakub Randel, najsilniejszy, nie robił nic i objadał rodzinę, ponieważ nie było roboty.

Poszedł zasięgnąć wiadomości w urzędzie gminnym. Sekretarz powiedział mu, że w głębi kraju można znaleźć zajęcie.

Ruszył więc w drogę zaopatrzony w papiery i świadectwa, z siedmiu frankami w kieszeni, niosąc na kiju przerzuconym przez ramię zapasową parę butów, koszulę i spodnie, wszystko zawinięte w niebieską chustkę.

Szedł tak bez wytchnienia, dniem i nocą, po nie kończących się drogach, w upał i deszcz, nie mogąc dotrzeć do tego tajemniczego kraju, gdzie robotnik może znaleźć zajęcie.

Z początku upierał się, że jako cieśla będzie pracował tylko przy ciesielce. Tymczasem gdziekolwiek się zgłosił, odpowiadano mu zawsze, że właśnie odprawiono robotników z powodu braku zajęcia; wobec tego, nie ma-

jąc już ani grosza w kieszeni, postanowił przyjąć każde zatrudnienie, jakie się nadarzy.

Kolejno więc pracował jako robotnik ziemny, fernal, kamieniarz; rąbał drwa, ścinał drzewa, kopał studnie, był pomocnikiem murarskim, wiązał chrust, pasł kozy na górach, a wszystko to za parę centymów dziennie, gdyż zdarzało się, że przez dwa lub trzy dni pozostawał bez zajęcia, a wówczas musiał się wynajmować za lichą zapłatę, kuszącą skąpych majstrów i wieśniaków.

Od tygodnia nie znajdował już żadnego zajęcia, nie miał grosza przy duszy, a odżywiał się odrobiną chleba wyżebranego od litościwych kobiet, do których się zwracał przechodząc koło ich mieszkań.

Wieczór zapadał, a Jakub Randel, wyczerpany, ze zbolalymi nogami, pustym brzuchem i rozpaczą w duszy szedł boso po trawie wzdłuż drogi, szanując drugą parę obuwia, gdyż z pierwszej nie pozostało już śladu. Była sobota, schyłek jesieni. Szare chmury przewalały się po niebie, ciężkie i szybkie, pędzone wicherą świszczącą wśród drzew. W powietrzu wisiał deszcz. Na polach o tej porze dnia nie było widać ludzi. Tu i ówdzie wznosiły się, niby potworne żółte grzyby, brogi słomy, a obsiana już na przyszły rok ziemia wydawała się naga.

Randel był głodny, głodny jak zwierzę, trawiony tym straszliwym głodem, który zmusza wilki do rzucania się na ludzi. Osłabiony wyciągał nogi, aby robić mniej kroków; głowę miał ciężką, krew huczała mu w skroniach; z oczami czerwonymi i zaschlými ustami ścisnął w rękę swój kij z nieokreśloną chęcią obicia nim pierwszego napotkanego człowieka wracającego do domu na wieczерze.

Szedł skrajem drogi, mając przed oczyma wizję kartofli wykopanych i pozostawionych w zoranej ziemi. Gdyby znalazł kilka, nabierałby suchych gałęzi, rozniecił



ogień w rowie i posiliłby się doskonale ziemniakami, przedtem ogrzawszy ich ciepłem zziębnięte ręce.

Ale jesień była już późna i będzie musiał poprzestać, podobnie jak wczoraj, na surowym buraku wyrwanym z bruzdy.

Od dwóch dni mówił do siebie głośno, opętany dręczącymi myślami. Nigdy dotąd nie myślał, zużytkowując cały swój umysł i skromne zdolności w pracy zawodowej. Teraz jednak straszliwe zmęczenie, ustawiczna pogoń za nieosiągalną robotą, szorstkie odmowy, noce spędzone na polu, głód, pogarda okazywana włóczędze przez ludzi osiadłych, wciąż zadawane mu pytanie: „Czemuś nie został w swojej wsi?“, niemożność zajęcia swoich silnych ramion, wspomnienie rodziców, którzy pozostali w domu bez pieniędzy — wszystko to razem napełniało go zwołna gniewem, wzbierającym z każdym dniem, z każdą godziną, niemal co minutę i wrywającym mu się z ust wbrew jego woli i wiedzy w krótkich obelżywych słowach.

Potykając się o kamienie, kaleczące mu bose nogi, mruczał:

— Ach, co za nędza... Przeklęte świnie... Dać zdychać z głodu człowiekowi... cieśli... Świnie... Nie mieć dwudziestu centymów... Głupich dwudziestu centymów... I deszcz już leje... Świnie podłe...

Oburzał się na niesprawiedliwość losu, obwiniając ludzi, wszystkich ludzi za to, że natura, ta wielka ślepa matka, jest ślepa, nieubłagana, surowa i podstępna.

Zaciskał zęby i powtarzał: „świnie przeklęte!“, patrząc na wąskie szare dymki wzbijające się nad dachami o tej porze wieczornego posiłku. I nie zastanawiając się nad inną niesprawiedliwością, niesprawiedliwością ludzką, która się nazywa gwałtem i kradzieżą, miał ochotę wtargnąć do jednego z tych domostw, zamordować mieszkańców i zająć ich miejsce przy stole.

Mruczał:

— Chyba nie mam prawa żyć, skoro dają mi zdychać z głodu... Chcę przecież roboty... Swinie przekłete!

I ból wszystkich członków, ból brzucha, ból serca uderzał mu do głowy jak niebezpieczny trunek, rodząc tę prostą myśl w mózgu:

— Mam prawo żyć, jeżeli oddycham, a powietrze należy do wszystkich. Więc nie mają prawa dać mi ginąć z głodu!

Deszcz padał drobny, gęsty, lodowaty. Przystanął mruczając:

— Co za nędza... Jeszcze cały miesiąc drogi do domu...

Bo wracał teraz do domu zrozumiałwszy, że łatwiej znajdzie jakiegokolwiek zajęcie w rodzinnych stronach, gdzie go znali, niż tułając się po świecie, podejrzewany przez wszystkich.

Skoro cieszka nie idzie, zostanie wyrobnikiem, będzie rozrabiać wapno albo tłuc kamienie. Jeżeli nawet nie zarobi więcej niż franka dziennie, to w każdym razie nie będzie cierpieć głodu.

Obwiązał szyję strzępami ostatniej chustki, żeby zimny deszcz nie ściekał mu na plecy i pierś. Niedługo jednak uczuł, że cienkie płótno ubrania zaczyna przemakać. Rzucił wokoło niespokojne spojrzenie zabląkanego człowieka, który nie wie już gdzie ukryć swe ciało, gdzie złożyć głowę, który na całym świecie nie ma gdzie się schronić.

Noc zapadała, okrywając pola mrokiem. W pewnej odległości dostrzegł na łące czarną plamę — była to krowa. Przesadził rów i zaczął iść ku niej, nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co czyni.

Gdy podszedł bliżej, podniosła ku niemu swoją ciężką głowę. Pomyślał: — Gdybym miał garnek, mógłbym się napić trochę mleka.



Patrzył na krowę, a krowa na niego, po czym kopnąwszy ją w bok zawołał:

— Wstawaj!

Zwierzę dźwignęło się powoli, z ciężko zwisającymi wymionami; wówczas ułożywszy się na plecach między jej nogami zaczął pić długo, długo, oburącz wyciskając pełne wymiona, ciepłe, zalatujące oborą. Pił, dopóki nie skończyło się mleko w tym żywym źródle.

Ale lodowaty deszcz stawał się coraz gęstszy, a cała równina dokoła była naga i nie dawała schronienia. Czuł zimno i chciwie wpatrywał się w światelka jakiegoś domu migocące poprzez drzewa.

Krowa znów się ułożyła, ciężko opadając na brzuch. Siadł obok niej, gładząc ją po głowie, pełen wdzięczności za to, że go nakarmiła. Silny oddech zwierzęcia, skraplając się w wieczornym powietrzu w dwa kłęby pary wychodzące z nozdrzy, owiewał twarz wyrobnika.

— Nie zimno ci tam w środku, co? — mruknął.

Wsunął ręce pod jej wymiona, aby je rozgrzać. I przyszło mu na myśl, czy nie dobrze byłoby ułożyć się i spędzić noc przy ciepłym, grubym brzuchu krowim. Wyszukał sobie najdogodniejszą pozycję, tuląc czoło do potężnego wymienia, które dopiero co wydoił. Potem jakby zwalony zmęczeniem zasnął od razu.

Raz po raz budził się jednak, mając zlodowaciałe plecy lub brzuch, zależnie od tego, którą częścią przytulał się do krowy; wówczas przewracał się, aby rozgrzać i osuszyć część ciała wystawioną na deszcz i chłód nocy, po czym znów zapadał w ciężki sen.

Wstał zbudzony pianiem koguta. Nastawał świt, deszcz przestał padać, niebo było pogodne.

Krowa położywszy pysk na ziemi wypoczywała; pochylił się i wsparty na rękach ucałował jej szerokie, wilgotne nozdrza.

— Bywaj zdrowa... dobre z ciebie stworzenie... Do widzenia....

Potem włożył buty i ruszył w dalszą drogę.

Przez dwie godziny szedł przed siebie, ciągle w tym samym kierunku; następnie ogarnęło go takie znużenie, że usiadł na trawie.

Dzień już był jasny; dzwony w kościołach dzwoniły, mężczyźni w błękitnych bluzach i kobiety w białych czepcach zaczęli się pojawiać na drodze pieszo i na wózkach, zdążając w sąsiedztwo, aby spędzić niedzielę u przyjaciół lub krewnych.

Ukazał się też tęgi chłop pędząc przed sobą ze dwadzieścia niespokojnych, beczących owiec, które pies raz wraz zaganiał w gromadę.

Randel wstał, pozdrowił go i spytał:

— Może byście mieli jakie zajęcie dla robotnika umierającego z głodu?

Tamten, rzucając na włóczęgę złe spojrzenie, odparł:

— Nie mam żadnej roboty dla ludzi włóczęgających się po świecie.

I cieśla znów siadł nad rowem.

Czekał długo patrząc na przechodzących wieśniaków i szukając pośród nich twarzy dobrej, współczującej, aby ponowić swoją prośbę.

Wybrał wreszcie zamożnie wyglądającego człowieka w długim surducie i z grubą złotą dewizką na brzuchu.

— Szukam roboty od dwóch miesięcy — zaczął. — Nie mogę znaleźć żadnego zajęcia, a nie mam już ani centyma.

Poważny pan odparł:

— Należało przeczytać obwieszczenie na granicy gminy. Zebranie na terenie tej gminy jest zakazane. Wiedz, że jestem tu merem i jeśli nie ulotnisz się dość szybko, każę cię zamknąć.



Randel, w którym wzbierał gniew, odburknął:

— Niech mnie pan każe zamknąć. Wolę nawet, bo nie będę przynajmniej umierał z głodu.

I znów usiadł w rowie.

Po upływie mniej więcej kwadransa rzeczywiście zjawili się na gościńcu dwaj żandarmi. Szli powoli obok siebie, widoczni z daleka, gdyż słońce migotało na ich lśniących trójkątnych kapeluszach, sznurach i metalowych guzikach, jakby dla przerażenia złoczyńców i skłonienia ich do ucieczki z daleka już, z bardzo daleka.

Cieśla wiedział dobrze, że idą po niego; nie ruszał się jednak z miejsca; zdjęła go nagle głucha chęć stawienia im czoła: niech go aresztują, a on później zemści się.

Zbliżali się ku niemu udając, że go nie widzą, podchodząc krokiem ciężkim i kołyszącym się jak chód gęsi. Nagle przechodząc obok zrobili miny, jakby go dopiero co spostrzegli, i przystanęli, mierząc siedzącego spojrzeniem surowym i gniewnym.

Starszy z żandarmów stanął tuż przed nim i zapytał:

— Co tu robisz?

Cieśla odparł spokojnie:

— Odpoczywam.

— Skąd przychodzisz?

— Gdybym chciał wyliczać wszystkie miejsca, gdzie byłem, potrwałoby to z godzinę.

— Dokąd idziesz teraz?

— Do Ville-Avaray.

— Gdzie to jest?

— W departamencie La Manche.

— To twoje strony?

— Tak, moje strony.

— Dlaczego je porzuciłeś?

— Żeby szukać roboty.

Starszy żandarm zwrócił się do towarzysza i ze zło-

ścią człowieka, którego stokrotnie powtarzany wykręt wyprowadza z równowagi, krzyknął:

— Ta hołota zawsze tak mówi. Ale ja się znam na tym.

Po czym zwrócił się do cieśli:

— Masz papiery?

— Mam.

— Pokaż.

Randel wydobyl z kieszeni papiery i świadectwa, nędzne świstki, zniszczone, brudne, rozpadające się na kawałki, i podał je żandarmowi.

Tamten przesyłabizował je z trudem, a stwierdziwszy, że są w porządku, zwrócił je z niezadowoloną miną człowieka, któremu ktoś chytrzejszy od niego spletał figlę.

Po chwili namysłu zapytał znów:

— Czy masz przy sobie pieniądze?

— Nie.

— Nic?

— Nie.

— Ani centyma?

— Ani centyma.

— Więc z czego żyjesz?

— Z tego, co mi dadzą.

— Więc żebrzesz?

Randel odparł tonem stanowczym:

— Tak, o ile się da.

Wówczas żandarm oświadczył:

— Zostałeś zatem przychwycony na gorącym uczynku jako winny włóczęgostwa i żebraniny, bez środków do życia, bez zajęcia. Pójdiesz z nami.

Cieśla wstał.

— Jak chcecie — rzekł.

I stanąwszy między żandarmami, zanim jeszcze otrzymał rozkaz, dodał:



— Dobrze, zamknijcie mnie. Przynajmniej będę miał dach nad głową podczas deszczu.

I skierowali się ku pobliskiej wsi, której czerwone dachy widniały poprzez drzewa огоłocone z liści.

Właśnie skończyła się msza w kościele, gdy doszli na miejsce. Na drodze stały tłumy ludzi, którzy od razu ustawili się w dwa szeregi po obu stronach drogi pragnąc przyjrzeć się złoczyńcy, za którym biegła już cała gromada podnieconych dzieciaków. Wieśniacy i wieśniaczki z nienawiścią w oczach patrzyli na aresztowanego, prowadzonego przez dwóch żandarmów, a każdego z nich świerzbiły ręce, aby cisnąć za nim parę kamieni, zbić go albo skopać. Zadawali sobie pytanie: bandyta czy złodziej? Rzeźnik, który kiedyś służył w wojsku, zapewniał:

— To dezerter.

Kupiec tytoniowy poznał w nim oszusta, który tegoż ranka wsunął mu fałszywą półfrankówkę, a blacharz stwierdził stanowczo, że to morderca wdowy Malet, którego policja tropi na próżno od paru miesięcy.

W sali rady gminnej, do której żandarmi go wprowadzili, Randel ujrzał mera siedzącego przy urzędowym stole obok nauczyciela.

— Ach! — wykrzyknął dostojnik gminy — więc cię mam, ptaszku. A przepowiedziałem ci, że cię zamknę. I cóż, co to za jeden?

Żandarm odparł:

— Włóczęga, panie merze, bez centyma w kieszeni, jak sam wyznał, przychwycony na włóczędzie i żebraninie; świadectwa ma dobre, papiery też w porządku.

— Pokaż te papiery — rozkazał mer.

Wziął je, przeczytał raz i drugi, następnie oddał, rozkazując żandarmom:

— Przeszukać go.

Przetrzęsneli na nim odzież, lecz nie znaleźli nic.

Mer wydawał się zdumiony. Zwrócił się do robotnika:

— Co robiłeś dziś rano na gościńcu?

— Szukałem roboty.

— Roboty?... Na gościńcu?...

— Przecież jej w lesie nie znajde!

Spoglądali na siebie z nienawiścią zwierząt należących do dwóch wrogich sobie gatunków. Urzędnik oświadczył:

— Kaze cię puścić, ale radzę ci, byś po raz drugi nie wpadł w moje ręce!

Cieśla odparł:

— Wolę, żeby mnie pan zatrzymał. Dość już mam tej wędrówki.

Mer przybrał surowy wyraz twarzy:

— Milczeć!

Następnie rozkazał żandarmom:

— Odprowadzić tego człowieka dwieście metrów poza obręb wsi i niech sobie idzie.

Robotnik powiedział:

— Niech mi pan przynajmniej kaze dać co zjeść.

Mer oburzył się:

— Rzeczywiście, tego jeszcze brakowało, żywić was! Ha! ha! ha! Tego już za wiele!

Randel jednak odparł stanowczym tonem:

— Jeżeli mi pan jeszcze dłużej pozwoli zdychać z głodu, to zmusi mnie do popełnienia czegoś złego. Tym gorzej dla was bogaczy.

Mer wstał i powtórzył:

— Odprowadźcie go prędko, żebyśmy się nie zdenerwowali.

Żandarmi ujęli go więc pod ręce i wyprowadzili. Pozwolił robić ze sobą, co chcieli, przeszedł znów wieś i znalazł się powtórnie na gościńcu; żandarmi odprowa-



dzili go dwieście metrów poza obręb wsi, po czym starszy z nich oświadczył:

— A teraz marsz w drogę i żebym cię tu więcej nie spotkał, bo jeszcze mnie popamiętasz.

Randel ruszył w drogę nic nie odpowiedziawszy, nie wiedząc nawet, dokąd idzie. Szedł przed siebie kwadrans lub dwadzieścia minut, tak ogłupiały, że nie myślał już o niczym.

Nagle jednak, kiedy przechodził koło domku o wpół-uchylonym oknie, odorzyła go woń gotującej się strawy i przygwoździła na miejscu.

I w tejże chwili głód, głód straszliwy, trawiący, szalony, rzucił go, jak zgłodniałe zwierzę, ku drzwiom.

Zawołał gniewnym tonem:

— Tym razem nie dam się odprawić

I zaczął bić w drzwi swoją grubą laską. Nikt nie odpowiadał, zaczął więc bić jeszcze mocniej, wołając:

— Hej! Hej! Ludzie! Otwórzcie!

Nic się nie poruszyło; wówczas podszedłszy do okna pchnął je ręką, a powietrze, zamknięte w izbie, ciepłe, przepojone zapachem gorącego rosółu, mięsa i kapusty, buchnęło na niego.

Jednym susem cieśla znalazł się w izbie.

Na stole stały dwa nakrycia.

Mieszkańcy widocznie wybrali się do kościoła, pozostawiając na kominie tłusty rosół niedzielny i sztukę mięsa z jarzyną.

Świeży chleb leżał na szafce, obok stały dwie butelki, które wydawały się pełne.

Randel rzucił się przede wszystkim na chleb, rozłamał go z siłą wystarczającą, żeby udusić człowieka, po czym zaczął jeść żarłocznie, śpiesznie, połykając wielkie kęsy. Ale zapach pchnął go szybko w stronę komina; zerwał z garnka pokrywę, zanurzył widelec i wydobyl



duży kawał mięsa, związany sznurkiem. Następnie nabrał pełny talerz kapusty, marchwi i cebuli, postawił go na stole, usiadł, rozkładał mięso na cztery części i zabrał się do obiadu, jak gdyby był we własnym domu. Pochłonawszy niemal cały kawał mięsa i ogromną ilość jarzyny poczuł pragnienie, podszedł więc do szafki, na której stały butelki.

Zaledwie napełnił szklanę, poznał, że to wódka. Tym lepiej rozgrzeje mu krew po długim marznięciu na ście i zimnie.

Zaczął pić.

Smakowało mu bardzo, ponieważ dawno już nie pił wódki. Powtórnie napełnił szklanę i wypił w dwóch łykach. Natychmiast uczuł się wesoły, podniecony alkoholem, jakby jakieś wielkie szczęście spłynęło mu do brzucha.

Znów zabrał się do jedzenia, powolniej, żując długo i maczając chleb w rosole. Całe jego ciało stało się gorące, a przede wszystkim czoło, krew uderzała mu w skroniach jak młotem.

Nagle dzwon kościelny zabrzmiał w oddali. Msza się skończyła. Cieśla, wiedziony raczej instynktem niż trwogą, tym instynktem roztropności, który towarzyszy istotom w niebezpieczeństwie czyniąc je przebiegłymi, wstał od stołu, włożył do kieszeni resztę chleba i drugą flaszkę wódki, szybkim krokiem podbiegł do okna i wyjrzał na gościniec.

Był jeszcze całkiem pusty. Wskoczył i ruszył w drogę; zamiast jednak iść gościńcem, uciekał przez pola w stronę pobliskiego lasu.

Czuł się rześki, silny, wesoły, zadowolony z tego, co zrobił, a tak gibki, że jednym skokiem przesadzał ogrodzenia rozgraniczające pola wieśniaków.



Zaledwie znalazł się wśród drzew, wyjął z kieszeni butelkę i znów począł pić długimi haustami, nie przystając. Zamaćciło mu się w głowie, oczy zaszyły mgłą, a nogi stały się elastyczne jak sprężyny.

Zaczął nucić starą piosenkę ludową:

Ach, jak to dobrze,  
Ach, jak to dobrze,  
Zrywać jagody...

Kroczył teraz po gęstym mchu, wilgotnym i świeżym, a ten miękki dywan pod nogami budził w nim nieodpartą dziecinną chęć wywracania koziółków.

Rozpędził się, machnął kozła, wstał i znów zaczął bieć. A po każdym koziółku zaczynał od nowa:

Ach, jak to dobrze,  
Ach, jak to dobrze,  
Zrywać jagody...

Nagle znalazł się na krawędzi biegnącej dołem drogi i ujrzał w pewnej odległości roślą dziewczynę, służącą, wracającą do wsi i niosącą na nosidłach dwie konwie mleka.

Pobiegł za nią wzrokiem, pochylony do przodu z płomieniem w oczach, jak pies węszący sukę.

Ona go też dostrzegła, podniosła głowę i zawołała ze śmiechem:

— To ty tak śpiewasz?

Nie odpowiedział, lecz błyskawicznie skoczył w parów, głęboki co najmniej na sześć stóp.

Ujrawszy go nagle tuż obok siebie krzyknęła:

— Chryste Panie! Aleś mnie nastraszył!

Nie słyszał — pijany, szalony, porwany nagle żądzą bardziej jeszcze trawiącą od głodu, rozgorączkowany alkoholem, nieprzewyciężonym szalem mężczyzny, którego pragnienia od dwóch miesięcy nie były zaspokajane,

a który w dodatku jest podchmielony, młody, ognisty, trawiony wszystkimi namiętnościami, jakie w człowieku zapala natura.

Dziewczyna cofnęła się przed nim przerażona jego twarzą, oczami, na pół otwartymi ustami i wyciągniętymi rękami.

Chwycił ją za barki i milcząc obalił na ziemię.

Puściła konwie, które potoczyły się z łoskotem, znacząc drogę strugą rozlanego mleka, po czym zaczęła krzyczeć, lecz zrozumiałwszy rychło, że na nic nie przyda się krzyk w tym pustkowiu, i widząc, że nie godzi na jej życie, poddała się bez wielkiego oporu, niezbyt nawet gniewna, gdyż mężczyzna był silny, chociaż naprawdę zanadto brutalny.

Gdy wstała, widok rozlanego mleka wprowadził ją w nagłą wściekłość i zerwawszy z nogi drewniany sabot rzucała się na napastnika grożąc, że mu rozbije głowę, jeśli nie zapłaci jej za mleko.

On zaś, myląc się co do powodu jej furii, trochę już wytrzeźwiony, przerażony swym postępkami, zaczął uciekać ze wszystkich sił, od czasu do czasu trafiany jednym z kamieni, którymi go obrzucała.

Pędził tak długo, aż uczuł niezmierne zmęczenie. Nogi chwiały się pod nim, a myśli poplątały się do tego stopnia, że stracił pamięć wszystkiego i niezdolny był do żadnego zastanowienia.

Usiadł pod pnem drzewa.

W pięć minut później spał.

Rozbudziło go silne wstrząśnienie; otwierając oczy, ujrzał trójkątne skórzane kapelusze, pochylone tuż nad nim, i obu żandarmów sprzed paru godzin, którzy mu wiazali ręce.

— Wiedziałem, że jeszcze raz cię przymkniemy — oświadczył szyderczo starszy żandarm.



Randel wstał nie mówiąc słowa. Żandarmi potrząsali nim, gotowi go bić za najlżejszą próbę protestu, ponieważ teraz stał się przecież ich łupem, zwierzyną upolowaną przez łowców zbrodniarzy.

— W drogę! — zakomenderował żandarm.

Ruszyli przed siebie. Wieczór zapadał, rozpościerając nad ziemią zmierzch jesienny, ciężki i ponury.

Po upływie pół godziny doszli do wsi.

Wszystkie domostwa stały otworem. Wiedziano już, co się wydarzyło. Wieśniacy i wieśniaczki, dysząc gniewem, jakby każdy z nich został okradziony i każda zgwałcona, chcieli widzieć złoczyńcę, aby go obrzucić złościami.

Dziki wrzaski przyjęły go na skraju wsi i towarzyszyły mu do urzędu gminnego, gdzie czekał mer zadowolony, że zemści się na włóczędze.

Z daleka już dostrzegł go i zawołał:

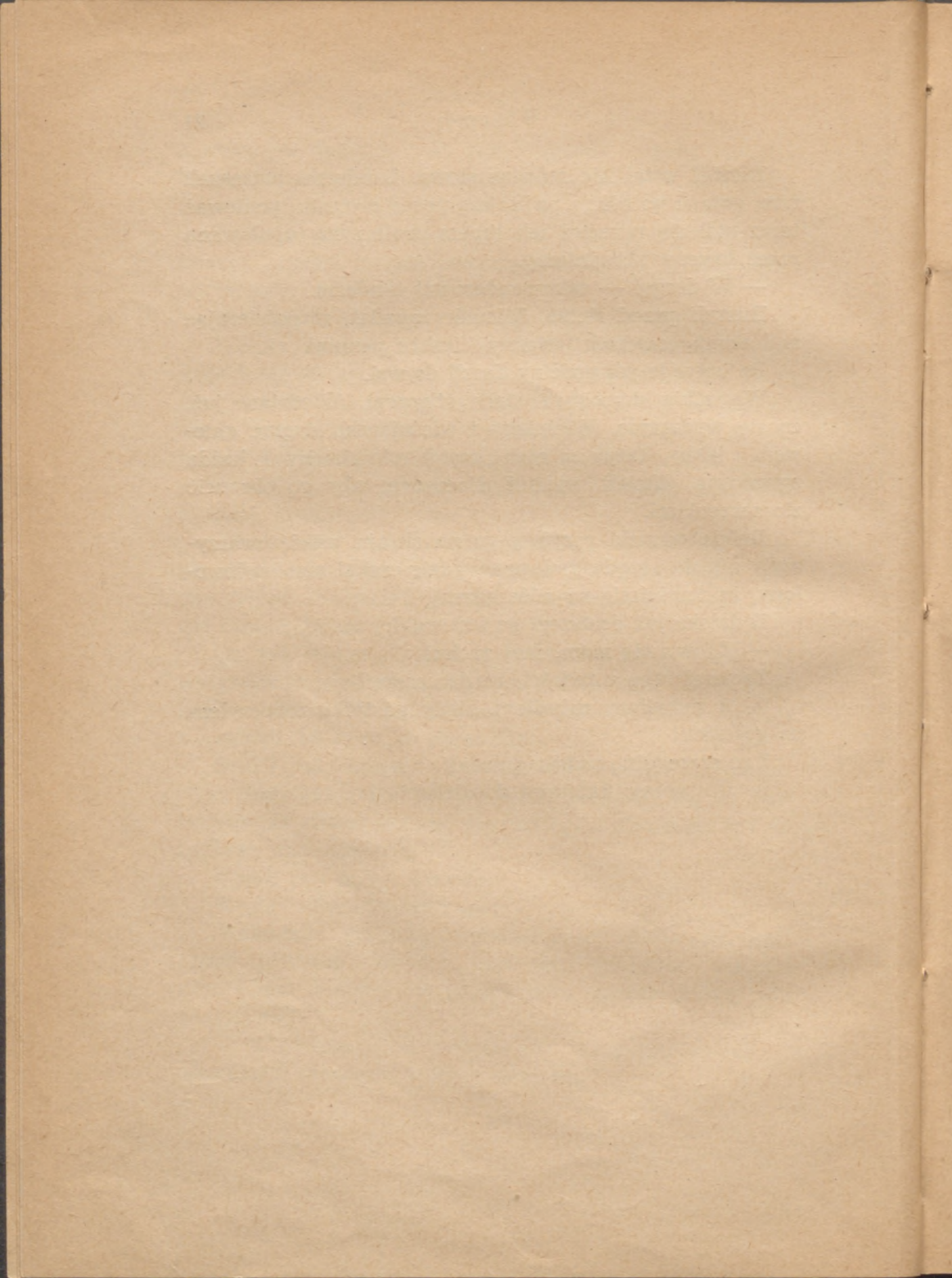
— Znowu cię mam, mój zuchu!

Zacierał ręce z radości, bardzo szczęśliwy.

— A mówiłem, mówiłem, kiedy go tylko zobaczyłem na gościńcu!

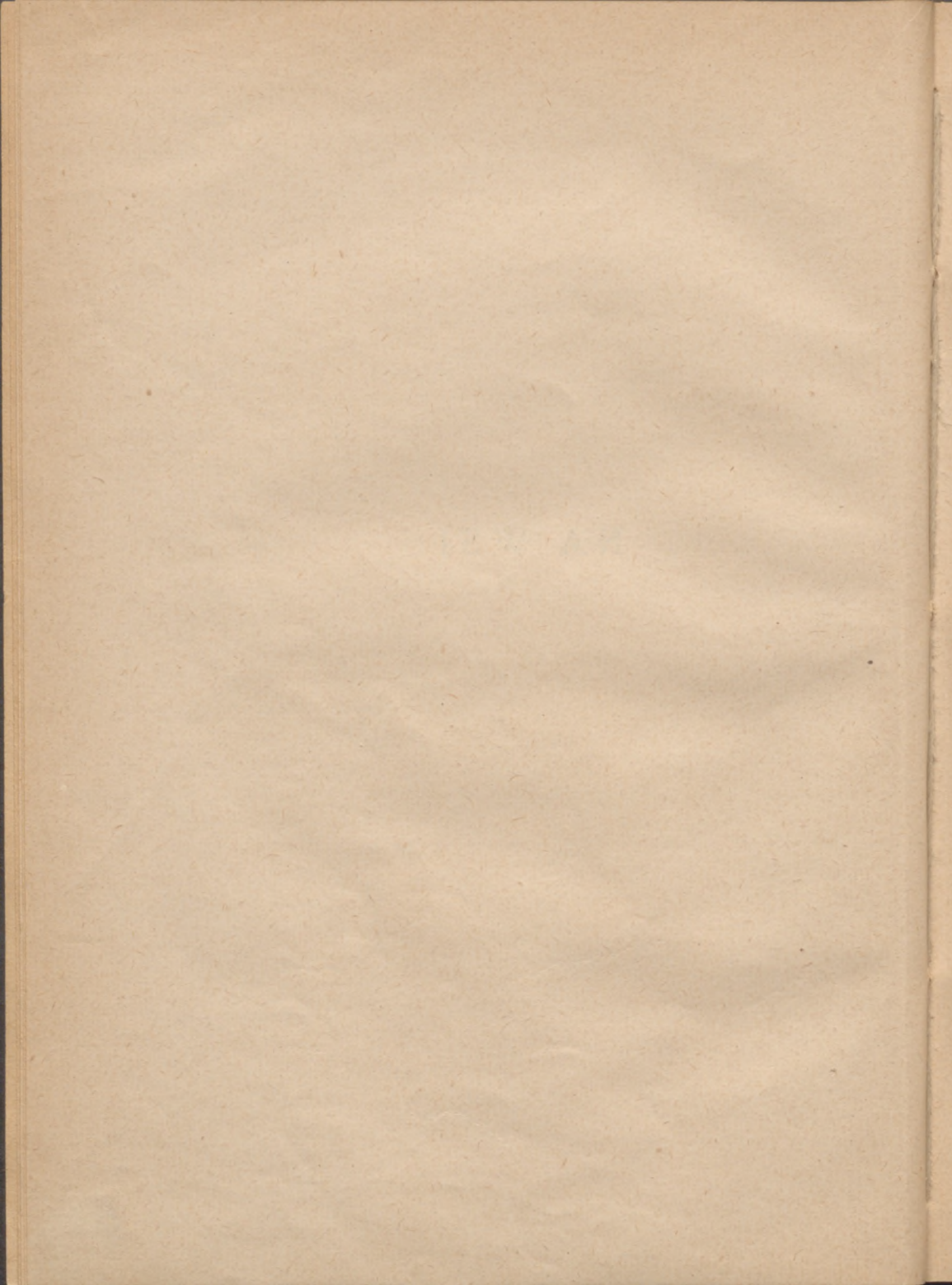
I ze szczególną radością dodał:

— Dostaniesz najmniej dwadzieścia lat, łajdaku!





NA WSI





Opodal miasteczka kąpielowego stały obok siebie dwie chaty u stóp pagórka. Ich właściciele uprawiali w pocie czoła nieurodzajną ziemię, żeby wychować swe dzieci; mieli ich po czworo. Przed sąsiadującymi ze sobą drzwiami cała gromada malców roła się hałaśliwie od rana do nocy. Dwoje najstarszych miało po sześć lat, dwoje najmłodszych około piętnastu miesięcy. Wesela, a potem narodziny przypadają prawie jednocześnie w jednym i drugim domostwie.

Obie matki z trudnością rozróżniały swe potomstwo, a ojcowie nie rozpoznawali wcale. Osiem imion wirowało im w głowie i mieszało się wciąż ze sobą. Chcąc zawołać jedno z dzieci, wymawiali zwykle trzy imiona, zanim natrafili na właściwe.

W pierwszej z tych chat, idąc od uzdrowiska w Rolleport, mieszkali małżonkowie Tuvache, którzy mieli trzech synów i jedną córkę; w drugiej Vallinowie, mający trzy córki i jednego syna.

Wszyscy żywili się nędzną zupą, kartoflami i świeżym powietrzem. O siódmej rano, o dwunastej w południe i szóstej wieczorem obie gospodynie zwoływały swój drobiazg, żeby go nakarmić, jak pastuchy spędzają stada gęsi. Dzieci siadały szeregiem, podług starszeństwa, przy stole wypolerowanym pięćdziesięcioletnim użytkowaniem. Ostatni malec z trudnością dosięgał go twarzą. Stawiano

przed nimi miskę pełną chleba rozmiękłego w wodzie, zagotowanej z kartoflami, połową głowy kapusty i trzema cebulami. Całe towarzystwo najadało się do syta. Najmniejszemu dziecku matka sama dawała jeść. W niedzielę pojawiał się kawałek mięsa ku ogólnej ucieście i ojciec zazwyczaj siedział dłużej przy stole powtarzając: „Chciałbym to mieć co dzień“.

Pewnego popołudnia w sierpniu lekki powozik zatrzymał się nagle przed dwiema chatami i młoda kobieta, która powoziła sama, zawołała do siedzącego obok niej mężczyzny:

— Spójrz no, Henryku, na tę gromadę dzieci! Jak ładnie wyglądają bawiąc się w tym kurzu.

Mężczyzna nie odpowiedział; przyzwyczajony był do jej zachwyków, które zdradzały cierpienie i były dlań niejako wyrzutem.

Kobieta odezwała się znowu:

— Muszę je uściskać! Ach, jakbym chciała mieć jedno — o, tamto... najmniejsze.

I wyskoczywszy z wózka pobiegła do dzieci, porwała jedno z dwojga najmłodszych, synka Tuvache'ów, uniosła go w górę i namiętnie całowała brudną twarzyczkę, płowe, kędzierzawe włosy, powalane ziemią, i rączki, którymi malec trzepotał, żeby się pozbyć natrętnych pieszczot.

Potem wskoczyła do powozu i szybko odjechała. Ale w następnym tygodniu przybyła znowu, siadła na ziemi, wzięła małego na kolana, nakarmiła go ciastkami, wszystkim innym dzieciom dała cukierków i bawiła się z nimi, jakby była ich rówieśnicą. Mąż tymczasem czekał cierpliwie.

Przyjechała jeszcze raz, zapoznała się z rodzicami i odtąd pojawiała się co dzień, przywoząc w kieszeniach pełno łakoci i drobnej monety.



Nazywała się pani d'Hubières.

Gdy pewnego ranka przybyli jak zwykle oboje, mąż wysiadł wraz z nią. Nie zatrzymując się przy dzieciach, które znały ją już dobrze, weszła do chaty.

Tuvache'owie łupali drzewo pod kuchnię; wyprostowali się bardzo zdziwieni, podali stołki i czekali.

Młoda pani przerywanym głosem, drżąc cała, przemówiła:

— Przychodzę do was, moi dobrzy ludzie, bo chciałabym... chciałabym zabrać ze sobą waszego... waszego chłopczyka...

Wieśniacy stali zdumieni, bezmyślni i nie odpowiadali.

Odetchnęła głęboko i powiedziała znowu:

— My nie mamy dzieci... jesteśmy samotni. Wzięlibyśmy go w opiekę... Zgadzaście się?

Chłopka zaczęła rozumieć. Zapytała:

— Państwo chcecie zabrać nam Karolka? O, nie damy go za nic na świecie!

Wtedy wmieszał się w rozmowę pan d'Hubières:

— Moja żona źle się wyraziła. Chcemy go przybrać za swego, ale powróci do was, zobaczycie go. Jeśli wyrośnie na porządnego człowieka, jak mam nadzieję, to odziedziczy po nas majątek. Gdybyśmy przypadkiem mieli dzieci, należałby do równego działu z nimi. Ale jeżelibyśmy nie mieli z niego pociechy, to po dojściu do pełnoletności dostałby dwadzieścia tysięcy franków, która to suma zostanie niezwłocznie złożona na jego imię u notariusza. Pomyśleliśmy i o was: będziecie pobierali do samej śmierci 100 franków miesięcznie. Czyście mnie zrozumieli dobrze?

Chłopka zerwała się jak szalona.

— Chcecie, żebym wam sprzedała Karolka? Nic z tego nie będzie! Kto to żąda takich rzeczy od matki! Co nie, to nie! To byłoby straszne!

Gospodarz nic nie mówił, stał poważny i zadumany; tylko wciąż głową potakiwał żonie.

Pani d'Hubières, zrozpaczona, rozplakała się i zwróciwszy się do męża, wśród łkań, głosem dziecka, którego życzenia są zawsze spełniane, mówiła:

— Oni nie chcą, Henryku, oni nie chcą.

Próbowali raz jeszcze.

— Ależ moi kochani, pomyślcie o przyszłości swojego dziecka, o jego szczęściu, o...

Rozjątrzona wieśniaczka przerwała:

— Wiemy, rozumiemy wszystko... Nie ma się nad czym namyślać... wynoście się państwo... Nie pokazujcie mi się więcej na oczy! Trzeba nie mieć wstydu, żebyście zabrali komuś dziecko.

Wychodząc z chaty pani d'Hubières przypomniała sobie, że są dwa maleństwa, i zapytała jeszcze z uporem kobiety samowolnej i rozpieszczonej, która nie znosi czekania:

— Ale ten drugi malec nie wasz?

Ojciec Tuvache odpowiedział:

— Nie... sąsiadów. Możecie państwo tam pójść, jeżeli chcecie.

I wszedł do chaty, w której się rozlegał gniewny głos jego żony.

Vallinowie siedzieli przy stole jedząc pomału kromki chleba, posmarowane cienko masłem zatkniętym na końcu noża, który leżał na talerzu pomiędzy nimi.

Pan d'Hubières zaczął znowu przedkładać swój projekt, ale ostrożniej, z wybiegami.

Wieśniacy potrząsali głowami na znak odmowy, lecz dowiedziawszy się, że mieliby sto franków miesięcznie, spojrzeli jedno na drugie naradzając się oczami, niepewni.



Długo milczeli udręczeni i wahali się. Wreszcie kobieta zapytała:

— Cóż ty mówisz na to?

Mąż odrzekł z powagą:

— Powiadam, że to rzecz nie do pogardzenia.

Wtedy pani d'Hubières, drżąc z niepokoju, zaczęła im przekładać, jaka przyszłość czeka ich małego, jaki będzie szczęśliwy, jak dużo pieniędzy będzie mógł dać im później.

Chłop zapytał:

— Czy te dwadzieścia tysięcy franków będą przyrzeczone przed notariuszem?

Pan d'Hubières odrzekł:

— Rozumie się... Zaraz jutro...

Gospodyni zamyśliła się i powiedziała po chwili:

— Sto franków miesięcznie za to, że nam państwo weźmiecie małego, to za mało... Taki dzieciak chodziłby do roboty za kilka lat. Dajcie sto dwadzieścia franków...

Pani d'Hubières, która nie mogła ustać w miejscu z niecierpliwości, zgodziła się od razu i chcąc natychmiast porwać dziecko dała jeszcze sto franków rodzicom, podczas kiedy mąż jej spisywał umowę. Mer i jeden z sąsiadów, których zaraz wezwano, chętnie służyli za świadków.

Młoda kobieta rozradowana czym prędzej wybiegła z wrzeszczącym malcem, tak jak się wybiega ze sklepu z upragnionym cackiem.

Tuvache'owie stojący w progu swej chaty przyglądali się, gdy chłopak odjeżdżał; milczący, surowi, żałujący może swej odmowy.

O Janku Vallin nie było nic słyhać. Rodzice chodzili co miesiąc do notariusza po swoje sto dwadzieścia franków i gniewali się z sąsiadami, gdyż matka Tuvache za-

męczała ich obelgami powtarzając wciąż ze swego progu, że tylko źli ludzie sprzedają swoje dziecko, że trzeba na to być bezecnym, plugawym, zepsutym do szpiku kości...

Nieraz, żeby im dokuczyć, brała na ręce swego Karolka i, jak gdyby mógł ją rozumieć, krzyczała:

— Ja nie sprzedałam ciebie, mój mały; nie, nie sprzedałam... Ja nie sprzedaję swoich dzieci. Nie jestem bogata, ale nie sprzedaję swoich dzieci.

I długie, długie lata ponawiało się to codziennie; grubiańskie przycinki rozlegały się na progu, żeby je posłyszano w sąsiedniej chacie. W końcu przyszło do tego, że matka Tuvache miała się za najlepszą ze wszystkich dlatego, że nie sprzedała Karolka. Ludzie, wspominając o niej, mawiali:

— Trzeba przyznać, że to była wielka pokusa... ale postąpiła jak dobra matka...

Jedni opowiadali drugim o niej; a Karolek, który już miał blisko osiemnaście lat, wzrosły wśród tego, co wciąż słyszał, uważał się także za lepszego od swych towarzyszy, dlatego że go nie sprzedano.

Vallinom wiodło się dobrze dzięki pobieranej zapomudze i to właśnie podtrzymywało wściekłość Tuvache'ów, którzy nie wydobyli się z nędzy.

Ich najstarszy syn poszedł do wojska, drugi umarł, Karolek sam jeden więc pracował ze starym ojcem, żeby wyżywić matkę i dwie młodsze siostry.

Miał on już przeszło dwadzieścia lat, kiedy pewnego ranka świetny ekwipaż stanął przed dwiema chatami. Młody mężczyzna z zegarkiem na złotym łańcuszku wyskoczył z niego i pomógł wsiąść damie w podeszłym wieku, z siwymi włosami. Pani powiedziała:

— Tam, moje dziecko, w tym drugim domu.



Wszedł, jakby do własnego mieszkania, do lepianki Vallinów.

Stara matka prała fartuchy, zniechęceni ojciec drzemał przy kominie. Oboje podnieśli głowy, a młodzieniec odezwał się:

— Jak się macie, ojcze; jak się macie matko!

Zerwali się zmieszani. Chłopka ze wzruszenia opuściła mydło w wodę i bełkotała:

— Czy to ty, moje dziecko? Czy to ty, moje dziecko? Wziął ją w ramiona i ścisnął, powtarzając:

— Jak się macie, matko?

Stary, drżąc cały, swym zwykłym spokojnym głosem powiedział:

— Wróciłeś, Jasiu? — jak gdyby go widział przed miesiącem.

Gdy się poznali już nawzajem, rodzice wyszli z nim zaraz na wieś, żeby go pokazać. Zaprowadzili go do mera i do jego zastępcy, do proboszcza, do nauczyciela.

Karolek, stojąc w progu swej chaty, przyglądał mu się, gdy przechodził.

Przy kolacji powiedział do rodziców:

— Musieliście chyba nie mieć rozumu, kiedyście pozwolili wziąć małego Vallinów.

Matka odpowiedziała z uporem:

— Nie chcieliśmy sprzedawać naszego dziecka.

Ojciec nie mówił nic, a syn odezwał się znowu:

— Czy to nie nieszczęście zmarnować taką okazję?

Wtedy ojciec Tuvache odparł gniewnie:

— Może będziesz nam wyrzucał, żeśmy cię zatrzymali przy sobie?

Na to chłopak opryskliwie:

— Tak, wyrzucam wam to, żeście byli niedołączkami. Tacy rodzice, jak wy, są nieszczęściem dla dzieci. Warci jesteście, żeby was porzucił.

Matka płakała nad talerzem i przelykając zupe, której połowę wylewała z łyżki, utyskiwała:

— I męcz się tu, człowieku, żeby wychować dzieci!...

— Wolałbym wcale nie przychodzić na świat, niż być tym, czym jestem. Kiedy dziś zobaczyłem tamtego, krew zagotowała się we mnie. Pomyślałem sobie: tak wyglądałbym teraz.

Podniósł się.

— Słuchajcie, czuję, że lepiej zrobię, jeśli tu nie stanę dłużej, bo wyrzuciłbym wam to od rana do nocy i zamęczyłbym was; widzicie, ja wam tego nigdy nie daruję!

Starzy milczeli, zgnębieni, ze łzami w oczach.

— Nie, za ciężko byłoby żyć z tą myślą. Wolę poszukać chleba gdzie indziej.

Otworzył drzwi. Z sąsiedniej chaty dochodziły głosy. To Vallinowie biesiadowali z odzyskanym dzieckiem.

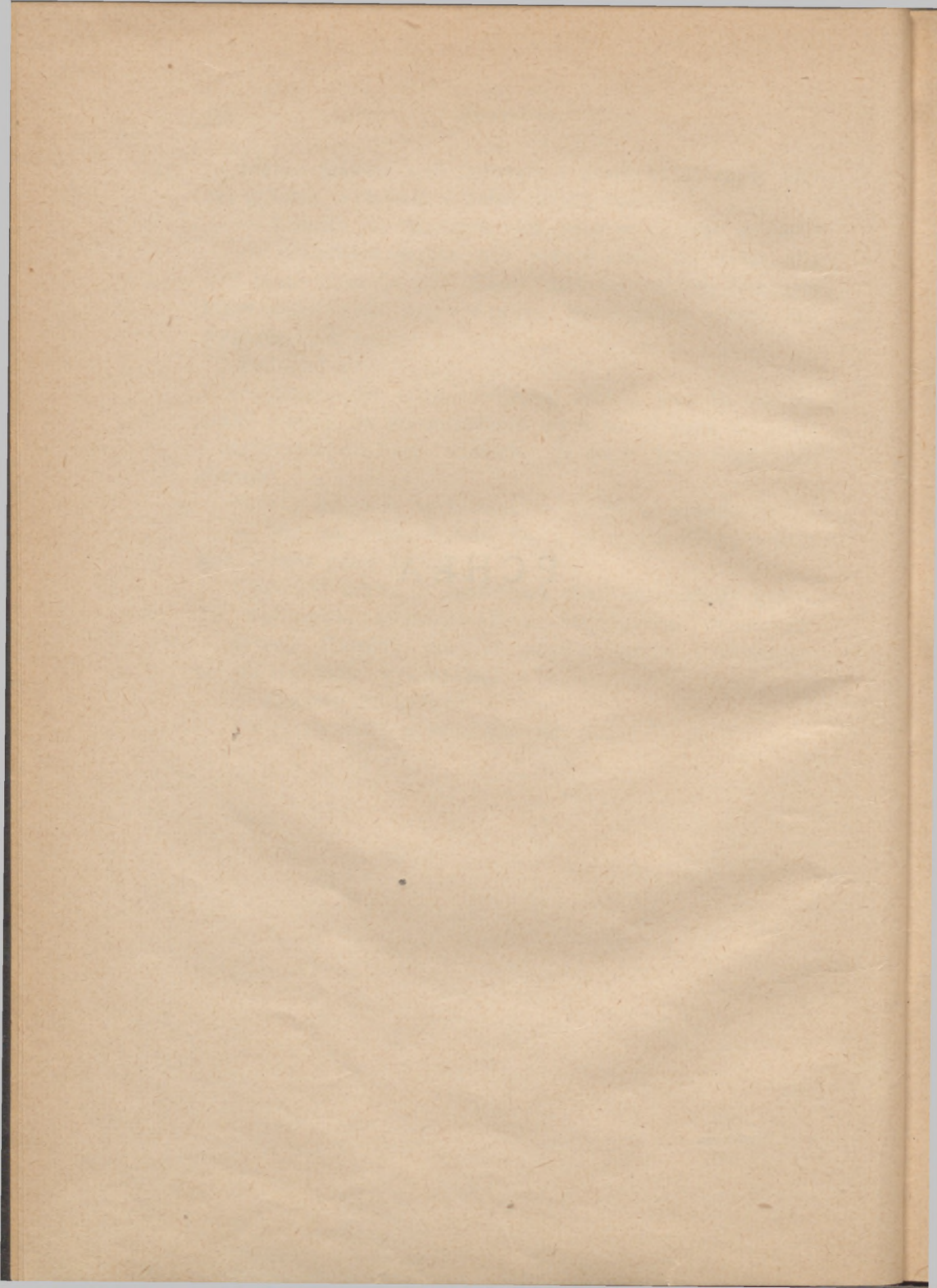
Wtedy Karolek uderzył nogą o ziemię i obracając się do rodziców wykrzyknął:

— Ciemne chłopstwo!

Po czym znikł w ciemnościach nocy.



PCHŁA





Dyliżans idący do Hawru miał właśnie wyjechać z Criquetot i wszyscy podróżni czekali na wywołanie ich nazwisk w podwórzcu Hotelu Przemysłowego, dzierżawionego przez Malandaina syna.

Był to żółty pojazd na kołach niegdyś również żółtych, obecnie jednak szarych od błota. Przednie były całkiem małe, a tylne, wysokie i cienkie, dźwigały na sobie pudło niezgrabne i wydęte jak potężny brzuch. Trzy siwe szkapy, z których na pierwszy rzut oka widać było tylko olbrzymie łby i grube okrągłe kolana, miały ciągnąć ten wóz o potwornych kształtach i zdawały się już zasypiać przy nim.

Woźnica, Cezary Horleville, mały człowieczek o wielkim brzuchu, mimo to zwinny dzięki ciągiem wskakiwaniu na koła i wspinaniu się na wysoki koziół, z twarzą czerwoną od wiatru, deszczu i mrozu a także od wódki, o oczach stałe mrugających, ukazał się w bramie hotelu ocierając usta wierzchem dłoni. Duże, okrągłe kosze pełne wystraszonego drobiu stały obok nieruchomości wieśniaczek. Cezary brał je jeden po drugim i ustawiał na dachu dyliżansu; następnie z większą ostrożnością umieszczał te, w których były jaja, na koniec rzucił, stojąc już na dole, kilka małych worków ze zbożem i pakunków, zawiniętych w chustki, szmaty lub papier. Następnie otworzył tylne drzwi i wyjąwszy z kieszeni listę podróżnych wywoływał:

— Ksiądz proboszcz z Gorgeville.

Do wehikułu podszedł ksiądz, rostry, barczysty, grubo, z fioletową twarzą o przyjemnym wyrazie. Podciągnął sutannę, aby wysunąć stopę, jak kobiety unoszące spódnicę, i wspiął się na stopień, po czym wszedł do wnętrza.

— Pan nauczyciel z Rollebosc-les-Grinets.

Wywołany podskoczył: długi, nieśmiały, w surducie sięgającym po kolana; szybko zniknął w otwartym pudle.

— Poiret, dwa miejsca.

Zbliżył się Poiret, wysoki i pokrzywiony, zgarbiony od pługa, wychudły od wstrzemięźliwego trybu życia, kościsty, o skórze wyschłej skutkiem rzadkiego mycia. Za nim szła jego żona, mała i chuda, podobna do wymęczonej szkapy, oburącz trzymając olbrzymi zielony parasol.

— Rabot, dwa miejsca.

Rabot, zawsze zakłopotany, zawahał się. Zapytał:

— Czy to mnie wołacie?

Woźnica, zwany „mądralą“, zaczynał już jakiś rubaszny żart, gdy Rabot wsunął głowę do budy pchnięty przez żonę, kobietę roslą, kwadratową, o brzuchu jak beczka i rękach szerokich jak kijanki.

Rabot wślizgnął się do wehikułu ruchem szczura wracającego do swej dziury.

— Caniveau.

Gruby wieśniak, potężny jak byk, stanął na stopniu, który się pod nim ugiął, i zniknął z kolei we wnętrzu żółtego pudła.

— Belhomme.

Belhomme, wysoki i chudy, zbliżył się do dyliżansu z przekrzywioną szyją i twarzą wyrażającą cierpienie,



przyciskając do ucha chustkę, jak gdyby bolały go zęby.

Wszyscy mieli niebieskie bluzy na staroświeckich, dziwacznych kurtkach z czarnego lub zielonego sukna — stroju odświętnym, który odsłonią na ulicach Hawru; głowy ich zaś okrywały jedwabne kaszkiety, wysokie jak wieże — szczyt elegancji we wsiach normandzkich.

Cezary Horleville zamknął drzwiczki swojego pudła, wspiął się na kozioł i trzasnął z bicia.

Trzy konie jakby zbudziły się i gdy poruszyły łbami, odezwały się dzwonki przyczepione do uprzęży.

Woźnica wrzasnął na całe gardło: „wio!“ i zakręciwszy batem musnął nim grzbiety zwierząt. Drgnęły z wysiłkiem i ruszyły z miejsca powolnym kulejącym kłusem. Za nimi toczył się dyliżans; trzęsące się pudło, resory i reszta żelastwa wydawały ogluszający huk przypominający brzęczącą blachę i szkło; podczas gdy podróżni siedzący rzędami podskakiwali i pochyłali się wszyscy razem za każdym podrzutem jak fale w czasie odpływu.

Z początku milczeli przez uszanowanie dla księdza, krępującego ich w swobodnych wynurzeniach. Po chwili jednak on odezwał się pierwszy, gdyż był z natury rozmowny i przystępny:

— Jakże się macie, Caniveau — zapytał — wszystko w porządku?

Olbrzymi wieśniak, sympatyzujący z księdzem, jako że byli do siebie podobni postawą, brzuchem i całym wyglądem zewnętrznym, odparł z uśmiechem:

— Jakoś tam idzie, proszę księdza proboszcza, jakoś tam idzie; a jak u księdza dobrodzieja?

— O, u mnie wszystko dobrze.

— A wy, Poiret? — zapytał ksiądz.

— Ha, jakoś by tam było, gdyby nie rzepak. Nie udał się w tym roku. Zawsze spadają na człowieka kłopoty.

— Trudno, czasy teraz ciężkie.

— Oj, co ciężkie, to ciężkie — silnym głosem żandarma potwierdziła olbrzymia Rabotowa.

Była z sąsiedniej wsi, więc ksiądz znał tylko jej imię.

— To wy, Blondelka? — zapytał.

— Tak, to ja, co wyszłam za Rabota.

Rabot, chorowity i nieśmiały, zawsze zadowolony, skłonił się z uśmiechem, głęboko pochylając głowę naprzód, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak, to ja, Rabot, który ożeniłem się z Blondelą“.

Nagle Belhomme, który wciąż trzymał chustkę przy uchu, zaczął jęczeć przejmująco. Wydawał z siebie jakieś — Uu... Uu... Uu... — tupiąc przy tym nogą, aby wyrazić swój straszny ból

— Tak was zęby bołą? — zapytał ksiądz.

Wieśniak na chwilę przestał jęczeć, aby odpowiedzieć:

— Nie, proszę księdza proboszcza... To nie zęby... to ucho, w samym środku... głęboko.

— A cóż wy tam macie w tym uchu? Wrzód czy co?

— Czy wrzód, to tego nie wiem, ale wiem, że to zwierzę, wielkie zwierzę, co mi tam wlaźło, jak spałem w stodole na sianie:

— Zwierzę? Czyście tego całkiem pewni?

— Czy jestem pewny? Taki pewny, jak raję, proszę księdza proboszcza, bo mnie przecie gryzie w środku ucha. A w głowie jak mi wierci! Jak mi wierci w głowie! Uu... oj... — I znów zaczął tupać.

Całe otoczenie żywo przejęło się tą sprawą.

Każdy wyrażał swój pogląd. Poiret utrzymywał, że to pająk, nauczyciel, że gąsienica. Słyszał już raz o ta-



kim wypadku w Campamuret, gdzie pracował przez sześć lat. Gąsienica weszła jednemu człowiekowi do głowy i wylazła nosem, ale człowiek ogłuchł, gdyż pękł mu bębenek w uchu.

— To będzie raczej jakiś robaczek — zaopiniował ksiądz.

Belhomme z głową przekrzywioną na bok i opartą o drzwiczki, gdyż ostatni wszedł do dylizansu, nie przedstawiał jęczeć.

— Uu... Uu... Uu... Mnie się zdaje, że to chyba mrówka, bardzo wielka mrówka, bo tak kęsa... Och, proszę księdza proboszcza... ratunku... ratunku... teraz mi lata w środku ucha... Uu... jak boli...

— Nie byłeś u doktora? — zapytał Caniveau.

— Pewno, że nie.

— Dlaczego?

Strach przed lekarzem uspokoił Belhomme'a.

Wyprostował się, nie odejmując jednak chustki od ucha.

— Dlaczego? Może ty masz pieniądze dla takich próżniaków? Kazałby mi przyjść raz i drugi, i trzeci, i czwarty, i piąty! To znaczy dwa franki, na pewno dwa franki... I co by mi taki oszukaniec poradził? No, powiedz, co by mi poradził?

Caniveau zaśmiał się

— Czy ja wiem? Gdzie jedziesz?

— Do Hawru. Do Chambrelana.

— Do jakiego Chambrelana?

— No do tego, co się zna na leczeniu.

— Zna się na leczeniu?

— Przecie mi uratował ojca.

— Ojca?

— Tak, już dawno.

— A co mu było?

— Takie strzykanie w plecach, że już nie mógł chodzić.

— I co zrobił ten Chambrelan?

— Co? Wysmarował mu plecy obiema rękami. Tak go wygniótł, jakby miesił ciasto na chleb. I za parę godzin ojciec chodził!

Belhomme wiedział też, że Chambrelan mówił przy tym jakieś słowa, ale nie śmiał o tym wspomnieć wobec księdza.

Caniveau zauważył ze śmiechem:

— A może to zając wlaźł ci do ucha? Może mu się zdawało, że to jego nóra, bo tam przecie takie zarośla... Czekać, ja go wypłoszę.

I złożony ręce w trąbkę Caniveau zaczął naśladować ujadanie psów gończych. Warczał, wył, szczekał. Wszyscy pokładali się ze śmiechu, nie wyłączając nauczyciela, który nigdy się nie śmiał.

Ponieważ jednak Belhomme wydawał się dotknięty, że z niego szydzą, ksiądz zaczął mówić o czym innym, zwracając się do tęgiej Rabotowej:

— Musicie mieć kilkoro dzieci?

— Ano mamy, proszę księdza proboszcza. A jak to człowiekowi ciężko wyżywić tyle gęb!

Rabot skinął głową potakująco, jakby mówił: „Oj jak to ciężko“.

— Ileż macie dzieci?

Z pewnością siebie, głosem silnym i stanowczym oświadczyła:

— Szesnaście, proszę księdza proboszcza. W tym piętnaście z moim chłopem.

Rabot uśmiechnął się teraz jeszcze wyraźniej pochylając czoło w ukłonie. Piętnaścioro dzieci spłodził on sam, Rabot! Żona sama przyznała! Nikt nie może już wątpić. Rabot może być dumny!



Czyje było szesnaste, nie powiedziała. Zapewne najstarsze? Widocznie wszyscy o tym wiedzieli, gdyż nikt się nie zdziwił i Caniveau nie zażartował.

Belhomme zaczął znowu jęczeć:

— Uu... Uu... Uu... Jak mi tam wierci w środku...  
Och jak boli!...

Dylikans zatrzymał się przed kawiarnią Polety. Proboszcz zbliżył się do Belhomme'a:

— Gdyby wam tak wlać trochę wody do ucha, może by to wypłynęło. Spróbujecie?

— Pewnie, że spóbuje.

I wszyscy wysiedli, aby asystować przy operacji.

Ksiądz kazał podać miednicę, serwetę i szklankę wody, następnie polecił nauczycielowi, aby przechylił głowę pacjenta i szybko ją odwrócił, gdy woda napelni ucho.

Caniveau jednak zajrzawszy do ucha Belhomme'a, żeby się przekonać, czy gołym okiem nie odkryje zwierzęcia, zawołał:

— Do diabła, przecież to marmelada! Trzeba to na-przód wyjąć, Belhomme! Inaczej twój zajac nigdy się stąd nie wydostanie, bo wszystkie cztery łapy mu się przylepią.

Proboszcz również zbadał ucho i osądził, że jest zbyt zapchane, aby zwierzę mogło się wydostać. Nauczyciel obwinawszy zapalkę jakimś strzępkiem podjął się usunięcia woszczku; następnie, wśród ogólnego napięcia, ksiądz wlał pół szklanki wody, która spłynęła po twarzy i karku Belhomme'a. Nauczyciel szybko przekreślił głowę, jakby była na śrubie. Kilka kropel wody wypłynęło z ucha na miednicę. Wszyscy rzucili się ku naczyniu. Nie wyszło żadne zwierzę, Belhomme jednak oświadczył:

— Już nic nie czuję!



Wobec tego ksiądz z miną triumfatora obwieścił:

— Widocznie się utopiło.

Wszyscy byli zadowoleni i całe towarzystwo na powrót wsiadało do dyliżansu.

Zaledwie jednak ruszyli z miejsca, Belhomme zaczął wydawać przeraźliwe krzyki. Zwierzę przebudziło się i zaczęło szaleć. Twierdził nawet, że weszło mu teraz do głowy i pożera mu mózg. Wył i miotał się tak okropnie, że żona Poireta sądząc, iż go diabeł opętał, zaczęła płakać, raz po raz kreśląc w powietrzu znak krzyża. Po chwili, gdy ból uśmierzył się nieco, Belhomme zaczął opowiadać, jak o n o obiega teraz całe wnętrze ucha. Palcem naśladował ruchy zwierzęcia, które zdawał się widzieć.

— O, patrzcie... Teraz leci do góry... Uu... Uu... Uu... Jak boli!

Caniveau stracił cierpliwość:

— Może twój zwierzak jest przyzwyczajony do wina i wścieka się, żeśmy mu dali wody.

Znów się odezwały śmiechy. Caniveau dodał:

— Jak przyjedziemy do kawiarni Bourbina, daj mu kieliszeczek tej mocnej, a przekonasz się, że ani drgnie.

Ale Belhomme nie mógł już dłużej wytrzymać bólu. Zaczął teraz wrzeszczeć co sił, jak gdyby go obdzierano ze skóry. Ksiądz musiał mu podtrzymywać głowę. Poproszono Cezarego, żeby się zatrzymał przed pierwszym domem, jaki napotkają.

Niebawem stanęli przed jakąś przydrożną gospodą. Wprowadzono tu Belhomme'a i ułożono go na stole kuchennym, aby ponowić operację. Caniveau radził, żeby do wody dolać wódki i w ten sposób zwierzę upoić, uspić, a może nawet zabić. Ksiądz jednak oświadczył się za octem.



Tym razem wsączano tę mieszaninę kropla po kropli, aby dotarła do wnętrza, następnie pozostawiono ją przez kilka minut w organie zamieszkałym przez złośliwe stworzenie.

Znów przyniesiono miednicę, a wówczas dwaj olbrzymi, ksiądz i Caniveau, szybko przewrócili chorego na drugi bok, nauczyciel zaś palcami stukał w zdrowe ucho, aby gruntownie opróżnić chore.

Nawet Cezary wszedł do izby z batem w rękę i przypatrywał się operacji.

Nagle dostrzeżono na dnie miednicy brunatny punkcik, nie większy od nasienia cebuli. Punkcik poruszał się jednak. Była to pchła! Zerwały się okrzyki zdziwienia, a później hałaśliwy śmiech. Pchła! Co za historia! Caniveau uderzał się po udach, Cezary trząsał batem, ksiądz pokładał się ze śmiechu, nauczyciel chlapał, jakby miał silny katar, a obydwie kobiety chichotały, wydając krótkie okrzyki radości podobne do gdakania kur.

Belhomme usiadł na stole i wzięwszy na kolana miednicę z wodą uważnie i ze złośliwą radością w oczach przyglądał się pokonanemu owadowi, kręcącemu się teraz w wodzie

— Masz, ścierwo! — zaklął i splunął na pchłę.

Woźnica podskakując z radości powtarzał:

— A to ci pchła! A to ci pchła! Psiakrew!

Uspokoiwszy się nieco krzyknął:

— Dalej w drogę! Dość czasu straciłem!

Podróźni ze śmiechem skierowali się ku dyliżansowi.

Belhomme idąc na ostatku oświadczył:

— Wracam do Criquetot. Nie mam już teraz żadnego interesu w mieście.

Woźnica odpowiedział:

— To wszystko jedno, ale zapłać!

— Zapłacę połowę, bo ledwie pół drogi ujechałem.

— Zapłacisz wszystko, bo wzięłeś miejsce do Hawru.

I rozpoczęła się sprzeczka, z której niebawem wywiązała się gwałtowna kłótnia. Belhomme zaklinał się, że nie da więcej niż franka, Cezary powtarzał, że musi dostać dwa.

Wrzeczeli obaj przyskakując do siebie, zaperzeni, z błyszczącymi gniewnie oczami.

Caniveau wysiadł z bryki.

— Posłuchaj — rzekł — naprzód zapłacisz dwa franki proboszczowi, a potem kolejkę wszystkim nam, to będzie razem dwa siedemdziesiąt pięć, a potem dasz Cezaremu franka. Zgadzasz się, mądrala?

Woźnica zachwycony, że Belhomme będzie musiał wydać trzy franki i siedemdziesiąt pięć centymów odparł:

— Zgoda!

— To płać!

— Nie zapłacę. Książdz to nie jest doktor.

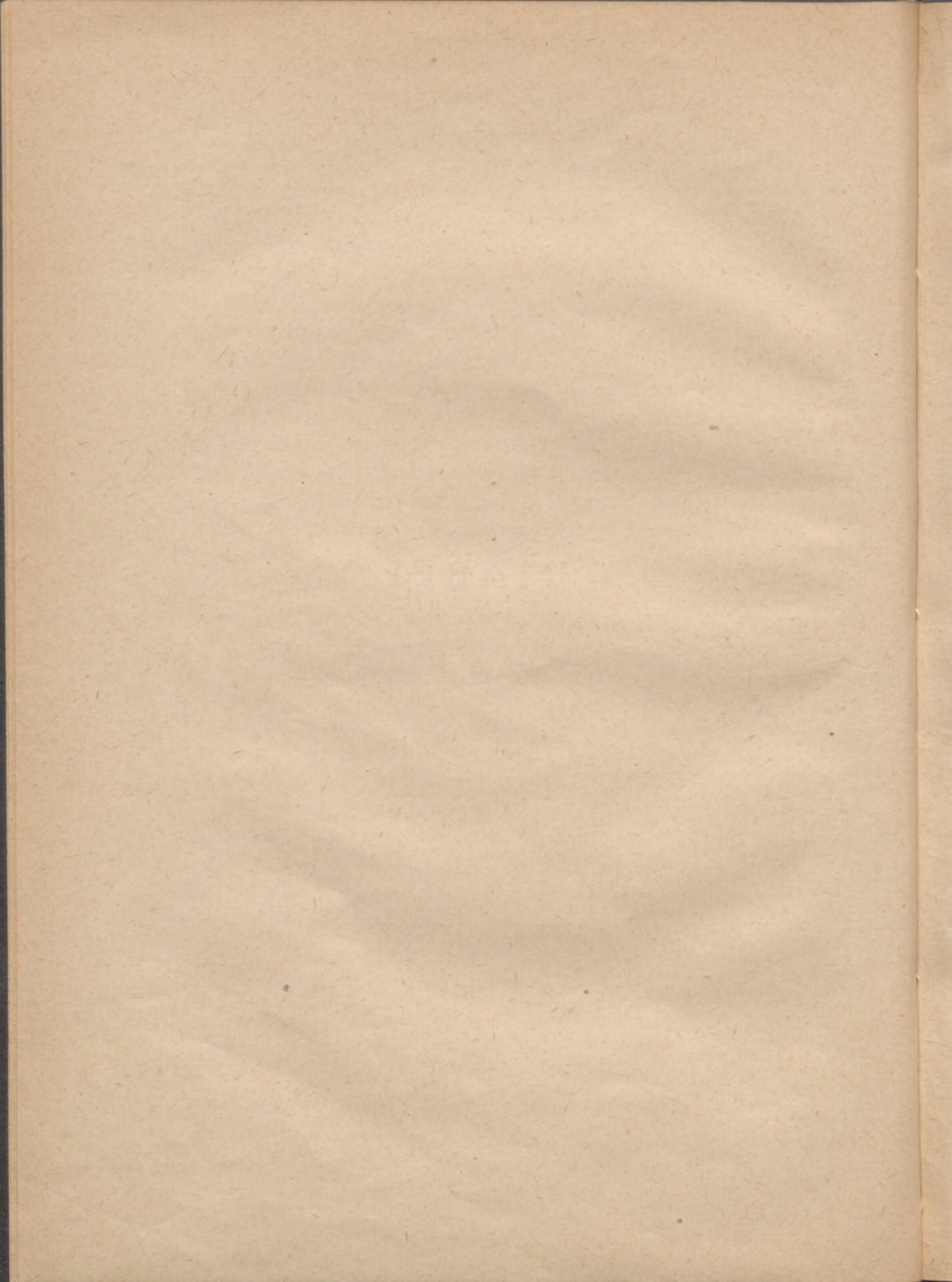
— Jak nie zapłacisz, to cię wsadzę nazad do budy Cezarego i zawiozę do Hawru.

Olbrzym chwyciwszy Belhomme'a za barki podniósł go jak dziecko. Belhomme zrozumiał, że nie ma żartów. Wyjął sakiewkę i zapłacił.

Po chwili dylizans znów ruszył w stronę Hawru, Belhomme zaś pieszo wracał do wsi; wszyscy podróżni nagle uspokojeni siedzieli milcząc wpatrzeni w drogę, gdzie wśród kurzu niebieska bluza wieśniaka kołysała się na długich nogach.



DIABEŁ





Wieśniak stał naprzeciw lekarza u łoża umierającej. Stara, spokojna i blada, z rezygnacją patrzyła na obu, przysłuchując się ich rozmowie. Miała umrzeć i nie buntowała się przeciw losowi; skończył się jej czas; liczyła lat dziewięćdziesiąt dwa.

Przez otwarte okno i drzwi strumienie lipcowego słońca płynęły na nierówne klepisko, ubite sabotami czterech chłopskich pokoleń. Dolatywała tu też woń pól niesiona przez gorący wiatr; woń traw, zboża i liści, palonych południowym upałem. Koniki polne przekrzykiwały się napełniając powietrze suchym trzaskiem, podobnym do odgłosu drzewnianych kołatek, jakie sprzedaje się dzieciom na jarmarkach.

Lekarz rzekł głośniejszym głosem:

— Bontemps, nie możecie tak zostawić waszej matki całkiem samej w tym stanie. To się może lada chwila skończyć.

Wieśniak ze smutkiem w głosie powtórzył:

— Kiedy ja muszę zwieźć zboże pod dach; i tak już za długo leży w polu. Teraz właśnie dobry czas. Co wy na to, matka?

Umierająca, która się jeszcze nie wyzbyła normandzkiego skąpstwa, spojrzeniem i miną potakiwała synowi, aby zwoził zboże do stodoły, a jej dał umrzeć samej.

Ale lekarz rozgniewany tupnął nogą.

— Cham jesteście, rozumiecie? Ja nie pozwalam na to, rozumiecie? Skoro musicie właśnie dziś zwozić wasze zboże, to idźcie po starą Rapet, niech dopilnuje waszej matki. A jeżeli mnie nie posłuchacie, to wam pozwolę zdechnąć jak psu, kiedy na was znowu przyjdzie choroba, rozumiecie?

Wieśniak, wysoki, chudy, o powolnych ruchach, znękany niezdecydowaniem i bojaźnią wobec doktora, a z drugiej strony zamiłowaniem do oszczędności, wahał się, rachował, mruzczał:

— A ile ona bierze, ta Rapet?

Lekarz krzyknął:

— Czy ja wiem? Zależy od tego, na jak długo ją weźmiecie. Zgodzicie się z nią. Ale ma tu być za godzinę, rozumiecie?!

Chłop zdecydował się.

— Idę, idę, nie ma się o co gniewać, panie konsyliarzu!

Doktor na odchodnym zawołał jeszcze:

— Uważajcie tylko, bo wiecie, że jak się gniewam, to nie ma ze mną żartów.

Po jego wyjściu wieśniak zwrócił się do matki i powiedział z rezygnacją:

— Idę po Rapetową, kiedy on każe; zaraz wrócę.

Stara Rapet dozorowała umarłych i umierających we wsi i okolicy. Później zaszywszy swych klientów w płótno, z którego już nie mieli wyjść, powracała do żelazka, aby prasować bieliznę dla żywych. Pomarszczona jak zeszłoroczne jabłko, zła, zazdrosna, potwornie skąpa, zgięta we dwoje, jak gdyby od ciągłego prasowania przełamana się w krzyżach. Można by powiedzieć, że agonia budziła w niej pewien rodzaj cynicznego upodobania. Nie mówiła nigdy o czym innym jak tylko o ludziach, na których śmierć patrzyła, o zgonach, których była



świadkiem, a opowiadała z wielką dokładnością, z wszystkimi szczegółami, jak myśliwy opowiada o swoich strzałach.

Kiedy Bontemps przyszedł do niej, przygotowywała farbkę na marszczone kryzy wieśniaczek. Powiedział jej:

— Dzień dobry. Co u was słychać, wszystko dobrze?

Zwróciła się ku niemu:

— Po staremu, po staremu. A co u was?

— U mnie? Wszystko dobrze. Tylko, że coś z matką...

— Z matką?

— Tak, z matką.

— Co jej jest?

— Tylko czekać, jak się przeniesie na tamten świat.

Stara kobieta wyciągnęła ręce z wody; niebieskawe, przezroczyste krople spływały z jej palców.

Nagle zapytała ze współczuciem:

— To już tak z nią źle?

— Doktor mówi, że jutra może nie doczeka.

— No, to pewno z nią źle!

Bontemps wahał się. Chciał przygotować grunt dla swej propozycji. Ale że nic mu na myśl nie przyszło, zdecydował się w jednej chwili:

— Ile byście tak wzięli, żeby przy niej być do końca?

Wiecie dobrze, że ja nie bogacz. Nawet sługi trzymać nie mogę. To ją przecie zmogło — za dużo roboty! Pracowała za dziesięć, pomimo swoich lat.

Rapetowa odrzekła powoli:

— Są dwie ceny: dwa franki za dzień, trzy franki za noc dla bogatych; frank za dzień, dwa za noc dla innych. Wy mi będziecie płacili franka i dwa franki.

Wieśniak namyślał się. Znał dobrze matkę. Wiedział, jaka jest wytrzymała, silna. To mogło potrwać jeszcze z osiem dni, mimo orzeczenia lekarza.

Odpowiedział stanowczo:

— Nie. Wolę, żebyście mi powiedzieli razem, aż do końca. Doktor powiedział, że się niedługo skończy. Jeżeli tak, to wasz zysk, a moja strata. A jak przetrzyma jutro i dłużej, to mój zysk, a wasza strata.

Kobieta zdziwiona spojrzała na mówiącego. Nigdy nie godziła się na ryczałt... Wahała się, nie chcąc ryzykować. Potem przyszło jej na myśl, że może ją chce wywieść w pole.

— Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie zobaczę waszej matki.

— Chodźcie ze mną.

Wytarła ręce i poszła natychmiast.

Po drodze nie rozmawiali. Ona szła śpiesznie, on wyciągał swoje długie nogi, jakby za każdym krokiem miał przesadzić strumień.

Krowy leżące na polu, zleniwiałe od skwaru, podnosiły ciężko głowy i wydawały słabe stęknienia, jak gdyby prośbę o świeżą trawę.

Zbliżając się do domu, Bontemps mruknął:

— A gdyby się tak już skończyło samo?

Ton głosu wyrażał jego niejasne życzenie.

Ale stara żyła. Patrzała w pułap leżąc na barłogu, ręce złożyła na fioletowej, bawełnianej kołdrze, ręce przerażająco chude, obnażone, podobne do dziwaczkich krabów albo pajaków, powykręcane od reumatyzmu, umęczenia i robót, których niemało dokonały w ciągu prawie całego wieku.

Rapetowa zbliżyła się do chorej i spojrzała na nią uważnie. Wzięła ją za puls, opukała, zapytała o coś, aby usłyszeć jej głos, potem znowu uważnie się jej przypatrzyła i wyszła z synem. Wyrobiła sobie stanowcze zdanie: stara nie przeżyje nocy.

— No więc?

Kobieta powiedziała:



— To potrwa dwa dni, może trzy. Dacie mi sześć franków za wszystko razem.

— Sześć franków — zawołał — sześć franków! Czyście zwariowali? Ja wam mówię, że to na pięć, sześć godzin, nie więcej!

Długo targowali się zaciekle. Ale że kobieta już chciała odejść, a zboże samo do stodoły by nie zaszło, zgodził się na koniec:

— Niech będzie sześć franków za wszystko aż do po-grzebu.

— Sześć franków.

Odszedł do swego zboża leżącego na polu.

Kobieta wróciła do chaty. Wzięła się do roboty, gdyż czuwając przy umierających ustawicznie pracowała dla siebie lub dla rodziny, która ją najęła.

Nagle zapytała:

— A sakramenta przyjęliście?

Wieśniaczka zaprzeczyła poruszeniem głowy, a Rapetowa, kobieta bardzo pobożna, powstała żywo.

— Jezus, Maria, Józef! Czy to może być? Lecę po księdza proboszcza.

Ksiądz wyruszył niebawem w białej komży; chłopak z chóru głośnym dzwonieniem obwieszczał cichej i nagrzanej wiosce, że idzie z Panem Bogiem. Ludzie pracujący w oddali zdejmowali czapki i zaprzestawali na chwilę roboty, dopóki biały strój kapłana nie zniknął za jakąś chatą; kobiety wiążące snopy zwróciły się w stronę, skąd dochodził dźwięk, i kreśliły znak krzyża, czarne kury przestraszone biegły chwiejąc się na nogach wzdłuż rowu, aż do dobrze im znanej dziury, gdzie zapadały nagle; siwek, przywiązany do pala na łące, przestraszony białą komżą zaczął biegać wokoło rwąc się na sznurze. Chłopak kościelny, w czerwonym ubraniu, szedł prędko, kapłan kroczył za nim z głową opuszczoną

na piersi, z biretem na głowie, szepcząc modlitwy; za nimi dreptała Rapetowa skulona we dwoje, jak gdyby każdej chwili miała upaść w przód, z rękami złożonymi jak w kościele.

Bontemps widział ich z daleka. Zapytał:

— A dokąd to jegomość?

Chłopiec szybko odpowiedział:

— Idziemy do waszej matki z Panem Jezusem.

Wieśniak nie był zdziwiony.

— Tak, tak. Na to nie ma sposobu.

I wziął się znów do roboty.

Matka Bontemps wypowiedziała się, otrzymała rozgrzeszenie, przyjęła komunię i kapłan odszedł pozostawiając obie kobiety w parnej i dusznej atmosferze izby.

Rapetowa spoglądała na umierającą ciekawa, czy też to długo jeszcze potrwa.

Dzień się skończył; świeższe powietrze wchodziło ze świeższym wiatrem, który poruszał święty obraz przytwierdzony dwoma gwoździemi do ściany; małe firanki, niegdyś białe, dziś żółkłe i popstrzone przez muchy, podfruwwały, jak gdyby chciały uwolnić się, ulecieć jak dusza starej kobiety.

Ona, nieruchoma, z oczami szeroko otwartymi, zdawała się obojętnie czekać śmierci tak bliskiej, która widocznie ociągała się. Krótki oddech, wydobywający się ze ściśniętego gardła, wydawał odgłos podobny do gwizdu. Niedługo ustanie — i będzie na ziemi o jedną kobietę mniej, o jedną kobietę, po której nikt nie będzie płakał.

O zmroku wrócił Bontemps. Zbliżywszy się do łóżka spostrzegł, że matka żyje jeszcze, i zapytał:

— No, co słyhać?

Tak pytał i dawniej, kiedy czuła się trochę niezdrowa.



Pożegnał Rapetową z poleceniem:

— Jutro o piątej, na pewno.

— Jutro o piątej — odrzekła.

Przyszła w istocie z brzaskiem dnia.

Zanim Bontemps wyszedł na pole, zjadł zupę, którą sobie sam ugotował.

Kobieta zapytała:

— Jak z matką? Żyje?

Odpowiedział ze złośliwym zmrużeniem oczu:

— Ma się nawet lepiej.

Rapetowa, zaniepokojona, zbliżyła się do umierającej, która leżała w tym samym stanie, apatyczna i nieruchoma, z oczami otwartymi i zaciśniętymi rękami, złożonymi na kołdrze.

Zrozumiała, że to może trwać dwa dni, cztery dni, nawet osiem dni; i obawa ścisnęła jej skąpe serce, a także złość na chłopca, który ją wystrychnął na dudka, i na kobietę, która nie umierała.

Wzięła się jednak do roboty i czekała, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na pomarszczoną twarz umierającej.

Bontemps powrócił na śniadanie; wydawał się zadowolony, prawie wesół; potem znowu odszedł. Zwoził szczęśliwie zboże do stodoły.

Rapetowa zżymała się; każda minuta uchodząca obecnie wydawała się jej kradzionym czasem, kradzionym groszem. Miała chęć, gwałtowną chęć chwycić tę upartą babę za szyję, ścisnąć trochę i zatrzymać ten szybki oddech, który kradł jej czas i pieniądze.

Pomyślała jednak o niebezpieczeństwie; przyszło jej na myśl co innego, zbliżyła się do łóżka i zapytała:

— Widzieliście wy kiedy diabła?

Matka Bontemps szepnęła:

— Nie.

Rapetowa stała się rozmowna i zaczęła opowiadać jej historie, które miały napęlić strachem osłabioną wyobraźnię umierającej.

— Kilka minut przed śmiercią — mówiła — pokazuje się wszystkim ludziom diabeł. Ma w ręce miotłę, na głowie rondel i głośno krzyczy. Jak go człowiek zobaczy, to ma już tylko parę chwil życia. — Zaczęła wyliczać tych, którym diabeł ukazał się w jej obecności: Józef Loisel, Eulalia Ratier, Zofia Padagneau, Serafina Gros pied.

Matka Bontemps, poruszona opowiadaniem, podniosła nieco ręce i usiłowała zwrócić twarz ku oknu.

Nagle Rapetowa znikła u stóp łóżka. Wyjęła z szafy płachtę, w którą się ubrała, na głowę nasadziła rondel, którego trzy krótkie wygięte nóżki wyglądały jak rogi; do prawej ręki wzięła miotłę, do lewej blaszane wiadro, które rzucone silnie w powietrze spadło na ziemię z głośnym brzękiem.

W tym przebraniu weszła na krzesło, odsunęła firankę wiszącą u łóżka i ukazała się chorej gestykując, wydając z siebie ostre głosy, które przybierały głuchy dźwięk w żelaznym garnku, zasłaniającym jej twarz; przy tym bezustannie wywijala miotłą.

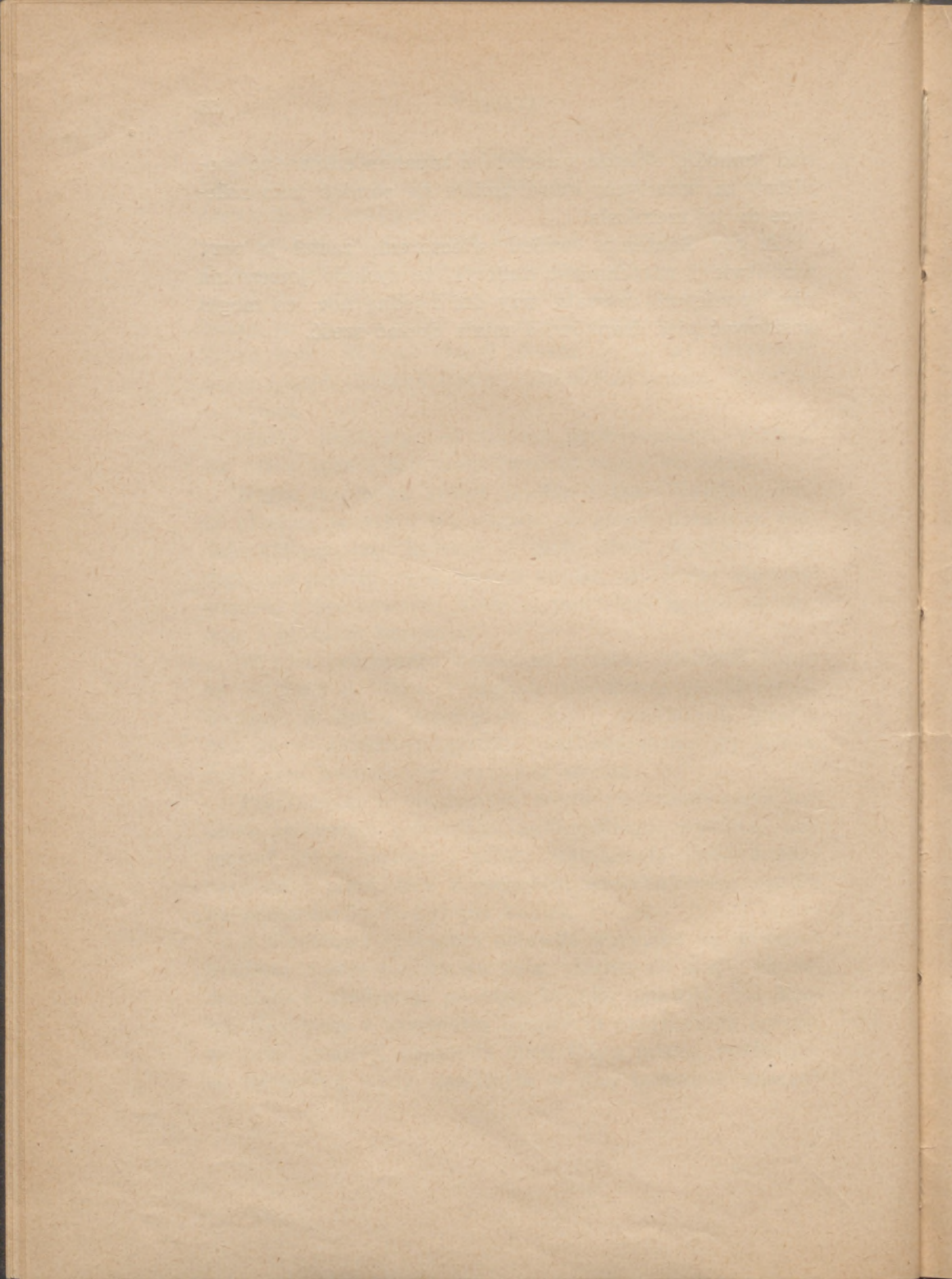
Przerazona, z obłąkanym wzrokiem, umierająca kobieta próbowała ostatniego nadludzkiego wysiłku, aby zerwać się z barłogu i uciec; wyciągnęła spod kołdry ramiona i pierś, lecz z głębokim westchnieniem opadła na poduszkę — to był już koniec.

A Rapetowa spokojnie ustawiła wszystko na dawnym miejscu, miotłę rzuciła do kąta, płachtę do szafy, rondel do sieni i wiadro na podłogę; krzesło ustawiła pod ścianą. Następnie z zawodową biegłością przymknęła ogromne oczy zmarłej, postawiła obok łóżka miskę, wlała nieco święconej wody, zanurzyła w niej bukszpan wiszący



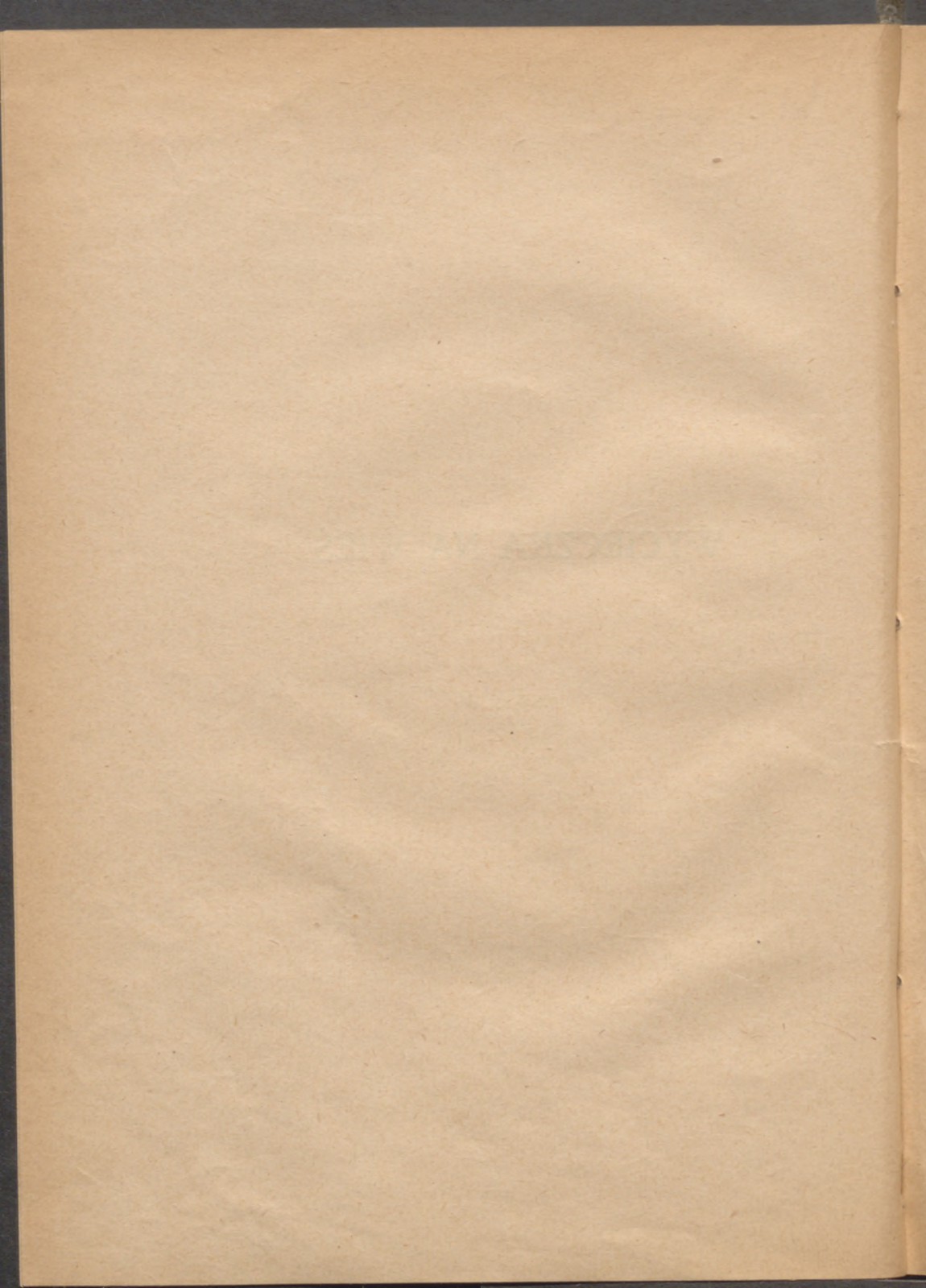
nad komodą, ukłękła i zaczęła z zapalem odmawiać modlitwy za umarłych, które umiała na pamięć jako należące do jej rzemiosła.

A gdy Bontemps wrócił wieczorem, zastał ją przy modlitwie i natychmiast obliczył, że zyskała jeszcze na nim, ponieważ czuwała trzy dni i jedną noc, co mogło kosztować pięć franków, a miała dostać sześć.





WYCIECZKA NA WIEŚ





Od pięciu miesięcy istniał projekt, żeby w dzień imienin pani Petroneli Dufour wyjechać gdzieś pod Paryż i zjeść obiad.

Pan Dufour powoził sam wózkiem pożyczonym od mleczarza. Dwukołowy wehikuł był bardzo czysty; wznosił się nad nim daszek, wsparty na czterech żelaznych prętach, do których były przymocowane firanki, w tej chwili podniesione, aby można było widzieć krajobraz. Tylko tylna firanka powiewała na wietrze jak sztandar. Solenizantka siedziała obok małżonka w jedwabnej sukni koloru wiśniowego. Za nimi, na tylnym siedzeniu, ulokowała się babka i młoda dziewczyna. Widać jeszcze było żółte włosy chłopca, który w braku siedzenia wyciągnął się wprost na dnie wózka, ukazując tylko głowę.

Minąwszy Pola Elizejskie i fortyfikacje u bramy Maillot zaczęli się przyglądać okolicy.

Gdy dojechali do mostu w Neuville, Dufour wykrzyknął: — Nareszcie wieś! — a na ten sygnał żona jego roztkliwiła się pięknem przyrody.

Na zbiegu alej w Courbevoire przejęła ich podziwem daleka perspektywa krajobrazu. Po prawej stronie wznosiła się w oddali wieża w Argenteuil; poniżej widniały strzelnice w Samnois i Orgemont. Po stronie lewej akwedukt z Marly rysował się na czystym, rannym niebie, nieco dalej taras Saint Germain; naprzeciwko zaś, na

skraju łańcucha gór, świeżo rozkopana ziemia wskazywała nową fortecę Cormeilles. Całkiem w głębi, daleko ponad równinami i wioskami majaczyła ciemna zieleń lasów.

Słońce zaczynało już prażyć twarze jadących; kurz ustawicznie zasypywał oczy, a po obydwu stronach drogi rozścielała się wieś rozpaczliwie naga, brudna i cuchnąca, jakby ją stoczył trąd, niszcząc nawet domostwa — szkielety opuszczonych i zapadłych budynków lub chat niedokończonych z powodu braku pieniędzy sterczały tu i ówdzie czterema ścianami bez dachów.

Gdzieś wystrzelały z jałowej ziemi wysokie kominy fabryczne — jedyna roślinność tych cuchnących pól, gdzie wiosenny wietrzyk rozprowadzał woń nafty i łupku w połączeniu z innym odorem, jeszcze mniej przyjemnym.

Po raz drugi na koniec przebyli Sekwanę i niewymowny zachwyty ogarnął ich na mście. Rzeka migotała i lśniła; ponad jej taflą unosiła się lekka mgła, którą rozprasało słońce; wycieczkowicze czuli słodki spokój i świeżość, mogąc nareszcie odetchnąć czystym powietrzem, nie zawierającym czarnych dymów fabrycznych ani wzięwów śmietników.

Jakiś przechodzień wymienił nazwę wsi: Beons.

Wózek przystanął i Dofour zaczął odczytywać zachęcający szyld: Restauracja Poulin, śniadania, obiady i kolacje, gabinety, altany, huśtawki.

— No co, pani Dufour, czy ci to odpowiada? Zdecydujesz się nareszcie?

Żona z kolei przeczytała: — Restauracja Poulin, śniadania, obiady i kolacje, gabinety, altany, huśtawki. Następnie zaczęła powoli oglądać dom.



Była to biała, wiejska oberża, leżąca tuż przy drodze. Przez otwarte drzwi widać było błyszczący cynk kontuaru, koło którego stali dwaj odświętnie ubrani robotnicy.

Ostatecznie pani Dufour powzięła decyzję. — Tak, możemy tu zostać; widok dosyć ładny.

Wózek wjechał na obszerny plac pełen dużych drzew, ciągnący się za oberżą, a oddzielony od Sekwany tylko ścieżką holowniczą.

Zaczęto wysiadać. Pierwszy zeskoczył mąż i roztrząsał ramiona dla pochwycenia swej połowicy. Stopień podtrzymywany przez dwie żelazne gałązki był zbyt odległy; chcąc go zatem dosięgnąć pani Dufour zmuszona była ukazać pół łydki, której dawna smukłość znikła pod falą tłuszczu zaczynającą się od uda.

Dufour, podniecony już urokiem wsi, szczytną ją w łydkę, po czym ująwszy pod rękę ciężko ustawił na ziemi jak ogromny pakunek.

Strzepnęła ręką kurz ze swojej jedwabnej sukni i rozejrzała się po nowej miejscowości.

Była to kobieta mogąca liczyć około trzydziestu sześciu lat, tęga, rozkwitła, o miłym wyglądzie. Oddychała z trudem, zbyt silnie zesnurowana ciasnym gorsetem; a ucisk tej maszyny podzuchał falującą masę nazbyt rozrosłej piersi niemal do podwójnego podbródka.

Następnie młoda dziewczyna, położywszy dłoń na ramieniu ojca, lekko skoczyła na ziemię. Młodzian o złotych włosach zeskoczył postawiwszy nogę na kole i pomógł panu Dufour przy wylądowaniu babki.

Odprężnięto konia i przywiązano go do drzewa, a wózek obydwojma dyszlami opadł na ziemię. Mężczyźni zrzuciwszy surduty obmyli ręce w wiadrze z wodą, po czym przyłączyli się do pań zainstalowanych już na huśtawkach.



Panna Dufour próbowała huścić się stojąc i bez niczyjej pomocy, nie mogła jednak nabrać rozpędu.

Była to piękna dziewczyna między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia; jedna z tych kobiet, których spotkanie na ulicy rozpala nagłe pragnienie, pozostawiając aż do wieczora dziwny niepokój i podniecenie. Wysoka, cienka w pasie, szeroka w biodrach, miała cerę bardzo smagłą, oczy bardzo duże, włosy bardzo czarne. Suknia jej uwydatniała doskonale jędrną pełnię kształtów, rysujących się jeszcze plastyczniej wskutek wysiłku, jaki wykonywała dla nabrania dostatecznego rozmachu na huśtawce. Wyteżone w górze ramiona trzymały się sznurów, a pierś jej wznosiła się spokojnie za każdym pchnięciem huśtawki. Kapelusz porwany wiatrem sfrunął na ziemię; huśtawka, nabierając zwolna rozpędu, za każdym ruchem odsłaniała aż po kolana jej smukłe łydki przed oczyma dwóch przyglądających się jej z uśmiechem młodych mężczyzn i przynosiła zapach jej sukni, bardziej odurzający od oparów wina.

Siedząc na drugiej huśtawce pani Dufour jęczała monotonna:

— Cyprianie, chodź mnie pchnąć! Chodź mnie pchnąć!

Przyszedł nareszcie i podkasawszy rękawy koszuli jak przed zabraniem się do ciężkiej roboty z trudem zdołał wprawić żonę w ruch.

Kurczowo trzymając się sznurów, nogi wyciągnęła prosto przed siebie, aby nie dotykać ziemi, i rozkoszowała się oszołomieniem wywołanym przez ustawiczne kołysanie. Kształty jej, wstrząsane ruchem, drżały jak galareta na półmisku. Huśtawka podlatywała jednak coraz wyżej, przyprawiając ją o zawrót głowy i trwożę. Za każdym zlotem na dół wydawała piskliwy krzyk, który zwabiał urwisów z całej wsi; naprzeciwno, ponad



plotem ogrodu, widziała niewyraźnie majaczące twarze uliczników, wykrzywione drwinami i urągliwym śmiechem.

Nadeszła kelnerka i zamówiono obiad.

— Smażona ryba, królik w dzikim sosie, sałata i deser — zadysponowała pani Dufour z miną pełną godności.

— Dwa litry zwykłego wina i butelka bordeaux — dodał mąż.

— Będziemy jeść obiad na trawie — zakończyła młoda dziewczyna.

Babka, rozczulona widokiem kota, od dziesięciu minut chodziła za nim, obdarzając go najczulszymi słowami. Zwierzę, w gruncie rzeczy prawdopodobnie szczęśliwe z okazywanych mu względów, trzymało się w pobliżu dobrodusznej kobiety, nie pozwalało się jednak schwycić, z wyprostowanym ogonem spokojnie okrążając drzewa i ocierając się o pnie, mruczało zadowolone.

— Patrzcie! — zawołał nagle młodzieniec o żółtych włosach, badawczo rozglądając się po otoczeniu. — Łódki koło brzegu!

Poszli je oglądać. Pod małą drewnianą szopą stały wsparte dwie piękne łódzie, delikatne i starannie wykonane jak luksusowe meble. Spoczywały tuż obok siebie podobne do dwóch wysokich, szczupłych dziewczyn, budząc pragnienie wiosłowania w piękne, ciepłe wieczory lub w jasne letnie ranki, opływania ukwieconych brzegów, gdzie drzewa maczają konary w wodzie i nieustanny powiew drży w sitowiu, podczas gdy zimorodki wzlatają jak błękitne błyskawice.

Cała rodzina z szacunkiem oglądała łódzie. — Tak, to czółna wioślarzy-amatorów — poważnie stwierdził pan Dufour.

Zaczął je oglądać szczegółowo oczami znawcy.



— Ja też w młodości z zamięłowaniem oddawałem się wioślarstwu — opowiadał, wykonując ruchy wioślarza — i na łódce, z wiosłem w ręce drwiłem sobie z całego świata. Nieraz się też w Joinville wyprzedziło jakiegoś Anglika.

Żartował ze słowa „baby“ oznaczającego dwa sztyfty do podtrzymywania wiosła, wobec czego wioślarze znani są z tego, że nigdy nie wychodzą bez swoich „bab“. Stopniowo wpadał w zapał, utrzymując, że gotów się założyć, iż taką łódką przepłynie sześć mil w ciągu godziny, wcale się nie śpiesząc.

— Obiad gotowy — oznajmiła kelnerka stając u furtki.

Wrócili pośpiesznie, ale na najlepszym miejscu, które upatrzyła pani Dufour, siedzieli już dwaj młodzi ludzie spożywając posiłek. Byli to niewątpliwie właściciele czółen, sądząc po ich wioślarskich kostiumach.

Siedzieli, niemal leżeli wyciągnięci na krzesłach. Mieli twarze ogorzałe od słońca, a piersi okryte jedynie cienkimi trykotami z białej bawełny, odsłaniającej ich ramiona, potężne jak u kowali. Silnie zbudowani, pozujący na tężyznę; w ruchach ich przejawiał się elastyczny wdzięk, jakiego się nabywa przez uprawianie sportu, tak różny od zniekształcenia członków skutkiem przykrych i jednostajnych wysiłków robotnika.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy na temat matki i spojrzenia na temat córki.

— Ustąpmy im miejsca — powiedział jeden — w ten sposób nawiąże się znajomość. — Drugi wstał natychmiast i trzymając w ręku beret na pół czerwony, na pół czarny z rycerskim ukłonem zaofiarował damom jedyne w ogrodzie cieniste miejsce. Przyjęto je rozpluwając się w podziękowaniach; aby zaś było bardziej sielankowo rodzina rozlokowała się na trawie, bez stołu i krzesel.



Młodzi ludzie ustawili swe nakrycia w odległości kilku kroków i ponownie zabrali się do jedzenia. Nagie ich ramiona, widoczne bez przerwy, żenowały trochę młodą dziewczynę. Udawała nawet, że odwraca głowę i wcale ich nie widzi, podczas gdy pani Dufour odważniejsza, przy tym zdjęta kobiecą ciekawością, będącą może pożądaniem, spoglądała ku nim co chwilę, czyniąc zapewne żalosne porównania z ukrytą brzydota swego męża.

Osunęła się na trawę podwinąwszy nogi i kręciła się ustawicznie pod pretekstem, że mrówki jej dokuczają. Pan Dufour, zasepiiony obecnością i uprzejmością obcych mężczyzn, nadaremnie starał się przybrać wygodną pozycję, a młodzian o żółtych włosach jadł w milczeniu jak dzikus.

— Śliczna pogoda, nieprawdaż? — zagadnęła gruba dama, zwracając się do jednego z wioślarzy. Chciała okazać uprzejmość za odstąpione miejsce.

— Tak, proszę pani — odparł — Państwo często urządzają sobie wycieczki na wieś?

— Och, raz lub dwa razy do roku, aby odetchnąć świeżym powietrzem; a pan?

— Ja tu codziennie przyjeżdżam na noc.

— Ach, to musi być ogromnie przyjemnie.

— Oczywiście.

I zaczął poetyzować swoje codzienne życie, poruszając najczulsze strony w sercach tych mieszczuchów, pozabawionych trawy i łaknących przechadzki wśród pól; obudził w nich naiwną miłość przyrody, przesładującą ich przez cały rok za kantorem sklepu.

Młoda dziewczyna wzruszona podniosła oczy i wpatrzyła się w wioślarza. Pan Dufour po raz pierwszy zabrał głos, mówiąc:



— To mi życie! — I dodał: — Moja droga, czy pozwolisz jeszcze kawałek królika?

— Nie, dziękuję. — Znow zwróciła się do młodych ludzi i wskazując na ich obnażone ramiona spytała:

— Czy panom nigdy nie zimno?

Zaśmiali się obaj i zaczęli rozpowiadać szeroko o forsownych wycieczkach, o kąpielach w zimnej wodzie bez względu na spocone ciało, przejażdżkach wśród nocnej mgły, wprawiając tym w podziw rodzinę mieszczuchów; przy czym raz po raz silnie uderzali się w pierś, aby okazać, jaki się z niej wydobywa dźwięk.

— O, panowie wyglądają na zuchów — rzekł pan Dufour, nie wspominając już czasów, kiedy zwyciężał Anglików.

Młoda dziewczyna przyglądała się im teraz z ukosa, a młodzian o żółtych włosach, zakrzusiwszy się winem, kaszlał straszliwie plamiąc wiśniową jedwabną suknię pryncypałowej, która zirytowana kazała przynieść wody, żeby zmyć świeże plamy.

Upał tymczasem stawał się nieznośny. Rzeka migocząca w słońcu robiła wrażenie rozpalonego ogniska, a opary wina sprawiały zamęt w głowach.

Pan Dufour w paroksyzmie gwałtownej czkawki rozpiął kamizelkę i najwyższy guzik spodni, a pani dręczona dusznościami rozluźniała po trochu suknię. Subiekt potrząsnął wesoło swą rozczochraną konopiastą czupryną, nalewając sobie kieliszek po kieliszku. Babka czując, że jest już nieco podchmielona, trzymała się bardzo prosto, z wielką godnością. Po młodej dziewczynie nie można było nic poznać; tylko oczy jej dziwnie błyszcząły, a bardzo smągła skóra zaróżowiła się lekko na policzkach.

Po kawie zaproponowano śpiew i każdy popisывał się swoją piosenką, którą pozostali przyjmowali szalonymi



oklaskami. Potem z trudem dźwignęły się z trawy; i gdy obydwie starsze kobiety oszołomione z trudem chwyciły powietrze, mężczyźni całkiem pijani zaczęli się gimnastykować. Ciężcy, bez mięśni, o twarzach szkarłatnych, niezręcznie czepiali się kółek, nie mogąc się podnieść; a koszule ich ustawicznie groziły wymknięciem się ze spodni, aby jak sztandary powiewać na wietrze.

Wioślarze tymczasem spuścili łódki na wodę i wrócili do towarzystwa, grzecznie ofiarowując damom przejażdżkę po rzece.

— Dufour, czy się zgadasz? Błagam cię! — krzyknęła połowica. Spojrzał na nią błędnym spojrzeniem nie rozumiejąc, o co chodzi. Wtedy jeden z wioślarzy podszedł ku niemu ofiarowując mu dwie wędkę. Nadzieja złowienia kielbisa, ten ideał każdego sklepikarza, zapłonęła w smętnym spojrzeniu poczciwca. Zezwoliwszy na wszystko usiadł w cieniu pod mostem, z nogami zwieszonymi nad powierzchnią wody, a obok niego ulokował się młodzian o żółtych włosach i natychmiast zasnął.

Jeden z wioślarzy poświęcił się i wziął matkę.

— Do lasku na Wyspie Angielskiej! — krzyknął towarzyszkowi odbijając od brzegu.

Druga łódka odpłynęła powolniej. Wioślarz zapatrzony w swoją towarzyszkę o niczym innym nie myślał, przy czym opanowywało go wzruszenie paraliżujące jego siły.

Młoda dziewczyna, siedząc na ławeczce sternika, poddawała się kołysaniu łódki. Ogarnął ją całkowity bezwład, ukojenie wszystkich członków, uciszenie całej istoty.

Twarz miała teraz bardzo czerwoną, a oddech krótki. Odurzenie winem, spotęgowane gwałtownym upałem zlewającym się z nieba na całe otoczenie, wywoływało u niej złudzenie, że drzewa nabrzeżne kłaniają się jej. Nieokreślona potrzeba rozkoszy, wzburzenie krwi sma-



gało jej ciało podniecone żarem dnia; niepokoilo ją też to sam na sam na wodzie, w okolicy wyludnionej jakby pożarem niebios, z młodym człowiekiem, któremu się podobała, którego spojrzenie pieściło jej skórę, a pożądliwość paliła jak grotty słoneczne.

Niemożność mówienia potęgowała jeszcze ich wzruszenie; rozglądali się więc po okolicy. Na koniec, zdobywając się na wysilek, zapytał, jak jej na imię.

— Henryka — powiedziała.

— Ach, a mnie Henryk — odparł.

Wymiana tych paru słów znacznie ich uspokoiła; zaczęli zajmować się rzeką. Pierwsza łódka zatrzymała się i zdawała się na nich czekać. Wioślarz krzyknął:

— Spotkamy się w lesie; teraz popłyniemy aż do Robinsona, bo pani chce się czegoś napić. — To rzekłszy pochylił się nad wiosłem i pomknął tak szybko, że za parę chwil stracili go z oczu.

Jakiś pomruk, dochodzący ich od pewnego czasu, zaczął się nagle potęgować i zbliżać. Nawet rzeka zdawała się drzeć, jakby ten głuchy dźwięk wydobywał się z jej głębi.

— Co to jest? — zapytała.

Był to wodospad koło grobli, dzielącej rzekę na dwie części koło wysepki. Gmatwał się w wyjaśnieniach, gdy wśród szumu wodospadu odezwał się śpiew ptaka, dochodzący jakby z wielkiej oddali.

— Och, słowik śpiewa w dzień! widocznie samiczka siedzi na jajkach.

Słowik! Nigdy go nie słyszała, a świadomość, że słucha jego śpiewu, rozbudziła w jej sercu poetyczne wizje miłości. Słowik! Ten niewidzialny świadek schadzek miłosnych, wzywany na balkonie przez Julię; ta muzyka niebiańska, towarzysząca pocałunkom ludzkim; wieczny inspirator wszystkich tęsknych romansów uka-



zujących błękitny ideał biednym, czułym serduszkom dziewczęcym!

Słyszysz śpiew słowika!

— Jeżeli będziemy cicho — rzekł jej towarzysz — będziemy mogli wejść do gajku i usiąść tuż w pobliżu słowika.

Czołno zdawało się ślizgać bezszelestnie. Ukazały się drzewa wysepki, której brzeg był tak niski, że oczy docierały w głąb zarośli. Przybił do brzegu i przywiązał łódź; dziewczyna wsparła się na ramieniu Henryka i oboje szli między drzewami.

— Proszę się schylić — rzekł.

Schyliła się i weszli w nierozzerwalny gąszcz pnączy, liści i trzcin, tworzących ukryty zakątek, który należało znać, aby się tu dostać. Młody człowiek roześmiał się:

— To mój gabinet.

Prosto nad ich głowami uczepiony gdzieś na wysokiej gałązce drzewa, pod którym stali, ptak zanosił się od śpiewu. Rzucił trele i kaskady tonów, które wibrującymi dźwiękami napelniały powietrze i zdawały się ginać na horyzoncie, płynęły ponad rzeką, unosiły się nad równinami, poprzez ognistą ciszę ciężącą nad okolicą.

Nie rozmawiali, aby go nie spłoszyć. Usiedli obok siebie i zwolna ramię Henryka objęło kibić Henryki, oplatając ją czułym uściskiem. Bez gniewu ujmowała tę śmiałą rękę, bezustannie ją odsuwając, w miarę jak się zbliżała; pieczyta ta nie wprawiała jej zresztą w zakłopotanie, jak gdyby była czymś zupełnie naturalnym, co ona odczuwała równie naturalnie.

Pogrążona w ekstazie słuchała ptaka. Uczuwała nieokreślone pragnienie szczęścia; przenikały ją raptowne porywy czułości, objawienia poezji nadziemskiej i takie obezwładnienie nerwów i serca, że płakała nie wiedząc



dłaczego. Młody człowiek tulił ją teraz do siebie; nie odpychała go już, wcale o tym nie myśląc.

Nagle słowik zamilkł. Oddalony głos zawołał:

— Henryko!

— Proszę nie odpowiadać — rzekł cicho — bo słowik odleci.

Nie miała zresztą wcale zamiaru odpowiadać.

Tak trwali przez chwilę. Pani Dufour usiadła widocznie gdzieś w pobliżu, gdyż od czasu do czasu dolatywały niewyraźne piski grubej damy, z którą niewątpliwie zabawiał się drugi wioślarz.

Dziewczyna ciągle płakała, przejęta niezmiernie słodkimi uczuciami, a jej gorącą skórę przebiegały jakieś nieznane łaskotania. Głowa Henryka leżała na jej ramieniu; nagle ucałował ją w same usta. Chcąc mu się wymknąć upadła na wznak. Rzucił się jednak na nią i nakrył ją całym swym ciałem. Długo ścisnął uciekające przed nim usta, a dopadłszy ich przycisnął do nich swoje. Wtedy oszalała gwałtownym pragnieniem oddała mu pocałunek, cisnąc go do swej piersi, i cały jej opór opadł, jakby zmiażdżony zbyt wielkim ciężarem.

Wokoło panowała niezmacona cisza. Ptak znów zaczął śpiewać. Naprzód wyrzucił trzy tony przenikliwe niby zew miłosny, następnie, po krótkiej pauzie, zciszoną głosem zaczął bardzo powolne modulacje.

Miękki powiew wiatru obudził szmer w liściach; w gąszcz gałęzi uleciały dwa płomienne westchnienia, zlewając się ze śpiewem słowika i lekkim szelestem krzaków.

Ptaka ogarnęło upojenie, a głos jego potęgował się stopniowo jak pożar lub namiętność, podczas gdy pod drzewem wtórowały mu pocałunki. Szał melodii rozpętał się zupełnie. Niektóre tony zdawały się omdlewać i rozpływać w śpiewnych spazmach.



Chwilami wypoczywał, wydając dwie lub trzy słabe nuty, które nagle kończył z uniesieniem. Albo też podejmował zawrotny motyw, pełen perlistych gam i drzeń, urywaną, szaloną pieśń miłosną, po której następowały okrzyki triumfu.

Wtem zamilkł usłyszawszy pod sobą jęk tak głęboki, że można go było wziąć za pożegnanie duszy. Trwał jeszcze chwilę i zakończył się szlochem.

Oboje byli bardzo bladzi opuściwszy swe łoża z zieleni. Błękit niebios wydawał się przyćmiony; promienne słońce zagasło dla ich oczu; otoczyła ich samotność i milczenie. Szli szybko jedno obok drugiego, nie mówiąc, nie dotykając się, jakby stali się dla siebie nieprzejdnanymi wrogami, jakby wstręt wzajemny ogarnął ich ciała a nienawiść dusze.

Od czasu do czasu Henryka wołała:

— Mamo!

Jakieś zamieszanie powstało w zaroślach. Henrykowi zdawało się, że widzi białą spódnicę, szybko zsuwaną na grube łydki; gruba jejmość ukazała się trochę zmieszana i jeszcze bardziej czerwona, o oczach bardzo błyszczących i wzburzonej piersi, może w zbyt bliskiej odległości od swego towarzysza. Ten musiał widzieć rzeczy bardzo śmieszne, gdyż twarz jego ustawicznie drżała od gwałtem powstrzymanego śmiechu.

Pani Dufour z miną pełną czułości ujęła jego ramię i tak szli ku łodziom. Henryk, w milczeniu idący przodem obok młodej dziewczyny, usłyszał nagle młasknięcie pocałunku.

Nareszcie wrócili do Beons.

Pan Dufour wytrzeźwiony niecierpliwił się już od dłuższego czasu. Młodzian o żółtych włosach spożywał jeszcze coś przed opuszczeniem oberży. Wózek zaprzężony czekał na podwórzu, a babka zajęwszy już swe miej-



sce rozpaczała z powodu opóźnienia, obawiając się jechać nocą, jako że podmiejskie okolice Paryża niezbyt są bezpieczne.

Zamieniono pożegnalne uściski dłoni i rodzina Dufour ruszyła z powrotem.

— Do widzenia! — zawołali wioślarze.

Odpowiedziało im westchnienie i łza.

W dwa miesiące później przechodząc ulicą Męczenników Henryk zobaczył szyld: Dufour, artykuły żelazne.

Wszedł do sklepu.

Gruba jejmość prezentowała za ladą swoje kragle kształty. Poznali się od razu, a po wymianie grzeczności zaczął pytać o członków rodziny.

— A jak się miewa panna Henryka?

— Dziękuję, bardzo dobrze; wyszła za męża.

— Ach!

Wzruszenie dławiło go, dodał jednak:

— A... za kogo?

— Za tego młodego człowieka, który wtedy był z nami; on obejmie sklep.

— Ach, tak!

Odchodził bardzo smutny, niezbyt nawet wiedząc dlaczego. Pani Dufour zatrzymała go.

— A pański przyjaciel? — zapytała trochę nieśmiało.

— Dobrze mu się powodzi.

— Proszę mu się kłaniać od nas i powiedzieć, aby ze chciał wstąpić przechodząc tędy...

I mocno czerwieniejąc dodała:

— Byłoby nam bardzo przyjemnie; proszę mu to powiedzieć.

— Nie zapomnę. Żegnam.

— Nie... Do widzenia.



Pewnej bardzo skwarnej niedzieli następnego roku szczególnie owej przygody, której Henryk nie zdołał zapomnieć, przypomniały mu się tak wyraźnie i ponętnie, że postanowił odwiedzić leśną komnatę.

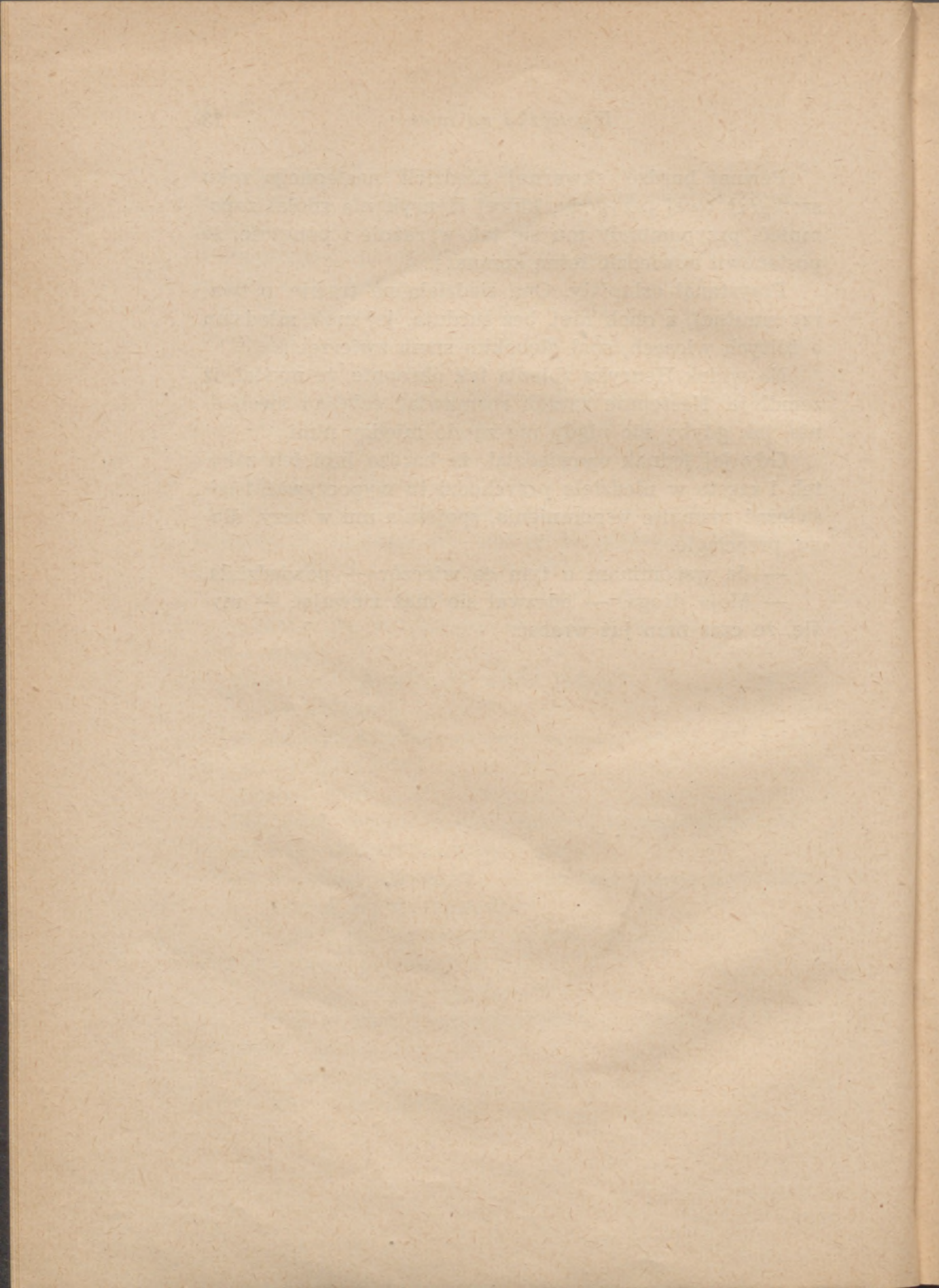
Przystanął osłupiały. Ona siedziała na trawie, o twarzy smutnej, a obok niej, bez surduta, jej mąż, młodzian o złotych włosach, spał głębokim snem zwierzęcia.

Na widok Henryka zbladła tak okropnie, że myślał, iż zemdleje. Następnie zaczęli rozmawiać całkiem swobodnie, jak gdyby nic nigdy nie zaszło między nimi.

Gdy jej jednak opowiedział, że bardzo lubi ten zakątek i często w niedzielę przychodzi tu wypoczywać i odświeżać rozmaite wspomnienia, spojrzała mu w oczy, długo, przeciągle.

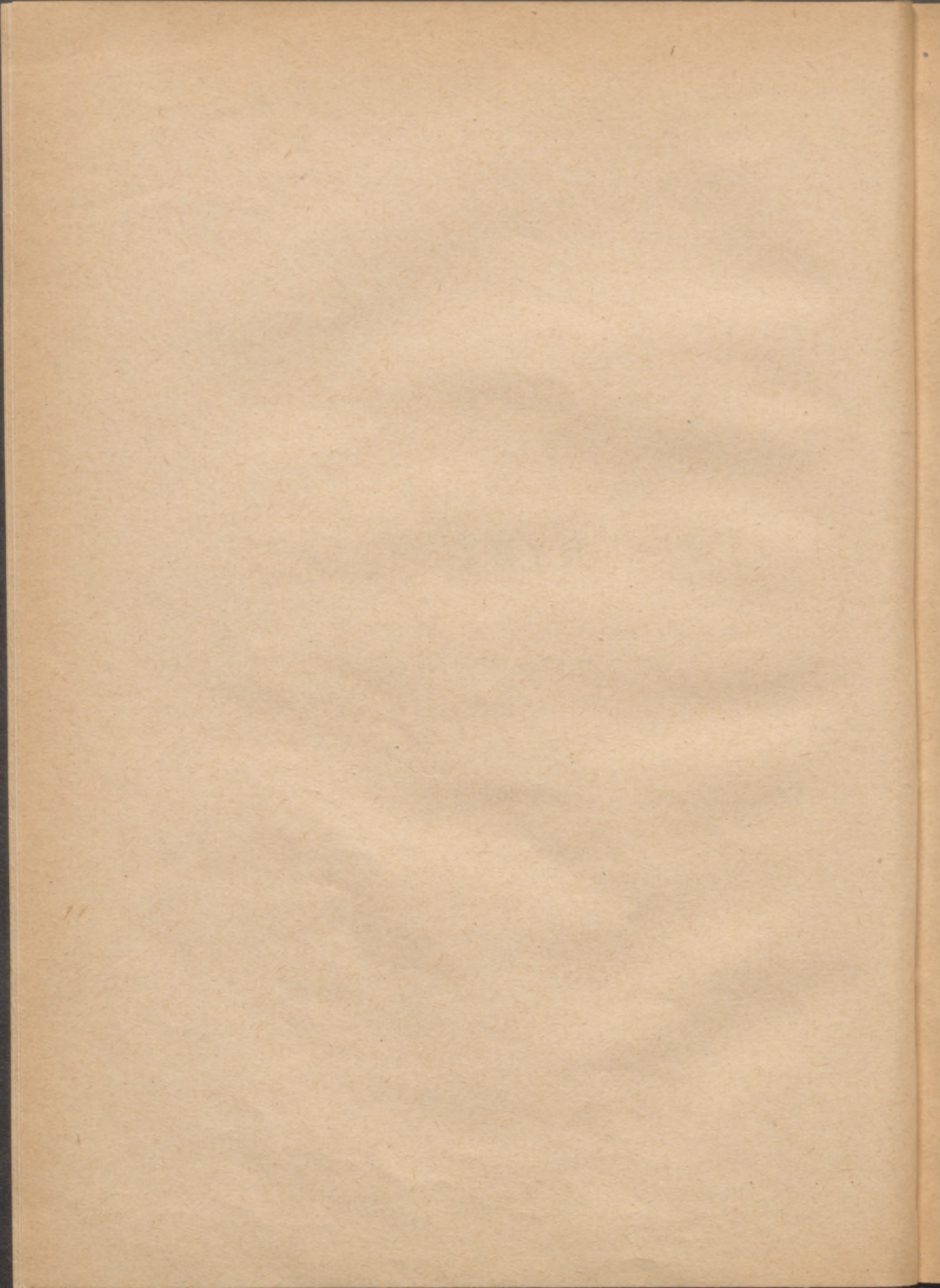
— Ja wspominam o tym co wieczór — powiedziała.

— Moja droga — odezwał się mąż ziewając — myślę, że czas nam już wracać.





RYBY





**P**aryż był obleżony i zgłodniały. Wróble na dachach poznikały i kanały podziemne zostały opustoszone. Żywiono się byle czym.

Pan Morissot, dawniej zegarmistrz, obecnie obrońca ojczyzny, przechadzał się po bulwarach z rękoma w kieszeniach munduru gwardii narodowej; mimo pięknego, wiosennego dnia pan Morissot był smutny — miał pusty żołądek. Nagle twarz jego rozjaśniła się — spotkał pana Sauvage, dobrego przyjaciela, którego poznał nad wodą łowiąc ryby.

Przed wojną co niedziela o świcie pan Morissot z bambusowym wędziskiem w ręku i blaszanym pudełkiem na plecach wsiadał do pociągu w Argenteuil, wysiadał w Colombes, a stamtąd piechotą dochodził do wysepki Marrante; tu się zatrzymywał, zarzucał wędkę i nie ruszał się z miejsca aż do wieczora.

Co niedziela spotykał w tym miejscu pana Sauvage, właściciela małego sklepu przy ulicy Notre-Dame de Lorette; był to mały człowieczek, krępy, wesoly, wiecznie uśmiechnięty, zapalony wędkarz. Siedzieli często całe pół dnia przy sobie z nogami zwieszonymi, nieruchomi, z oczami wlepionymi w pływaki; zaprzyjaźnili się ze sobą.

Czasem rozmawiali trochę, częściej jednak nic nie mówili, ale rozumieli się doskonale mając te same usposobienia i gusty.

Zwykle na wiosnę około dziesiątej z rana, kiedy słońce podnosząc się nad brzegiem spokojnej wody zaczęło ich przypiekać w plecy oznajmiając przybycie cieplejszej pory, Morissot odzywał się do sąsiada:

— Czy to naprawdę nie rozkosz?

Pan Sauvage odpowiadał tym samym tonem:

— Nie znam nic lepszego na świecie.

I to im wystarczało. Rozumieli się dobrze.

Jesienią zaś, kiedy pod wieczór purpurowe chmury zabarwiały wodę, zachodzące słońce oblewało ich ognistym światłem, a drzewa zdawały się wstrząsać chłodnym dreszczem, pan Sauvage spoglądał na pana Morissot i mówił:

— Co za wspaniały obraz!

Pan Morissot nie spuszczać oka z wędki dodawał:

— Mogą się bulwary schować, co?

Spotkawszy się teraz w tak odmiennych okolicznościach ścisnęli się za ręce wzruszeni. Pan Sauvage westchnął i powiedział:

— A to dopiero nieszczęśliwe wypadki.

Pan Morissot westchnął głębiej jeszcze.

— A co za pogoda!

— Dziś właśnie mamy taki przepyszny dzień!

Niebo było rzeczywiście piękne, lazuruowe.

Szli obok siebie w milczeniu, smutni. Morissot znów zaczął:

— A nasze wędki? Kiedy do nich wrócimy?

Pan Sauvage westchnął:

— Miłe wspomnienie.

Weszli do małej kawiarni na kieliszek piolunówki; potem znów rozpoczęli spacer po bulwarach. Morissot zatrzymał się nagle:

— Gdyby tak drugi kieliszek!...



Pan Sauvage zgodził się i na drugi, po czym weszli do winiarni.

Trochę im w głowach szumiało, gdy wychodzili, jak to zwykle bywa, gdy alkohol zacznie działać na głodny żołądek. Na dworze było ciepło, przyjemnie.

Lekki wietrzyk muskał ich po twarzy.

Pan Sauvage bardziej jeszcze tym ciepłem upojony zapytał:

— A gdybyśmy tak poszli?

— Dokąd?

— Na ryby.

— Ale w które miejsce?

— Na naszą wysepkę. Nasze posterunki są w Colombes. Znam pułkownika Dumoulin, puszcza nas na pewno. Morissot zadrżał z radości.

— Owszem, ja idę.

Poszli po wędkę.

W godzinę potem kroczyli obok siebie gościńcem do willi pułkownika. Ten się tylko uśmiechnął z ich pomysłu i dał im przepustkę.

Poszli więc, przebyli posterunki, opustoszałą wioskę Colombes i znaleźli się wśród małych winnic opuszczających się ku brzegowi Sekwany.

Była godzina jedenasta.

Naprzeciwko nich leżało Argenteuil, ciche jak grobowiec; pagórki Orgemont i Sannois panowały nad krajobrazem. Cała równina w stronę Nanterre pusta i martwa, jak okiem sięgnąć.

Pan Sauvage wskazał palcem pagórki i powiedział:

— Prusacy są tam.

Mrowie przeszło ich obu.

Prusacy! Nie widzieli ich wprawdzie nigdy, ale czuli ich od kilku miesięcy i w samym Paryżu, i w okolicach; rujnowali oni kraj, łupili, zabijali, głodzili, a to wszystko

niewidzialną i wszechmocną dłonią. Do nienawiści, jaką pałali do Prusaków, dołączyło się teraz uczucie jakiejś trwogi przesądnej przed tymi nieznanymi, okrutnymi zwyczajcami.

Pan Morissot szepnął:

— Gdybyśmy ich tak spotkali, co?

A pan Sauvage na to zwykłym trochę drwiącym tonem:

— No to cóż? Zaprosilibyśmy ich na smażone rybki.

Jednak znać było po nich pewne wahanie. Cisza okolicy niepokoiła ich trochę.

Pan Sauvage zdecydował się pierwszy.

— No co tam! W drogę! Tylko ostrożnie!

Zeszli wzdłuż winnic, kryjąc się za krzakami, kuląc się lub czołgając.

Przebiegli pędem łączkę, dzielącą ich jeszcze od rzeki, i ukryli się w suchej trzcinie na samym brzegu. Pan Morissot przyłożył ucho do ziemi, czy nie usłyszy jakiej pogoni. Nic; byli sami, zupełnie sami.

Odetchnęli i zapuścili wędki.

Naprzeciwko nich pusta wysepka Marante zakrywała ich od drugiego brzegu.

Domek, rodzaj gospody na wysepce, był szczelnie zamknięty i wydawał się od wieków opuszczony.

Pan Sauvage pierwszy wyciągnął kielbą, a pan Morissot drugiego, i co chwila to jeden, to drugi wyciągali wędki z uczeponą na końcu trzepoczącą się srebrzystą rybką. Doprawdy bardzo udany połów.

Z nadzwyczajną ostrożnością zdejmowali rybki i wkładali je do gęstej siatki leżącej na ziemi. Prawdziwa rozkosz ogarniała ich; tak dawno byli jej spragnieni!

Ciepło słoneczne splywało im po plecach; nie słuchali już niczego, nie myśleli o niczym, zapomnieli o całym świecie; łowili ryby.



Nagle głuchy grzmot jakby spod ziemi wstrząsnął okolicą.

Armaty zaczynały strzelać.

Pan Morissot odwrócił się i na wysokości Mont Valérien spostrzegł biały dym, unoszący się w kształcie pióropusza.

W tejże chwili drugi grzmot wstrząsnął fortecą i drugi biały słup stanął obok pierwszego, potem trzeci, czwarty, piąty, i tak ciągle, a po chwili całe wzgórze buchało oddechem śmierci.

Pan Sauvage wzruszył ramionami.

— Znowu zaczynają — stwierdził.

Pan Morissot zajęty swoją wędką obruszył się nagle gniewem spokojnych ludzi, którym ktoś zakłóca spokój.

— Co to za głupota, żeby się tak zabijać.

Pan Sauvage odrzekł:

— Gorszi są nawet od bydła.

Morissot wyciągnął właśnie złapaną płótkę.

— To będzie trwać, dopóki będą istnieć rządy.

A pan Sauvage:

— Republika nie wypowiedziała by wojny.

Morissot przerwał mu:

— Przy królach mamy wojnę na zewnątrz, przy republice będziemy ją mieć wewnątrz.

I tak zaczęli spokojnie rozmowę o nagłębszych problematach politycznych, prowadząc ją ze zdrowym rozsądkiem ludzi prostodusznych i niedaleko patrzących; rozumieli się doskonale i zgadzali się szczególnie w tym punkcie, że nigdy nie będą naprawdę wolni.

A Mont Valérien grzmiał tymczasem bezustannie, burząc domy, gniotąc ludzi, niszcząc wiele marzeń i radości, ukochanie tylu matek, żon, dziewcząt.

— To jest życie — powiedział pan Sauvage.

— Powiedz pan raczej: to jest śmierć — zakonkludował Morissot.

W tejże chwili wyraźne stąpanie dało się słyszeć za nimi; drgnęli lekko i obróciwszy się zobaczyli czterech drabów brodatych i zbrojnych, w mundurach podobnych do lokajskiej liberii, w płaskich kaszkietach na głowach; trzymali karabiny skierowane lufami na nich dwóch.

Na ten widok wędki wypadły im z rąk i popłynęły z nurtem rzeki.

W parę sekund zostali związani, skrępowani, wrzuceni do łódki i przeprowieni na wysepkę Marante.

Ujrzeni teraz za domkiem, który wydawał się im zupełnie opuszczony, ze dwudziestu pruskich żołnierzy.

Jakiś brodaty olbrzym siedział okrakiem na krześle i palił wielką porcelanową fajkę. Spostrzegłszy ich zapytał doskonałą francuszczyzną:

— A więc, panowie, jak się udał wasz połów?

Żołnierz położył na trawie siatkę napelnioną rybkami. Prusak roześmiał się:

— No, jak widzę, nieźle wam szło. Ale teraz nie o tym mowa. Słuchajcie mnie uważnie. Jesteście dwoma szpiegami wysłanymi na zwiady, każę was zatem rozstrzelać. Przyszliście niby ryby łowić, żeby lepiej ukryć swoje zamiary. Nie udało się wam, wpadliście w moje ręce; tym gorzej dla was: to wojna.

Jednakże możecie ocalić życie...

Wyszliście przez posterunki, więc macie hasło, wydajcie mi je, a uwolnię was natychmiast.

Przyjaciele, trupio bladzi, słuchali w milczeniu i lekkie drżenie wstrząsało ich ciałami.

Oficer mówił dalej:

— Nikt się o tym nie dowie, wróćcie spokojnie, tajemnica pozostanie między nami. Jeżeli się nie zgodzicie, umrzecie natychmiast. Wybierajcie.



Więżniowie milczeli.

Prusak wyciągnął rękę ku rzece.

— Za pięć minut będziecie na dnie tej wody. Za pięć minut! Macie pewno rodziny?

Mont Valérien grzmiał bez przerwy.

Przyjaciele milczeli.

Prusak wydał jakieś rozkazy po niemiecku i odsunął się z krzesłem trochę na bok; dwunastu żołnierzy weszło z karabinami. Stanęli rzędem o jakieś dwadzieścia kroków.

Oficer odezwał się znowu:

— Daję wam jedną minutę do namysłu. Jedną minutę, ani sekundy dłużej.

Potem wstał, nagle zbliżył się do nich i wzięwszy pana Morissot pod rękę odprowadził go na stronę i rzekł cicho:

— Powiedz mi pan hasło! Prędko! Twój towarzysz nie będzie nic wiedział. Ułaskawię was!

Morissot nie odpowiedział ani słowa.

Prusak udał się do pana Sauvage i powtórzył z nim poprzednią scenę.

Pan Sauvage milczał.

Znaleźli się znów przy sobie. Oficer rozpoczął komendę.

Żołnierze podnieśli broń.

Wzrok pana Morissot spoczął przypadkiem na małej sieci, pełnej kiełbi, leżącej na trawie o parę kroków. Promienie słońca odbijały się na łuskach żywych jeszcze rybek. Morissot uczuł, że robi mu się słabo; oczy mu nagle zwilgotniały i wyszeptał:

— Bądź zdrow, panie Sauvage!

Ten odpowiedział:

— Bądź zdrow, panie Morissot.

Ścisnęli się za ręce, drżąc jak w febrze.

Oficer zakomenderował: Ognia!

Dwanaście strażów padło jednocześnie.

Sauvage upadł od razu twarzą naprzód, a Morissot, wyższy, zachwiał się w powietrzu i runął na przyjaciela z twarzą zwróconą ku słońcu; krew buchała mu z piersi kilkoma ranami.

Prusak wydał nowe rozkazy.

Żołnierze rozpierzchli się i wnet powrócili niosąc sznury i kamienie; przywiązano je do nóg obu zabitych i zaniesiono ich na brzeg.

Mont Valérien cały już okryty dymem grzmiał ciągle.

Dwóch ludzi wzięło Morissota za głowę i nogi; dwaj drudzy chwycili Sauvage'a. Zakotyłali trupami w powietrzu i rzucili je daleko; na jedną sekundę ciała wyprostowały się, kamienie przywiązane do nóg pociągnęły je prostopadłe na dno rzeki. Woda buchnęła, zakręciła się, zadrżała, potem wszystko ucichło; trochę krwi ukazało się na powierzchni.

Oficer pruski ciągle uśmiechnięty rzekł półgłosem:

— No, a teraz kolej na ryby.

Zawrócił do miejsca, gdzie napęczniona kielbami siatka połyskiwała na słońcu; podniósł ją, uśmiechnął się znowu i zawołał:

— Wilhelm!

Przybiegł żołnierz przepasany białym fartuchem.

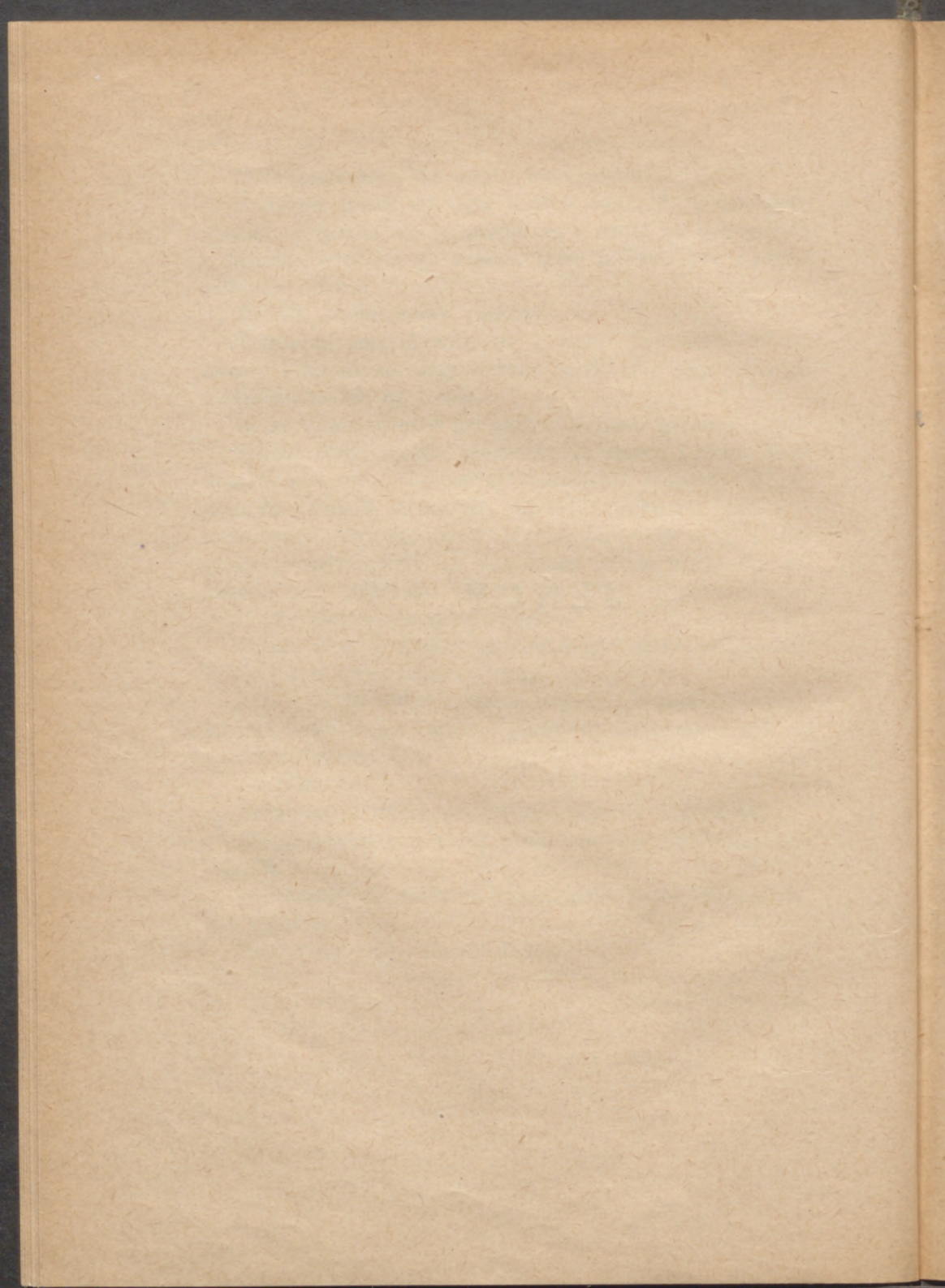
Oficer rzucił mu owoc pracy dwóch rozstrzelanych i rzekł:

— Usmaż mi zaraz te rybki, póki żywe. Będzie dobra kolacja.

Potem na nowo zapalił fajkę.



JENCY





W lesie panowała zupełna cisza poza lekkim szmerem śniegu, prószonego na drzewa. Delikatny puch prószył tak już od południa, osypując gałęzie lodowatym mchem, kładąc na martwych liściach lekki srebrny dach i wyściełając drogi białym dywanem, który pogłębiał nie- skończoną ciszę tego oceanu drzew.

Przed drzwiami leśniczówki młoda kobieta, o obna- żonych ramionach, rąbała drwa. Była wysokiego wzrostu, szczupła i silna — prawdziwe dziecko lasów, córka ga- jowego i żona gajowego.

Z wnętrza domu odezwał się głos:

— My dziś wieczór same, Bertuszeko, wracaj do do- mu, noc zapada, a w pobliżu mogą się wałęsać wilki al- bo Prusaki.

Rozłupując z rozmachem kloc drzewa, przy czym pierś jej wznosiła się za każdym uderzeniem siekiery, ko- bieta zajęta rąbaniem odparła:

— Kończę już, mamó. Zaraz przyjdę, za chwileczkę. Nie ma się czego bać. Jeszcze jasno.

Następnie zabrała wiązkę chrustu i porąbane drwa, ułożyła wszystko wzdłuż pieca kuchennego i znów wy- szła, aby zasunąć ciężkie rygle u drzwi wejściowych.

Matka przedła koło ognia. Była to pomarszczona sta- ruszka, która z wiekiem stała się trwożliwa.

— Nie lubię — mówiła — kiedy ojca nie ma w domu. Dwie kobiety w całym domu, to nie bardzo bezpiecznie.

Młoda odparła:

— Och, już ja bym dała radę sama zabić wilka albo i Prusaka.

I wzrokiem wskazała na ogromny rewolwer wiszący nad kominem.

Mąż jej został powołany do wojska zaraz na początku inwazji pruskiej. Została w domu z matką i ojcem starym gajowym, Mikołajem Pichon, przewanym Szczudło, który uporczywie wzbraniał się opuścić leśniczówkę i przenieść się do miasta.

Najbliższym miastem było Rethel, niegdyś forteca zawieszona nad skałą. Duch tu panował wielce patriotyczny i mieszkańcy miasta postanowili stawić opór najeźdźcom, zamknąć się w swych murach i wytrzymać oblężenie — zgodnie ze starymi tradycjami. Dwukrotnie już, za Henryka IV i za Ludwika XIV, mieszkańcy Rethel odznaczyli się heroiczną obroną. To samo, do stu piorunów, zrobią i teraz albo ostatecznie pozwolą spalić się w swoich murach.

Zakupiono tedy armaty i karabiny i uzbrojono milicję zorganizowaną w bataliony i kompanie, które codziennie odbywały ćwiczenia na Placu Broni. Piekarze, sklepikarze, rzeźnicy, notariusze, stolarze, księgarze, nawet aptekarze kolejno, w oznaczonych godzinach odbywali ćwiczenia pod rozkazami pana Lavigne, niegdyś podoficera dragonów, teraz kupca dzięki ożenkowi z córką i dziedziczką pana Ravaudan starszego.

Przybrał on obecnie tytuł komendanta placu, a ponieważ wszyscy młodzi ludzie służyli w armii, więc do swych szeregów zaciągnął tych, którzy postanowili bronić miasta. Odtąd grubasy nie przechadzały się już inaczej jak tylko krokiem wojskowym, aby stracić tłuszcz, a zyskać dłuższy oddech, a cherlaki dźwigały ciężary, aby wzmocnić mięśnie.



Czekano więc Prusaków, ale Prusacy nie pokazywali się. Byli jednak niedaleko, ponieważ dwa razy już przednie ich straże wysłane na zwiady zapędziły się pod samą leśniczówkę Mikołaja Pichon, zwanego Szczudłem.

Stary gajowy pędził jak lis, żeby uprzedzić milicję. Nastawiono armaty, ale nieprzyjaciel nie zjawiał się.

Leśniczówka była najbardziej wysuniętym posterunkiem w lesie Aveline. Stary gajowy dwa razy tygodniowo chodził do miasta po zapasy i przynosił mieszkańcom wiadomości ze swej placówki.

Tego dnia poszedł zameldować, że mały oddział wywiadowczy niemieckiej piechoty zatrzymał się u niego poprzedniego dnia o drugiej po południu i natychmiast ruszył w dalszą drogę. Podoficer dowodzący tym oddziałem mówił po francusku.

Wychodząc do miasta stary zabrał ze sobą dwa olbrzymie psy o lwich paszczach, jako że wilki mocno się rozuchwalały w ostatnich czasach. Przykazał też kobietom, żeby zaraz z nadejściem nocy zasunęły rygle u drzwi wejściowych.

Młoda nie obawiała się niczego, stara natomiast trzęsła się ustawicznie, powtarzając:

— To wszystko się źle skończy. Zobaczysz, że to się źle skończy.

Tego wieczoru była jeszcze bardziej niespokojna niż zwykle.

— Nie wiesz, o której godzinie ojciec wróci? — pytała.

— Chyba nie przed jedenastą. Ile razy zostaje na kolacji u komendanta, zawsze wraca późno.

I zajęła się umieszczeniem garnka nad ogniskiem, aby ugotować zupę na wieczorę. Nagle przerwała robotę, gdyż przez rurę komina doleciały ją jakieś odgłosy.

Szepnęła:

— Jakieś kroki w lesie. Będzie ich co najmniej sześciu lub siedmiu.

Matka przerażona wypuściła z ręki wrzeczono mamrocząc:

— Boże, Boże, a tu nie ma ojca!

Nie dokończyła jeszcze, gdy gwałtowne uderzenia pięści wstrząsnęły drzwiami.

Kobiety czekały w milczeniu. Silny, gwałtowny głos krzyknął:

— Otwoszyć!

Po chwili milczenia ten sam głos zawołał:

— Otwoszyć, inaczej rozpiję trzwi!

Wtedy Berta szybko wsunęła do kieszeni wielki rewolwer wiszący nad kominem, wyszła do sieni i przyłożywszy ucho do zamkniętych drzwi zapytała:

— Kto tam?

Głos odparł:

— To ten sam odciał, co był fczoraj.

— Czego tu chcecie — podjęła.

— Zgubiliśmy się w lesie i płądzimy od rana. Otwoszyć, inaczej rozpiję trzwi.

Berta nie miała wyboru. Szybko odsunęła mocne rygle i otworzywszy drzwi w bladym blasku śniegu zobaczyła sześciu mężczyzn, sześciu żołnierzy pruskich, tych samych, którzy byli tu poprzedniego dnia. Zapytała stanowczym głosem:

— Czego tu chcecie o tej porze?

Podoficer powtórzył:

— Zapląkałem się w lesie, całkiem się zapląkałem, ale poznałem ten dom. Nic nie jatłem od rana, moi ludzie tak samo.

Berta oświadczyła:

— Ale ja jestem w domu sama z matką.

Żołnierz wyglądający na uczciwego człowieka odparł:



— Nie szkoci. Nie zrobię wam nic złego, tylko musicie dać nam jeść. Upadamy z głodu.

Berta cofnęła się mówiąc:

— Wejdźcie.

Weszli, osypani śniegiem, wnosząc na czapkach całe stosy jakby bitej śmietany, przez co wyglądali jak ogromne bezy z kremem. Z postaci ich biło utrudzenie i wyczerpanie.

Młoda kobieta wskazała im drewniane ławy po obu stronach stołu.

— Usiądźcie — rzekła — ugotuję wam zupy. Wyglądacie naprawdę na bardzo zmęczonych.

Następnie zasunęła znów rygle u drzwi.

Dolała do kotła wody, dorzuciła jeszcze masła i kartofli, po czym zdjęła słoninę zawieszoną w kominie, odcięła z niej połowę i wrzuciła ją do garnka.

Sześciu mężczyzn spojrzeniami ścigało każdy jej ruch, a z oczu ich wyglądał rozbudzony głód. Karabiny i kaszkiety ustawili w kącie izby i czekali jak grzeczne dzieci na ławkach szkolnych.

Matka znów się zabrała do przędzenia, raz po raz rzucając wystraszone spojrzenie na intruzów. W izbie nie było słyhać prócz lekkiego warczenia wrzeciona, trzaskania ognia na kominku i syczenia wody, która zaczynała wrzeć.

Nagle dreszcz przebiegł wszystkich na odgłos chrapliwych oddechów dochodzących przez zamknięte drzwi, oddechów zwierzęcych, głośnych, chrapliwych.

Podoficer niemiecki jednym susem poskoczył ku broni. Berta powstrzymała go gestem i wyjaśniła z uśmiechem.

— To wilki. One, tak jak wy, wałęsają się i są głodne.

Nie dowierzając jej wyszedł i odsunął rygle, lecz za ledwie drzwi się otwały, dwa duże, szare cienie rzuciły się do ucieczki w głąb lasu.



Usiadł więc ponownie mrużąc:

— Nie byłbym ufieszny.

I znów czekał na gotującą się strawę.

Spożywali ją żarłocznie, rozdziawiając usta od ucha do ucha, aby połknąć możliwie najwięcej, a okrągłe ich oczy otwierały się równocześnie ze szczękami, gdy z gardzieli wydobywało się bulgotanie jak z przepełnionych rynien.

Obydwie kobiety w milczeniu przyglądały się szybkim ruchom długich ryżych bród, w których kartofle zdawały się znikać niby w ruchliwej złotawej wełnie.

Ponieważ byli bardzo spragnieni, Berta zeszła do piwnicy po jabłecznik. Długo nie wracała z tej sklepionej piwniczki, która podczas rewolucji miała podobno służyć za więzienie i kryjówkę. Dostawano się do niej przez wąskie kręte schodki, przysłonięte klapą w podłodze kuchni.

Wyszedszy na koniec z podziemnego sklepienia Berta uśmiechnęła się szyderczo do siebie. Podała Niemcom dzbanek z napojem.

Następnie zjadły z matką wieczerzę w drugim kącie kuchni.

Żołnierze skończywszy jeść zasnęli wszyscy, jak ich było sześciu, dokoła stołu. Od czasu do czasu któryś z nich głucho uderzył czołem w stół, a wtedy nagle rozbudzony zrywał się i prostował.

Berta zwróciła się do podoficera:

— Połóżcie się koło ognia, starczy miejsca dla sześciu. Ja z matką będziemy spać na piętorku.

I obydwie kobiety udały się na piętro. Słysząc było, jak szły po schodach, zamykały drzwi na klucz, chodziły przez chwilę, potem wszystko ucichło.

Prusacy wyciągnęli się na podłodze, nogami zwróceni do ognia, głowy wsparli na zwiniętych płaszczach i nie-



bawem wszyscy chrapali na sześć rozmaitych tonów, głębokich i ostrych, głośno i miarowo.

Musieli spać dość długo, gdy nagle rozległ się strzał tak głośny, jakby kto przypuszczał szturm do domu. Żołnierze zerwali się w okamgnieniu. Wtem padły znów dwa strzały, a w chwilę potem trzy dalsze.

Drzwi na pierwszym piętrze otworzyły się nagle i ukazała się leśniczka, bosa, w koszuli tylko i krótkiej spódniczce, trzymając w ręku świecę, z przerażoną twarzą. Z trudem wykrztusiła:

— Francuzi idą, będzie ich najmniej dwustu. Jeżeli was tu zobaczą, podpalą dom. Ukryjcie się szybko w piwnicy i zachowujcie się cicho. Bo jeżeli usłyszą, jesteśmy zgubieni.

Podoficer zmieszany wyszeptał:

— Dopsze, dopsze. Którędy schoci się do piwnicy?

Młoda kobieta szybko podniosła wąską, kwadratową klapę w podłodze i sześciu mężczyzn jeden po drugim znikali na krętych schodach w podziemiu, tyłem, aby łatwiej po omacku trzymać się schodków.

Z chwilą gdy ostatnia czapka żołnierska zniknęła w mroku piwnicy, Berta zatrzasnęła ciężką klapę dębową, grubą jak mur, twardą jak stal, umocowaną na mocnych żelaznych zawiasach i zaopatrzoną w zamek; dwukrotnie przekreśliła w nim klucz, po czym wybuchnęła śmiechem, śmiechem stłumionym i pełnym radości. Miała ochotę zatańczyć nad głowami swych jeńców.

Zachowywali się cicho, zamknięci jakby w szczelnym, kamiennym pudle, dokąd powietrze dochodziło tylko przez zakratowane okienko.

Berta natychmiast ponownie roznieciła ogień i nastawiła kociołek na zupę szepcząc do siebie:

— Ojciec będzie dziś bardzo zmęczony.



Następnie usiadła i czekała. Tylko regularne tykotanie zegara ściennego zakłócało głęboką ciszę.

Od czasu do czasu młoda kobieta rzucała spojrzenie na tarczę zegara, spojrzenie niecierpliwe, zdające się mówić:

— Jak to długo trwa!

Wkrótce wydało się jej jednak, że jakieś głosy dolatują z dołu. Słowa ciche, urywane przedostawały się przez sklepienie piwnicy. Prusacy zaczęli się domyślać podstępu i po chwili podoficer wszedł na schodki i pięścią zaczął walić w dębową klapę. Po chwili krzyczał:

— Otwoszyć!

Wstała, podeszła do klapy i naśladowując jego wymowę spytała:

— Czego chcecie?

— Otwoszyć!

— Nie otwoszę.

Mężczyzna zaklął.

— Otwoszyć, bo inaczej rozpiję trzwi.

Zaśmiała się:

— Rozpijaj, mój zuchu, a rozpij tylko!

Kolbą karabinu zaczął ze wszystkich sił walić w dębową klapę, zamkniętą nad jego głową. Szybko jednak przekonał się, że ta pokrywa oparłaby się nawet pociśkom z katapulty.

Berta usłyszała, że Niemiec schodzi ze schodów. Po chwili wrócili wszyscy i jeden po drugim próbowali swoich sił, chcąc zerwać klapę. Doszedłszy widocznie do przekonania, że wszystkie usiłowania będą bezcelowe, cofnęli się w głąb piwnicy i zaczęli rozmawiać między sobą.

Młoda kobieta przysłuchiwała się im; potem wyszła do sieni, odsunęła rygle i czekała, czy z lasu nie dobiegnie jej jakiś odgłos.



Istotnie słychać było dalekie naszczekiwanie psów. Zaczęła je przywoływać gwizdaniem, jak myśliwi. Prawie w tej samej chwili wyłoniły się z mroku dwa duże psy i rzuciły się ku niej ujadając radośnie. Chwyliła je za karki i przytrzymała, aby nie odbiegły. A potem na całe gardło krzyknęła:

— Hop, hop! Ojciec?

Z wielkiej jeszcze odległości odpowiedział:

— Hop, hop! Bertuszka!

Po minucie znów powtórzyła:

— Hop, hop! Ojciec?

A głos znacznie już bliższy odpowiedział:

— Hop, hop! Bertuszka!

Berta zawołała:

— Nie przechodź koło okienka, bo Prusacy są w piwnicy.

Nagle sylwetka rosnącego mężczyzny zarysowała się po lewej stronie, między trzema pniami ściętych drzew.

Zapytał z niepokojem:

— Prusacy w piwnicy? Skąd? Jak?

Młoda kobieta roześmiała się:

— To ci sami, co tu byli wczoraj. Zabłądzili w lesie, a ja im dałam bezpłatną kwaterę w piwnicy.

I opowiedziała całą przygodę, jak ich nastraszyła wystrzałem z rewolweru, a potem zamknęła w piwnicy.

Stary wciąż jeszcze zaniepokojony pytał:

— Jak myślisz? Co trzeba teraz z nimi zrobić?

— Daj znać panu Lavigne, niech tu przyjedzie ze swoim oddziałem. Weźmie ich jako jeńców. Dopiero będzie zadowolony!

Ojciec Pichon uśmiechnął się:

— Tak, to prawda, że będzie zadowolony.

Córka podjęła:

— Masz tu gorącą zupę, posil się i dalej w drogę.

Stary gajowy siadł do stołu i zabrał się do zupy, ustawivszy wpierv na podłodze dwa pełne talerze dla psów.

Prusacy słyszając rozmowę umilkli.

W kwadrans później Szczudło znów ruszył w drogę. Berta czekała wsparłszy głowę na dłoniach.

Jeńcy zaczęli się znów niecierpliwić. Krzyczeli, wołali, z wściekłością waląc łufami w niewzruszoną klapę piwnicy. Następnie zaczęli strzelać przez okratowane okienko, w nadziei, że może jakiś oddział niemiecki przechodzący lasem usłyszy i przyjdzie im z pomocą.

Berta siedziała bez ruchu, ale te wrzaski i strzelanina drażniły ją i gniewały. Zbudził się w niej gniew: zamordowałyby ich, drani, żeby przestali wrzeszczeć.

Potem niecierpliwość jej zaczęła rosnać; raz po raz spoglądała na zegar licząc minuty.

Upłynęło już półtorej godziny, odkąd ojciec wyszedł. Powinien teraz właśnie dochodzić do miasta. Zdawało się jej, że widzi go przed sobą. Opowiada całą historię panu Lavigne, który błędnie ze wzruszenia i dzwoni na służącą, żeby mu podała uniform i szpadę. Berta słyszy dobosza pędzącego ulicami miasta. W oknach ukazują się wystraszone twarze. Milicjanci wychodzą z domów, na prędce ubrani, zdyszani, przymocowując pasy, i gimnastycznym krokiem ruszają w stronę domu komendanta.

Następnie cały oddział pod przewodnictwem Szczudła wśród mroku i śniegu wyrusza ku leśniczówce.

Spojrzała na zegar. Mogą być na miejscu za godzinę.

Ogarnęło ją znowu zniecierpliwienie i niepokój. Każda minuta wlokła się w nieskończoność. Jak to długo!

Nareszcie upłynął czas, który określiła sobie w myśli jako konieczny do przebycia drogi z miasta.



Otworzyła drzwi i znów zaczęła nasłuchiwać. Dostrzegła cień, poruszający się z wielką ostrożnością. Lęk ją przejął i krzyknęła. Był to ojciec.

— Wysłali mnie, żebym zbadał, czy nic się nie stało.

— Nie, nic — odparła.

Odwrócił się i w ciszę nocną rzucił przeciągły świst. Wkrótce spośród drzew wyłoniło się coś brunatnego i powoli skierowało się ku domowi; przednia straż złożona z dziesięciu mężczyzn.

Szczudło powtarzał raz po raz:

— Nie przechodzić koło okienka.

Pierwsi ostrzegali znów następnych przed niebezpiecznym okienkiem.

Nareszcie ukazała się siła główna licząca dwustu ludzi, z których każdy miał przy sobie dwieście naboju.

Pan Lavigne, wzburzony, drżący, kazał otoczyć dom, pozostawiając jednak wolną przestrzeń przed czarnym otworem na poziomie ziemi, przez który powietrze dostawało się do piwnicy.

Następnie wszedł do mieszkania i informował się co do sił i postawy nieprzyjaciela, który nagle ucichł, jak gdyby znikł, zapadł się czy uciekł przez okratowany lufcik piwnicy.

Pan Lavigne stuknął nogą w klapę i zawołał:

— Panie oficerze pruski!

Niemiec nie odpowiedział.

— Panie oficerze pruski!

Na próżno. Przez dwadzieścia minut wzywał tego milczącego oficera, aby się poddał ze swoimi ludźmi i amunicją, przyrzekając mu życie i honory wojskowe dla niego i jego żołnierzy. Nie otrzymywał jednak żadnego znaku przyzwolenia lub oporu. Sytuacja stawała się trudna.



Milicjanci tupali nogami po śniegu, wymachiwali rękami uderzając się w ramiona jak zziębnięci dorożkarze i spoglądali na okienko z coraz to większą, dziecinną ochotą, aby przebiec koło niego.

Wreszcie jeden z nich, bardzo zwinny chłopiec, zdecydował się na próbę. Rozpędził się i przebiegł jak jelen. Próba się powiodła. Jeńcy chyba pomarli.

Ktoś z milicji krzyknął:

— Jest tam kto?

Milczenie. Wtedy drugi żołnierz przebiegł wolną przestrzeń naprzeciwko niebezpiecznej dziury. I rozpoczęła się zabawa. Co chwila jeden z ludzi rozpędzał się i przebiegał od jednej grupy do drugiej, jak to robią dzieci bawiące się w „czarnego luda“; a tak dobrze przebierali nogami, że śnieg rozpryskiwał się w grudach na wszystkie strony. Dla rozgrzania się rozpalono ogniska z suchego chrustu i w tym świetle odbywał się jakby przegląd gwardii narodowej przenoszącej pośpiesznie swój obóz z prawej strony na lewą.

Ktoś krzyknął: — Na ciebie kolej, Maloison.

Maloison był to gruby piekarz, którego brzuch stanowił przedmiot ogólnych żartów.

Wahał się. Zaczęto więc z niego szydzić. Wtedy zebrał na odwagę i drobnym, przyśpieszonym kroczkiem, od którego trząsał się jego potężny brzuch, puścił się na przód, mocno zdyszany.

Cały oddział śmiał się do łez. Dla dodania mu odwagi krzyczeli:

— Brawo, Maloison, brawo!

Przebył już jakie dwie trzecie drogi, gdy w lufciku zamigotał podłużny, szybki, czerwony płomień.

Rozległ się strzał i gruby piekarz ze strasznym krzykiem zwałił się twarzą na śnieg.



Nikt mu nie pobiegł z pomocą. Widziano tylko, jak na czworakach włókł się po śniegu, jęcząc, a wydostawszy się z niebezpiecznego przejścia zemdłał.

Kula utkwiała w górnej części łydki pokrytej grubą warstwą tłuszczu.

Po pierwszym przestraszu i zdumieniu znów wybuchły śmiechy.

Wtem komendant Lavigne ukazał się na progu leśniczówki. Zmienił pierwotny plan ataku. Drżącym głosem zakomenderował:

— Blacharz Blanchet i jego robotnicy!

Trzech mężczyzn wystąpiło naprzód.

— Odczepić rynny z dachu.

W kwadrans później złożono komendantowi dwadzieścia metrów rynien.

Wtedy wśród tysięcy ostrożności kazał w klapie piwnicznej wydrążyć mały otwór, a wsunawszy w niego pompę oświadczył głosem pełnym zachwytu:

— Damy napić się panom Prusakom.

Rozległy się frenetyczne okrzyki podziwu, wycia radości i śmiech. Komendant wyznaczył plutony, mające co pięć minut luzować się przy robocie. I zakomenderował:

— Pompować!

W blaszanej rurze zaszumiało i wkrótce zaczął sływać w piwnicy ze schodka na schodek strumyk szemrzący jak kaskada lub fala przybrzeżna, odbijająca się od skały.

Trzeba było czekać.

Upłynęła godzina, następnie druga i trzecia.

Komendant przechadzał się rozgorączkowany po kuchni raz po raz przykładając ucho do podłogi, aby zmiarkować, co zamierza nieprzyjaciół i czy rychło zdecyduje się poddać.

Nieprzyjaciel wykonywał jakieś ruchy. Słychać było przesuwanie baryłek, rozmowę, chlupot wody.

Wreszcie około ósmej rano z okienka odezwał się głos:

— Kciałbym się rozmówić z francuskim panem porucznikiem.

Lavigne, niezbyt wychylając głowę, odparł przez okno:

— Czy się pan poddaje?

— Pottaję się.

— Proszę więc przede wszystkim oddać broń.

Po chwili ukazał się w lufciku jeden karabin i padł na śnieg, po nim drugi, trzeci — wszystkie. Ten sam głos oświadczył:

— Nie ma fięcej. Spieszcie się, bo toniemy.

Lavigne zakomenderował:

— Przestać!

Pompa opadła na podłogę.

Zapełniwszy kuchnię żołnierzami uzbrojonymi i gotowymi do ataku komendant powoli podniósł klapę dębową.

Ukazały się cztery głowy całkiem mokre, cztery jasne głowy o płowych włosach, po czym sześciu Niemców drżących, ociekających wodą, przerażonych wyszło gęsiego z piwnicy.

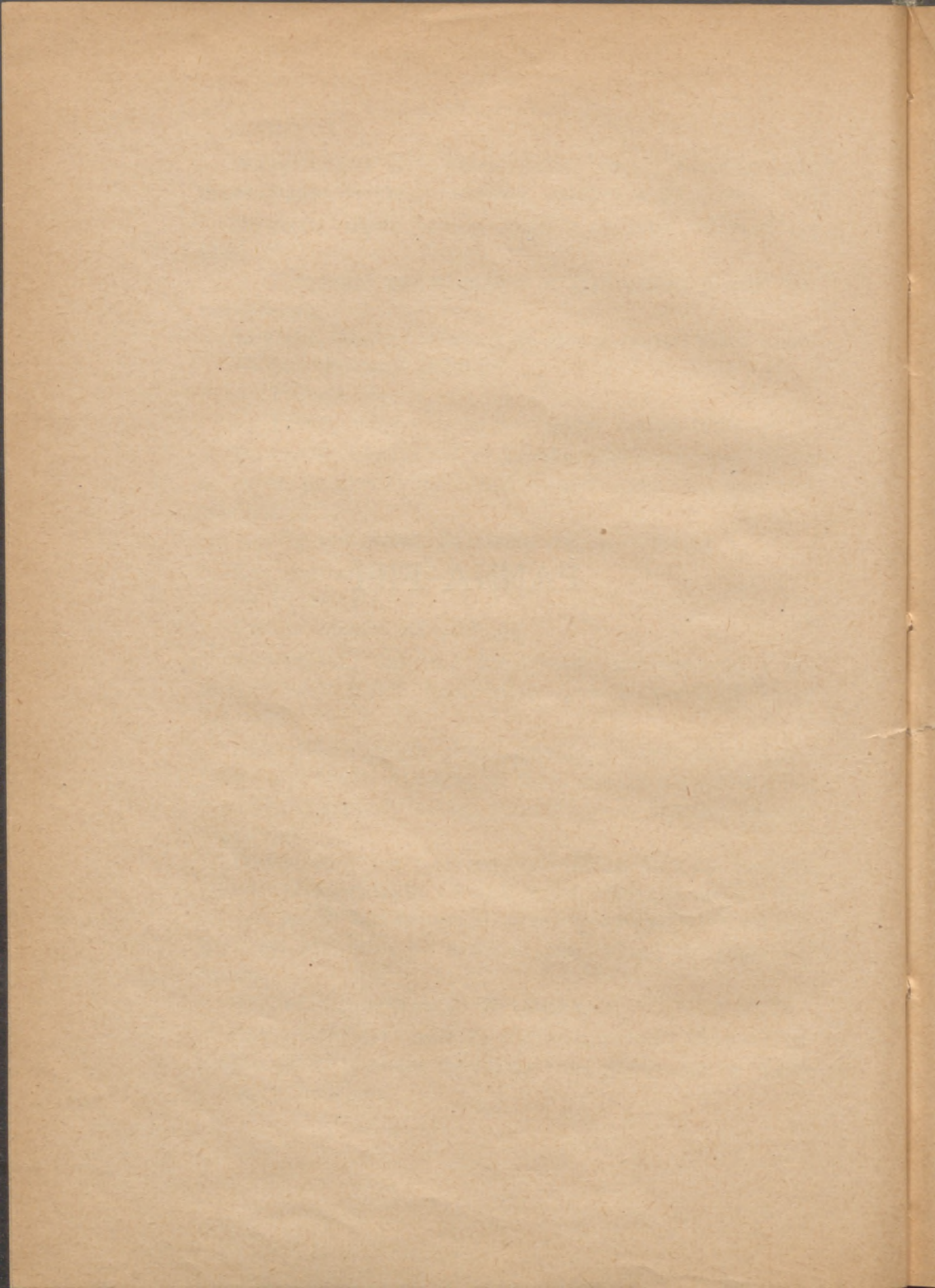
Pochwycono ich i skrępowano. Obawiając się wszakże jakiejś niespodzianki, natychmiast wyruszono w drogę — jeńcy konwojowani przez jeden oddział milicji, a ranny Maloison na noszach pod osłoną drugiego oddziału.

Triumfalnie wkroczyli do miasta.

Lavigne dostał order za ujęcie przedniej straży pruskiej, a gruby piekarz medal za ranę otrzymaną w walce z nieprzyjacielem.



PANNA FIFI





Major hrabia von Falsberg, komendant wojsk pruskich, kwaterujący w zamku Uville, wygodnie rozłożony w głębokim fotelu, kończył właśnie czytać gazetę; obłocone buty oparł na wytwornym, marmurowym kominiku, gdzie ostrogi jego w ciągu trzech miesięcy wyryły dwa głębokie ślady, z każdym dniem głębsze i wyrazistsze.

Filizanka gorącej kawy stała na mozaikowym stoliku, poplamionym likierami, wypalonym przez cygara i porzytym scyzorykiem zwycięskiego oficera, który temperując ołówek rzeźbił na eleganckim meblu liczby i rysunki pod natchnieniem chwilowego kaprysu.

Po załatwieniu korespondencji i przejrzeniu niemieckich dzienników, przyniesionych mu przez wachmistrza, wstał i dorzuciwszy do ognia trzy czy cztery duże polana świeżo ściętego drzewa (panowie oficerowie wycinali stopniowo park na opał) podszedł do okna.

Deszcz lał strugami; typowy deszcz normandzki, nawalny, zacinający z ukosa, gęsty jak firanka, tworzący rodzaj muru w skośne pręgi, deszcz, który smaga, obryzguje i zatapia wszystko — prawdziwy deszcz z okolic Rouen, tego urynału Francji.

Oficer spoglądał długo na zatopione trawniki i dalej na wzburzoną rzekę, występującą z brzegów; bębnił przy tym na szybko jakiegoś walca nadreńskiego, gdy

odgłos kroków skłonił go do odwrócenia głowy: wszedł kapitan baron von Kelweingstein.

Major był olbrzymem o szerokich ramionach i nosił długą brodę w kształcie wachlarza, okrywającą mu piersi niby serweta. Cała jego postać pełna namaszczenia nasuwała na myśl pawia wojskowego, pawia, który by swój roztoczony ogon nosił u podbródka. Oczy miał niebieskie, zimne i łagodne, a policzek naznaczony cięciem szabli w wojnie z Austriakami; uchodził za odważnego człowieka i dzielnego oficera.

Kapitan, mały, ryży, o wielkim brzuchu, tryskający nadmiarem sił, golił starannie swój ognisty zarost, ale mimo to jego twarz, zwłaszcza w pewnym oświetleniu, wyglądała jakby natarta fosforem. Wskutek braku dwóch zębów, które utracił podczas jakiejś hulanki — sam już nie pamiętał jakim sposobem — wyrzucał z siebie słowa jakby plując, szybko i niewyraźnie; na środku czaszki świeciła mu łysina niby tonsura mnicha, a dookoła tego kręgu gołego ciała wyrastało kędzierzawe rucho, złote i lśniące.

Komendant uściśnął mu rękę i jednym łykiem wypróżnił filiżankę kawy (szóstą z rzędu tego ranka) słuchając raportu swego podwładnego; następnie podeszli obaj do okna i stwierdzili, że pogoda nie jest przyjemna. Major, człowiek spokojny, żonaty, umiał się pogodzić ze wszystkim; natomiast kapitan, nieokielznany hulaka i kobieciarz, całe życie uganiający się za spódniczkami, szalał z gniewu, ponieważ przykuty od trzech miesięcy do tego zatraconego posterunku musiał hołdować czystości.

Rozległ się szmer przy drzwiach, major wrzasnął: „wejść!” i na progu ukazał się jeden z ich żołnierzy-automatów, samym swym pojawieniem się zawiadamiając, że śniadanie gotowe.



W sali czekali już trzech oficerowie niższej rangi: porucznik Otto von Grossling i dwóch podporuczników, Fritz Scheunaburg i hrabia Wilhelm von Eyrik, mały blondyn, dumny w obejściu i brutalny dla żołnierzy, twardy dla zwyciężonych, gwałtowny jak broń palna.

Od przybycia do Francji koledzy nie nazywali go inaczej jak panną Fifi. Przydomek ten nadano mu z powodu kokieteryjnej postaci, cienkiej w pasie, jak gdyby nosił gorset, bladej twarzy, na której pojawiał się za ledwie pierwszy meszek wąsów, i wreszcie z powodu posługiwania się co chwila francuskim „fi, fi donc“, wyrażającym jego wyniosłą pogardę dla wszystkich i wszystkiego.

Jadalnia zamku Uville była to długa, urządzona z wielkopańskim przepychem komnata; stare zwierciadła potrząskane kulami i wspaniałe obicia flandryjskie, pocięte szablą i miejscami zwisające w strzępach, mówiły o zajęciach „panny Fifi“ w godzinach bezczynności.

Na ścianach wisiały trzy portrety rodzinne: rycerz w żelaznej zbroi, kardynał i prezydent; wszyscy trzej palili długie fajki porcelanowe, a ze złożonych ram, poczerniałych ze starości, wyglądała dostojna dama o mocno zesnurowanej kibici i aroganckim wyrazie twarzy, który jej nadawały wąsy dorysowane węglem.

Śniadanie upływało prawie w zupełnym milczeniu w tej zniszczonej komnacie, pociemniałej od deszczu za oknami, przygnębiającej wyglądem zwyciężonego przeciwnika; niegdyś wspaniała dębowa posadzka była teraz czarna jak klepisko w karczmie.

Po skończonym posiłku, zabierając się do picia i palenia, oficerowie zaczęli jak codziennie mówić o dręczących ich nudach. Butelki koniaku i likierów przechodziły z rąk do rąk; a biesiadnicy rozwaleni na krzesłach popijali drobnymi łykami, nie wyjmując z kąta ust długich, za-

krzywionych rurek, zakończonych fajansowym jajkiem i pomalowanych pstro, jakby dla oczarowania Hotentotów.

Skoro tylko kieliszki opróżniały się, napelniali je ponownie gestem zrezygnowanego znużenia. Hrabia Wilhelm natomiast za każdym razem rozbijał swój kieliszek, a usługujący żołnierz natychmiast podawał inny.

Wśród kłębów gryzącego dymu zdawali się pogrążyć w pewnego rodzaju upojeniu sennym i smutnym, w ponurym zezwierzęceniu ludzi nie mających nic do roboty.

Nagle baron zerwał się z krzesła. Zawrzał w nim bunt.

— Do diabła! — zaklął — dłużej tak być nie może, musimy w końcu coś wymyślić.

Porucznik Otto i podporucznik Fryc, dwaj Niemcy o fizjonomiach wybitnie niemieckich, ciężkich i poważnych, zapytali równocześnie:

— Ale co, panie kapitanie?

Po chwili namysłu odparł:

— Co? Trzeba urządzić zabawę, jeśli komendant pozwoli.

Major wyjął z ust fajkę.

— Jaką zabawę, kapitanie?

Baron podszedł do niego.

— Już ja to wszystko urządzę, komendancie. Wyślę do Rouen naszego „Obowiązkowca“, który nam sprowadzi kobiety; już ja wiem skąd. Tu się przygotowuje kolacja; nie brak przecież niczego i spędzimy chociaż jeden przyjemny wieczór.

Hrabia von Falsberg wrzucił ramionami uśmiechając się:

— Wariat z ciebie, mój drogi.

Ale wszyscy oficerowie zerwali się i otoczywszy komendanta zaczęli błagać.



— Panie komendancie, prosimy o udzielenie kapitanowi pozwolenia; tu tak smutno.

Ostatecznie major ustąpił.

— Niech tam — zgodził się, a baron w tejże chwili kazał zawezwać „Obowiązkowca”. Był to stary podoficer, na którego twarzy nigdy nie widziano uśmiechu, spełniający z fanatycznym przejęciem wszelkie rozkazy swych zwierzchników, bez względu na ich treść.

Wyprostowany z zastygłą twarzą wysłuchał poleceń barona i wyszedł; w pięć minut później wóz z trenu wojskowego, okryty brezentową płachtą, zaprzężony w cztery konie, pomknął galopem po gościńcu wśród ulewnego deszczu.

Dreszcz ożywienia przebiegł obecnych; apatyczne postacie wyprostowały się, twarze pojaśniały i zaczęła się pogawędka.

Pomimo że ulewa ani trochę się nie zmniejszyła, major utrzymywał, że się nieco rozjaśniło, a porucznik Fritz twierdził stanowczo, że niebo zaczyna się rozpogadzać. Hrabia Wilhelm nie mógł usiedzieć na miejscu. Co chwila się zrywał i znów siadał. Jasne i twarde oczy młodego człowieka rozglądały się za czymś, co by warto było zniszczyć. Nagle utkwivszy wzrok w damie z wąsami blondynek chwycił swój pistolet.

— Ty nie będziesz na to patrzeć — rzekł i nie wstając z krzesła wycelował. Dwa kolejno wymierzone strzały przeszły oczy portretu.

Po czym krzyknął: — A teraz podłożymy minę!

Rozmowa ucichła, jak gdyby ogólna uwaga skupiła się na czymś niezmiernie ważnym i nowym.

Podkładanie miny było jego wynalazkiem, jego sposobem niszczenia, jego specjalną przyjemnością.

Właściciel zamku, hrabia Ferdynand d'Uville, opuszczając swą siedzibę nie miał czasu zabrać ani ukryć ni-



czego, z wyjątkiem sreber, zamurowanych w ścianie. A że był bardzo bogatym miłośnikiem sztuki, ogromny salon, przylegający do jadalni, wyglądał przed ucieczką właściciela jak wspaniała galeria albo muzeum.

Ściany obwieszane były malowidłami, rysunkami i doskonałymi akwarelami, a na meblach, etażerkach i w eleganckich oszklonych szafkach stało mnóstwo drogocennych i dziwacznych drobiazgów: wazy chińskie, figurki z saskiej porcelany, bibeloty z kości słoniowej, kryształowe weneckie i chińskie koczkodany zaludniały ogromną komnatę.

Niewiele już z tego pozostało. Nie zrabowano niczego — major hrabia von Falsberg nie byłby na to pozwolił; tylko von Eyrik od czasu do czasu podkładał minę i wszyscy oficerowie przez pięć minut bawili się doskonale.

Mały arystokrata wyszedł do salonu, aby wyszukać coś odpowiedniego. Po chwili wrócił z czajniczkiem chińskim, który napełnił prochem, po czym do szyjki wsunął ostrożnie długi lont, podpalił i z tą piekielną maszyną znów wybiegł do salonu.

Wrócił w okamgnieniu i zamknął drzwi. Wszyscy Niemcy czekali stojąc i uśmiechając się z dziecinną ciekawością, a zaledwie eksplozja wstrząsnęła zamkiem, rzucili się ku drzwiom salonu.

Wilhelm Fifi wszedł pierwszy i w radosnym upojeniu zaczął klaskać w dłonie na widok terakotowej Venus, której potrzaskana głowa leżała na podłodze; każdy schylał się po kawałeczki porcelany, podziwiał migotliwe lśnienie tych odprysków i stwierdzał nowe zniszczenie upierając się, że niektóre pochodzą już z poprzedniej eksplozji; major zaś z miną ojcowską przyglądał się salonowi spustoszonemu przez tego nowego Nerona i zawałonemu szczątkami dzieł sztuki. Pierwszy wyszedł



znów do jadalni oświadczając dobrodusznie: — Tym razem udało się doskonale.

Do jadalni jednak napłynęły kłęby dymu, które w połączeniu z dymem fajek uczyniły powietrze niemożliwym do oddychania. Komendant otworzył okno, a wszyscy oficerowie, którzy wrócili, aby wypić jeszcze ostatni kieliszek koniaku, podeszli do niego.

Wilgotne powietrze wcisnęło się do pokoju, wnosząc ze sobą jakby pył wodny, osiadający na brodach, i zgniłą woń powodzi. Przyglądali się ogromnym drzewom pochylonym pod naporem ulewy, rozległej równinie zamglonej przez ten niepohamowany upust ciężkich chmur, wiszących tuż, tuż nad ziemią, i dzwonnicy kościelnej, która wyłaniała się z deszczowej mgły ostra jak igła.

Od początku ich pobytu nie słyszeli ani razu głosu dzwonu. Był to zresztą jedyny opór, jaki najeźdźcy napotykali w całej okolicy: opór dzwonnicy. Proboszcz nie sprzeciwił się zakwaterowaniu i żywieniu pruskich żołnierzy; kilka razy nawet przyjął zaproszenie komendanta wojsk nieprzyjacielskich na butelkę piwa lub wina. Major zwracał się do niego od czasu do czasu, aby pośredniczył w zatargach z miejscową ludnością — nigdy jednak nie żądał aby na sekundę bodaj kazał zadzwonić, gdyż ksiądz pozwoliłby się raczej rozstrzelać. Był to z jego strony pewnego rodzaju protest przeciw najeźdźcom, protest spokojny, milczący, jedyny — miał — jaki przystoi księdzu, który winien być uosobieniem łagodności, a nie rozlewu krwi; i na dziesięć mil wokoło wszyscy sławili tę stałość heroizmu księdza Chataivoine, który śmiało proklamował żalobę publiczną i głosić ją przez uporczywe milczenie swej dzwonnicy.

Cała wieś rozentuzjasmowana tym oporem gotowa była ze wszystkich sił popierać swego duszpasterza, uważając ten cichy protest za ocalenie godności narodowej. Wie-



śniakom wydawało się, że w ten sposób bardziej się zasłużą wobec ojczyzny niż Belfort i Strassburg, że dadzą przykład równie doniosły i że dzięki temu wioska ich okryje się sławą nieśmiertelną; poza tym jednak niczego nie odmawiali zwycięskiemu Prusakom.

Komendant i oficerowie śmiali się między sobą z tej niewinnej odwagi, a ponieważ cała okolica była wobec nich uprzejma i uległa, tolerowali jej milczący patriotyzm.

Jeden tylko mały hrabia Wilhelm pragnął zmusić dzwon do dzwonięcia. Wściekał się z powodu uprzejmej uległości komendanta względem księdza i codziennie go błagał, żeby choć raz wymusił nad nim uruchomienie dzwonu, na chwilę, dla śmiechu. I prosił o to z wdziękiem kotki, przymilając się jak kobieta, wabiącym głosem kochanki oszalałej z zazdrości; komendant jednak pozostał niewzruszony, a „pannie Fifi“ dla pocieszenia pozostawało tylko podkładanie min na zamku Uville.

Pięciu mężczyzn stało tak obok siebie przez parę minut wdychając wilgoć. W końcu porucznik Fritz zarechotał:

— Te panienki nie będą miały przyjemnej przejażdżki.

Następnie rozeszli się każdy do swego zajęcia: kapitan miał dużo roboty z przygotowaniem kolacji.

Spotkawszy się znów wieczorem wybuchnęli śmiechem na swój widok — wszyscy byli wystrojeni i błyszczący, jak przed wielką rewią wojskową, wypomadowani, wyperfumowani, odświeżeni; włosy majora wydawały się mniej siwe niż rano, a kapitan ogolił się pozostawwszy wąsy jak smugę ognia pod nosem.

Mimo deszczu pozostawiono okna otwarte, a od czasu do czasu jeden z nich podchodził i nasłuchiwał. Dzieśnięć minut po szóstej baron zasygnalizował odległy turkot. Wszyscy rzucili się ku oknu, a w chwilę później ukazał się wielki wóz zaprzęzony w cztery konie, wciąż jesz-



cze pędzące galopem, obryzgane powyżej brzuchów, okryte pianą i potem.

Z wozu wysiadło pięć kobiet, pięć ładnych dziewczyn, troskliwie wybranych przez przyjaciela kapitana, któremu „Obowiązkowiec“ wręczył list swego zwierzchnika.

Nie dały się długo prosić, pewne, że dobrze im zapłacą; zresztą знаły Prusaków już od trzech miesięcy, odkąd się z nimi zadawały, a poza tym oceniały ludzi tak samo jak rzeczy potrzebne im do użytku. — Trudno, to nasz zawód — mówiły sobie po drodze, chcąc prawdopodobnie uspokoić resztki sumienia.

Wszyscy udali się od razu do jadalni. Oświetlona, wyglądała jeszcze posępniej w swym żalonym spustoszeniu, a stół zastawiony mięsiwem, bogatym serwisem i srebrem, wyciągniętym z ukrycia w ścianie, nadawał jej wygląd jaskini bandytów uczujących po świeżo dokonanym rabunku.

Rozpromieniony kapitan z miną znawcy zabrał się do kobiet, taksując je jednym rzutem oka, ściskając, oceniając ich wartość jako dziewczek publicznych; kiedy trzej młodszy oficerowie chcieli sobie wybrać po jednej, sprzeciwił się temu stanowczo zachowując dla siebie prawo sprawiedliwego podziału, z uwzględnieniem rangi, żeby w niczym nie naruszyć praw hierarchii.

Aby więc z góry wykluczyć wszelką dyskusję, opór i podejrzenia o stronniczość, ustawił wszystkie pięć rzędem podług wzrostu i zwróciwszy się do najwyższej tonem komendy zapytał:

— Imię?

Odpowiedziała nadając głosowi brzmienie basowe:

— Pamela.

Kapitan obwieścił:

— Numer pierwszy, Pamela, przydzielona komendantowi.



Uściskał następnie drugą z kolei, blondynę, tym samym biorąc ją w posiadanie, po czym przydzielił grubą Amandę porucznikowi Ottonowi, Ewę zwaną Pomidor — porucznikowi Fritzowi, a najmniejszą ze wszystkich, Rachelę, młodziutką brunetkę o oczach czarnych jak atrament ofiarował najmłodszemu z oficerów, drobnemu Wilhelmowi von Eyrik.

Wszystkie zresztą były ładne i tęgie, wyrazem twarzy i powierzchownością upodobnione do siebie wskutek codziennych praktyk miłosnych i wspólnego życia w domach publicznych.

Trzej młodzi ludzie chcieli zaraz uprowadzić dziewczyny pod pozorem ofiarowania im szczotek i mydła do mycia; kapitan jednak oparł się temu z całą powagą twierdząc, że są dość czyste, aby mogły zasiąść do stołu; pary wychodzące niewątpliwie chciałyby się pozamieniać, co by zakłóciło ustanowiony porządek. Doświadczenie kapitana w tej dziedzinie przydało wagi jego słowom. Rozdawano więc tylko pocałunki i uściski — na zadatek.

Nagle Rachelę zakrztusiła się, aż łzy jej popłynęły z oczu, a przez nozdrza rzucił się dym. To von Eyrik, udając, że chce ją pocałować, dmuchnął jej do ust kłęb dymu. Nie pogniewała się, nie powiedziała ani słowa, utkwiała tylko w swoim władcy spojrzenie pełne gniewu rozbudzonego nagle w głębi czarnych oczu.

Zasiedli do stołu. Nawet major wydawał się zachwycony; po prawej swej stronie usadowił Pamelę, po lewej blondynkę i rozkładając na kolanach serwetę oświadczył:

— Kapitanie, miałeś pomysł znakomity.

Porucznicy Otto i Fritz, pełni salonowej grzeczności jak wobec kobiet z towarzystwa, onieśmielali trochę swe sąsiadki; ale baron von Kelweingstein popuściwszy cugli swojej prawdziwej naturze promieniał w aureoli rudych



włosów jakby w ogniu, rzucając na prawo i lewo sprośne słówka. Prawił galanterie swoją nadreńską francuszczyzną, a te jego karczemne komplementy wypluwane przez szczerbę w uzębieniu dochodziły do dziewczyn razem z bryzgami śliny.

Zresztą zaczęły go rozumieć dopiero wtedy, gdy usłyszały nieprzyzwoite słowa, które dzięki jego wymowie stawały się jeszcze ohydniejsze. Wszystkie równocześnie jak na zawołanie wybuchnęły szalonym śmiechem, padając na brzuchy swych sąsiadów, powtarzając wyrażenia barona, które on znów przekręcał, aby z ich strony wywołać nowe plugastwa. Nie szczędziły ich zresztą, pijane już po pierwszych butelkach; poczuwszy się w swojej skórze dały upust przyzwyczajeniu, całując wąsy sąsiadów po prawej i lewej, szczypiąc ich w ramiona, wydając krzyki i piski, pijąc ze wszystkich szklanek, śpiewając kuplety francuskie i urywki z niemieckich, których się nauczyły w codziennym obcowaniu z Prusakami.

Wkrótce też i mężczyźni, upojeni ciałem kobiecym, rozłożonym tuż pod ich nosami, garnącym się im pod ręce, zaczęły ryczeć i tłuc naczynia, podczas gdy stojący za ich plecami żołnierze obsługiwali ich spokojni i niewzruszeni.

Jeden tylko komendant zachowywał się wstrzemięźliwie.

Von Eyrik usadowił sobie Rachelę na kolanach i roznamietniając się na zimno zapamiętałe całował czarny puszek na jej karku, przez szczelinę między suknią a skórą wdychając łagodne ciepło i woń jej ciała; to znów poprzez suknię szczypał ją z taką wściekłością w przystępie barbarzyńskiej brutalności i dzikiej potrzeby pieszczona, że dziewczyna głośno krzyczała z bólu. To znów przygarniał ją do siebie z taką furją, jakby ją chciał pochłonąć, i przyciskając swe wargi do jej świeżych ust



całował ją do utraty tchu; nagle ugryził ją tak mocno, że niteczka krwi spłynęła po brodzie dziewczyny na jej obnażony gors.

Spojrzała mu prosto w oczy i ocierając ranę szepnęła:

— Za to się płaci.

Roześmiał się śmiechem twardym, brutalnym:

— Zapłacę.

Zabrano się do deseru. Kieliszki napełniono szampanem, a komendant wstał i tym samym tonem, jakim spełniłby toast za zdrowie cesarzowej Augusty, zawołał:

— Zdrowie naszych pań!

Rozpoczął się szereg toastów, pełnych galanterii rozpasanego żołdactwa, urozmaiconych sprośnymi żartami, szczególnie brutalnymi w kaleczonej francuszczyźnie.

Wstawali jeden po drugim i zabierali głos siląc się na dowcip, pragnąc za wszelką cenę powiedzieć coś zabawnego; a kobiety pijane, tak że ledwo trzymały się na nogach, o mętnych spojrzeniach i lepkich ustach, klaskały za każdym razem jak szalone.

Kapitan pragnąc zapewne nadać tej orgii pewien pozor rycerskości raz jeszcze podniósł kieliszek i zawołał:

— Za nasze zwycięstwa nad sercami!

Następnie wstał niedźwiedziowaty porucznik Otto, rozogniony, przesycony alkoholem, i porwany nagle pijackim patriotyzmem krzyknął:

— Za nasze zwycięstwa nad Francją!

Mimo że były pijane do nieprzytomności, wszystkie kobiety zamilkły od razu, a Rachela drżąc zwróciła się do niego:

— Słuchaj, ja znam Francuzów, w obecności których nie śmiałyś tego powiedzieć.

Ale mały oficer, trzymający ją wciąż na kolanach, rozweselony winem wybuchnął śmiechem:



— Ho! ho! ho! Ja jeszcze takiego nie spotkałem. Za-  
ledwie się ukazemy, już uciekają!

Dziewczyna doprowadzona do wściekłości rzuciła mu  
w twarz:

— Kłamiesz, bydlaku!

Na jedną sekundę utkwił w niej swoje zimne źrenice,  
jak w portret, któremu następnie kulą rewolwerową prze-  
bijał oczy, po czym zaczął się śmiać:

— Dobrze, moja piękna, możemy o tym porozmawiać.  
Powiedz, czy bylibyśmy tutaj, gdyby byli odważni? —  
I podnosząc głós dodał:

— Jesteśmy zwycięzcami! Do nas należy Francja!

Zerwała się z kolan i padła na krzesło. Oficer wstał,  
rękę z kieliszkiem wyciągnął nad stołem i powtórzył:

— Do nas należy Francja i Francuzi, lasy, pola i do-  
my Francji!

Pozostali, zupełnie już pijani, porwani nagłym zapa-  
łem wojennym, zapalem dzikich zwierząt, pochwycili  
swe kieliszki i wrzeszcząc: „Niech żyją Prusy!” wychylili  
je duszkiem.

Dziewczyny nie protestowały, siedziały milczące i za-  
straszone. Nawet Rachel milczała, niezdolna do odpo-  
wiedzi.

Wtedy von Eyrik stawiając na jej głowie swój kieliszek,  
który znów napełnił szampanem, krzyknął:

— Do nas należą też wszystkie kobiety Francji!

Zerwała się tak szybko, że kryształowy kieliszek za-  
chybotał na jej głowie, jak przy chrzcie skropił jej czar-  
ne włosy złotawym płynem i spadł na ziemię rozprysku-  
jąc się w drobne kawałki. Z drżącymi ustami wytrzyma-  
ła spojrzenie oficera, wciąż się jeszcze śmiejącego, i gło-  
sem zdławionym przez gniew wykrztusiła:

— Nie, nie, nieprawda, kobiet francuskich mieć nie  
będziecie!

Usiadł pokładając się od śmiechu i wysilając się na akcent paryski rzekł:

— Dobrze, dobrze, ale powiedz, koteczko, co ty tu robisz w takim razie?

Zbita z tropu zamilkła nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o co mu chodzi; rychło jednak zmiarkowała i tonem oburzenia gwałtownie bluznęła mu w twarz:

— Ja? ja? Ja nie jestem kobietą, tylko ladacznicą; w sam raz właśnie dla Prusaków.

Jeszcze nie dokończyła, gdy z całej siły wymierzył jej policzek; gdy jednak nieprzytomny z wściekłości zamierzył się na nią po raz drugi, pochwyciła ze stołu deserowy nożyk ze srebrnym trzonkiem i błyskawicznie, zanim inni spostrzegli, wbiła go w szyję von Eyrika. Rozpoczęte słowo ugrzęzło mu w krtani; tak pozostał, z rozwartymi ustami i przerażonym spojrzeniem.

Wszyscy wydali straszliwy ryk i zerwali się równocześnie, ale ona rzuciwszy swoje krzesło pod nogi porucznika Ottona, który wyciągnął się jak długi, skoczyła ku oknu, otworzyła je, i zanim ją zdołano pochwycić, zniknęła w ciemnościach, wśród ciągle jeszcze lejącego deszczu.

Po dwóch minutach von Eyrik nie żył. Fritz i Otto dobyli szabel, aby zamordować kobiety, czolgające się u ich nóg. Nie bez trudu major powstrzymał ich od tej rzezi rozkazawszy zamknąć cztery przerażone dziewczyny w osobnym pokoju pod strażą dwóch żołnierzy; następnie wydał rozkazy, jakby chodziło o walkę z nieprzyjacielem, i zorganizował pościg za zbiegłą, pewny, że ją pochwycą.

Pięćdziesięciu ludzi, przynaglanych groźbami, rozbiegło się po parku. Dwustu innych miało przeszukać las i wszystkie okoliczne domy.



Stół, z którego szybko uprzątnięto resztki uczy, służył teraz za śmiertelne łoże, a czterej oficerowie, surowi, nagle wytrzeźwieni, o twardych twarzach żołnierzy na wojnie, stali przy oknach usiłując wzrokiem przeniknąć mroki nocy. Ulewa wcale się nie zmniejszała. Ustawiczny plusk wody rozlegał się w ciemnościach.

Nagle strzał przeszył powietrze, a chwilę później drugi, z większej odległości i odtąd przez całe cztery godziny dochodziły od czasu do czasu odgłosy strzałów, to z bliska, to z daleka, i gardłowe krzyki, dziwne dźwięki, wyrzucane jakby zduszonymi głosami.

Rankiem wszyscy wrócili. Dwóch żołnierzy zastrzelili, a trzech zranili własni towarzysze wśród zacieklego pościgu podczas tej nocnej wyprawy.

Racheli nie schwytano.

Zabrano się więc do mieszkańców; przetrząsnięto wszystkie domy, przeszukano całą okolicę, terroryzując ją na wszystkie sposoby. Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę, nie pozostawivszy żadnego śladu.

General zawiadomiony o zajściu wydał rozkaz zatuszowania całej sprawy, aby zły przykład nie oddziałal na armię, i wytoczył dochodzenie dyscyplinarne przeciw majorowi, który znów ukarał swoich podwładnych. General oświadczył:

— Nie po to prowadzi się wojnę, aby urządzać zabawy z dziewczkami.

Hrabia von Falsberg upokorzony naganą postanowił zemścić się na całej wsi.

Szukając pozoru dla upustu swojej mściwości wezwał do siebie proboszcza i rozkazał, żeby podczas pogrzebu podporucznika von Eyrik bił dzwon.

Wbrew oczekiwaniu ksiądz okazał się uległy, pokorny i pełny zrozumienia. I gdy ciało „panny Fifi“ niesione i eskortowane przez żołnierzy, którzy maszerowali

przed trumną, za nią i dokoła niej, wędrowało z zamku Uville na cmentarz, dzwon odezwał się po raz pierwszy tak żwawo i ochoczo, jakby go poruszała jakaś pieszcząca ręka.

Rozbrzmiewał jeszcze wieczorem i nazajutrz, i codziennie: bił, gdy tylko żądano. A nieraz nawet w nocy, jakby sam przez się wprawiony w ruch, rzucał w mrok dwa lub trzy słabe dźwięki pełne dziwnej, niewytłumaczonej wesołości. Toteż wieśniacy zaczęli uważać dzwon za czarowany i z wyjątkiem księdza i zakrystiana nikt nie śmiał się zbliżyć do dzwonnicy.

Tymczasem biedna dziewczyna żyła tam wysoko w strachu i samotności, ukradkiem żywiona przez księdza i zakrystiana.

Pozostała na dzwonnicy aż do wymarszu wojsk pruskich. Wówczas ksiądz wynajął pewnego wieczora wóz u piekarza i sam ją odwiózł do bram Rouen. Tam ją ucałował na pożegnanie, a ona zeszła z wozu i pobiegła do lupanaru, którego właścicielka uważała ją już za umarłą.

Niedługo potem zabrał ją stamtąd pewien patriota wolny od przesądów, który pokochał ją najprzód za jej piękny czyn, a następnie dla niej samej, ożenił się z nią i zrobił z niej damę nie mniej wartą niż wiele innych.



POJEDYNEK





Było to już po wojnie. Niemcy zalali Francję; kraj dyszał jak powalony atleta pod stopą zwycięzcy.

Z wygłodzonego, spustoszonego, zrozpaczonego Paryża wyruszyły pierwsze pociągi ku nowowytkniętym granicom, mijając zwolna wioski i miasta. Podróżni po raz pierwszy patrzyli przez okna wagonów na zrujnowane pola i spalone domostwa. Przed domami ocalałymi z pożogi żołnierze pruscy w pikielhaubach palili fajki, siedząc okrakiem na krzesłach. Inni zajęci byli robotą lub gawędzili z właścicielami zagród, jakby należeli do rodziny. Kiedy zaś pociąg przecinał miasto, widać było całe pułki odbywające na placach musztrę, przy czym gromki odgłos komendy dolatywał chwilami mimo turkotu kół aż do uszu podróżnych.

Pan Dubuis, członek gwardii narodowej przez cały czas oblężenia Paryża, jechał do Szwajcarii, gdzie przebywały jego żona i córka, które roztropnie wysłał tam w przeddzień wkroczenia Prusaków.

Głód i trudy nie zmniejszyły bynajmniej rozmiarów jego brzucha, rozmiarów godnych bogatego kupca i spokojnego obywatela. Przyjmował on straszliwe wypadki wojny z pełną smutku rezygnacją i gorzkimi uwagami na temat ubolewania godnej dzikości człowieka. Obecnie, zmierzając po skończonej wojnie ku granicy, pierwszy raz w życiu zobaczył na własne oczy Prusaków, choć pełnił

w Paryżu służbę na wałach i niejedną mroźną noc przepędził w czasie oblężenia na posterunku.

Przypatrując się jednocześnie z gniewem i lękiem tym ludziom brodatym, zbrojnym, zachowującym się jak u siebie w domu na ziemi francuskiej, czuł w głębi duszy tlejący żar bezsilnego patriotyzmu, a zarazem ów nieznanym przedtem ufnemu w swe siły Francuzowi instynkt roztropności.

W tym samym co i on przedziale dwóch Anglików, przybyłych oglądać spustoszenia wojenne, rozglądało się dokoła spokojnymi i ciekawymi oczami obojętnych widzów. Obaj, podobnie jak on, odznaczeni się otyłością; rozmawiali z sobą w swoim ojczyzm jęzuku, zaglądając co chwila do przewodnika, którego ustępy czytali na głos, aby się zorientować dokładnie we wskazanych przezeń miejscowościach.

Wtem pociąg zatrzymał się na dworcu małego miasteczka i oficer pruski z ogromnym łoskotem pałasza wbiegł po schodkach do przedziału. Był wysokiego wzrostu, ściśle nie obciśnięty mundurem i zarośnięty po same oczy. Ryż jego broda zdawała się płonąć, a długie, bledsze w odcieniu wasy sterczały sztywno po obu stronach twarzy przecinając ją na dwie części.

Anglicy zaczęli mu się przypatrywać z uśmiechem zadowolonej ciekawości, podczas gdy pan Dubuis udawał, że czyta gazetę. Wciśnięty w swój kąć siedział jak złodziej w obecności żandarma.

Pociąg ruszył dalej. Anglicy powrócili do przerwanej na chwilę rozmowy i szukali pól bitew. Gdy jeden z nich wskazał ręką jakąś wioskę na widnokręgu, oficer pruski odezwał się łamaną francuszczyzną wyciągając nogi, jak tylko mógł najdalej, i rozwalając się na ławce:

— Zabiłem dwunastu Francuzów w tym mieście. Stąd z górą wziąłem do niewoli.



Anglicy, bardzo zaciekawieni, zapytali natychmiast, kalecząc język francuski na swój sposób:

— O... A jak się nazywa ta miejscowość?

Prusak odrzekł:

— Pharsbourg.

Po czym dodał:

— Za uszy brałem tych hultajów Francuzów.

I śmiejąc się chętnie w gąszczu swego ryżego zarostu spojrział drwiąco w stronę pana Dubuis.

Pociąg nie przestawał pędzić mijając ciągle zajęte przez nieprzyjaciela wioski. Wzdłuż gościńca, na skraju pól, pod płotami, na progach szynków, wszędzie widać było mundury żołnierzy niemieckich. Pokrywali oni ziemię jak afrykańska szarańcza.

Oficer wyciągnął rękę.

— Gdybym był głównodowodzącym — rzekł — wziąłbym Paryż i puścił cały z dymem, a ludność Francji wybiłbym co do nogi. Byłoby po Francji.

Anglicy odpowiedzieli uprzejmie:

— O, yes.

On zaś mówił dalej:

— Za dwadzieścia lat zresztą cała Europa będzie nasza, bo Prusy są silniejsze niż jakiekolwiek państwo.

Anglicy dotknięci ostatnim zdaniem wstrzymali się od odpowiedzi. Twarze ich, zobojętniałe nagle, wyglądały teraz w obramowaniu długich bokobrodów jak wyrzeźbione w wosku. Oficer wybuchnął śmiechem i wciąż rozwalony na ławce dał folgę wymowie. Szydł bez litości z pokonanej Francji, zasypując obelgami powalonego na ziemię przeciwnika; szydził z pobitej przedtem Austrii; szydził z zacieklego a bezsilnego oporu departamentów, drwił z piechoty, drwił z artylerii, twierdząc, że nie jest do użycia. Zapowiedział, że Bismarck zbuduje miasto ze stali z pancernymi działami, którego nie zmoże żadna

siła. I naraz oparł buty na przeciwległym siedzeniu, tuż koło uda pana Dubuis, który zaczerwieniwszy się po same uszy odwrócił czym prędzej oczy w przeciwną stronę.

Anglicy zobojętnieli w jednej chwili na wszystko, jak gdyby znajdowali się na swojej oblanej morzem wyspie z dala od zgiełku świata.

Oficer zaś wydobyl fajkę i utkwivszy w Francuzie impertynenckie spojrzenie zapytał:

— Nie masz pan tytoniu?

Pan Dubuis odpowiedział:

— Nie, panie.

Prusak na to:

— W takim razie, pójdiesz pan kupić mi, jak tylko pociąg stanie.

Po czym parsknąwszy śmiechem dodał:

— Dostaniesz pan na piwo.

Lokomotywa gwizdnąwszy przeciągle zwalniała biegu. Wymineła spalone zabudowania dworca i nagle zatrzymała się.

Wtedy Prusak otworzył drzwi i biorąc pana Dubuis za rękę rzekł:

— Idźże pan załatwić mój sprawunek, tylko prędko,

Oddział pruski zajmował stację. Żołnierze stojący wzdłuż drewnianych sztachet przypatrywali się pociągowi. Lokomotywa jednak dawała już sygnał odjazdu. Nagle pan Dubuis wyskoczył z wagonu na platformę dworca i mimo protestujących gestów naczelnika stacji wtłoczył się w okamgnieniu do sąsiedniego przedziału.

Był sam!...

Porozpinał na sobie natychmiast kamizelkę, tak mu serce biło gwałtownie, i otarł czoło dysząc ciężko.

Pociąg zatrzymał się znowu na najbliższej stacji. Naraz oficer ukazał się w drzwiach i wsiadł do przedziału,



za nim obaj Anglicy pchani niepowstrzymaną ciekawością.

Prusak usadowił się od razu naprzeciw Francuza i śmiejąc się jak przedtem:

— Więc nie załatwiłeś pan mego sprawunku?

Pan Dubuis odparł:

— Nie, panie.

Pociąg ruszył.

Oficer rzekł:

— W takim razie muszę panu obciąć wąsy, żeby mieć czym wyczyścić fajkę.

I wyciągnął rękę ku wąsom pana Dubuis.

Anglicy, nie odwracając ani na chwilę oczu, patrzyli z lodowatą flegmą.

Prusak uchwycił już kilka włosów i pociągnął za nie, gdy nagle pan Dubuis podbił mu w górę rękę grzbietem swej dłoni i chwytając go za kołnierz rzucił nim z całej siły o ławkę! Po czym rozszalały z gniewu, z nabrzmiałą skronią, z oczyma krwią nabiegłymi, dławiąc go ciągle jedną ręką, drugą, zaciśniętą, począł okładać go wściekle kulakiem po twarzy.

Prusak zaczął się rzucać, usiłował dobyć szabli, porwać leżącego na nim przeciwnika w uścisk swych ramion. Ale pan Dubuis przywalał go ogromem swego brzucha, bijąc Prusaka w głowę bez wytchnienia, bijąc na oślep, gdzie trafił.

Trysnęła krew; oficer duszony, zaczął charczeć i wypluwać zęby, usiłując wciąż, jednak na próżno, odeprzeć tego tłustego, rozszalałego człowieka.

Anglicy tymczasem, podniósłszy się z siedzeń, podeszli bliżej, aby dokładniej śledzić przebieg całej sceny. Twarze ich tryskały zaciekawieniem i radością; mało brakowało, a zaczęłyby się zakładać, kto zwycięży.

Naraz pan Dubuis, wyczerpany tak znacznym wysił-

kiem, dźwignął się i nie rzekłszy ani słowa usiadł na dawnym miejscu.

Prusak był tak ogłuszony, że nie rzucił się na niego. Widocznie zgłupiał do szczętu ze zdumienia i bólu. Dopiero odzyskawszy oddech odezwał się:

— Jeżeli mi pan nie zechcesz dać zadośćuczynienia i bić się ze mną na pistolety, zabiję pana.

Pan Dubuis odparł:

— I owszem. Kiedy się panu podoba.

Prusak nalegał:

— Za chwilę staniemy w Strassburgu. Poproszę dwu oficerów na świadków; mam czas, zanim pociąg ruszy dalej.

Pan Dubuis, sapiąc jak maszyna, zwrócił się do obu Anglików:

— Czy zechcecie panowie być moimi świadkami?

— O, yes!...

Tymczasem pociąg stanął.

W okamgnieniu Prusak odszukał dwóch kolegów, którzy przynieśli pistolety, i udano się natychmiast poza nasyp. Anglicy spoglądali raz po raz na zegarki, przyspieszając kroku, przynaglając przygotowania, zaniepokojeni, czy nie spóźnią się na pociąg.

Pan Dubuis nie miał przez całe życie pistoletu w ręku. Postawiono go na dwadzieścia kroków od przeciwnika. Usłyszał pytanie:

— Jesteś pan gotów?

Odpowiadając: — Tak jest — zauważył, że jeden z Anglików rozpina nad głową parasol, aby zasłonić się przed słońcem.

Jakiś głos zawołał:

— Ognia!

Pan Dubuis wypalił nie czekając, na los szczęścia, i ujrzał ze zdumieniem, jak stojący naprzeciw niego Pru-



sak zachwiał się i bijąc rękami powietrze padł bez życia na twarz. Zabił go.

Na ten widok jeden z Anglików nie był w stanie powstrzymać drżącego zadowoleniem i nasyconą ciekawością okrzyku: — Ooo!... Drugi zaś, trzymający bez przerwy w ręku zegarek, chwycił pana Dubuis pod ramię i uprowadził go gimnastycznym krokiem w stronę dworca. Pierwszy Anglik tymczasem, z rękami zaciśniętymi w pięści, z łokciami przyciśniętymi do ciała, zaczął nadawać tempo jak na placu ćwiczeń:

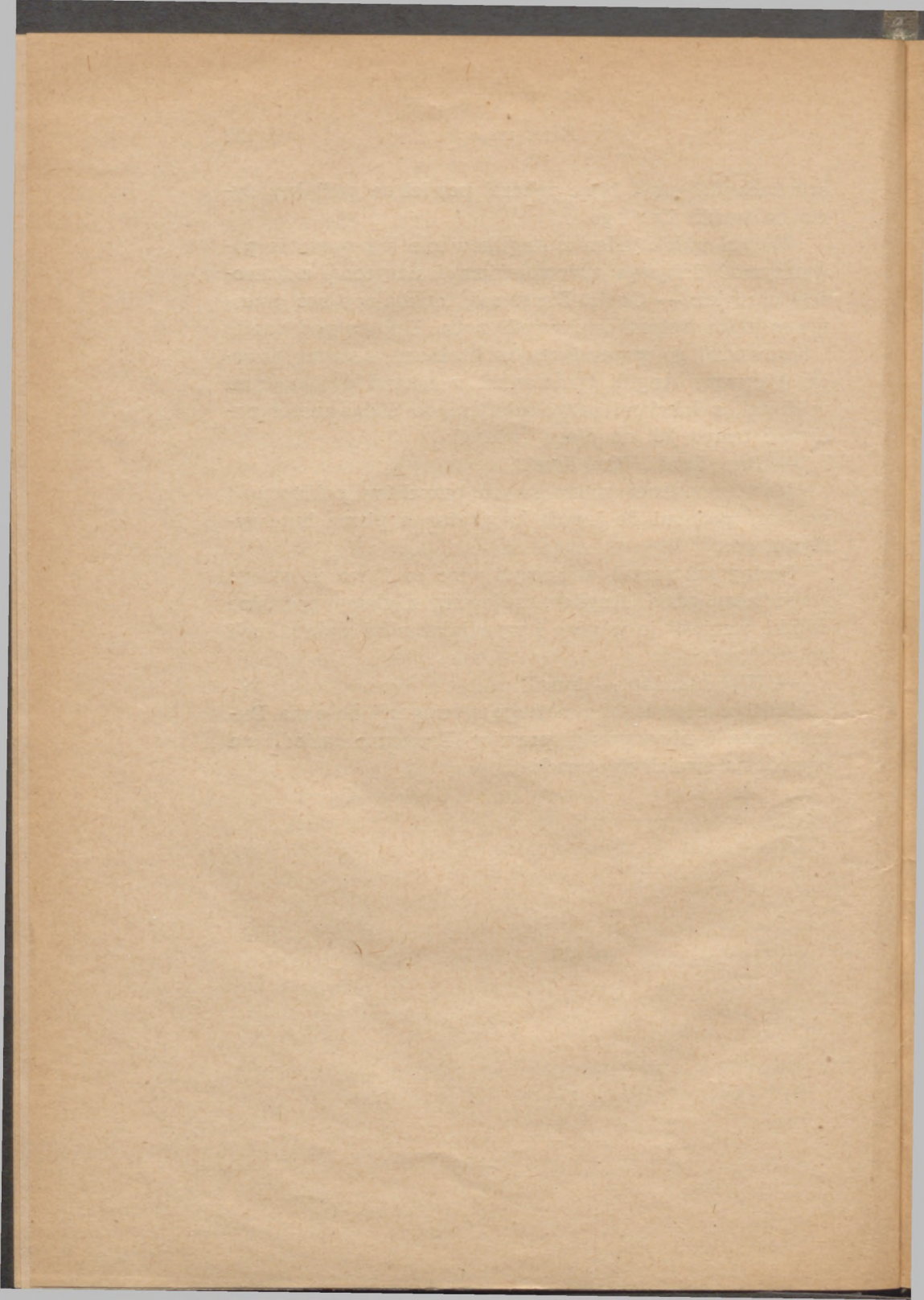
— Raz, dwa!... Raz, dwa!...

I wszyscy trzej mimo swych brzuchów pokłusowali rzędem, podobni do trzech karykatur z pisma humorystycznego.

Pociąg już ruszał, wskoczyli więc co żywo do swego przedziału, gdzie Anglicy, zdjawszy z głowy podróżne czapki, wzniesli je w górę i wywijając nimi wykrzyknęli po trzykroć:

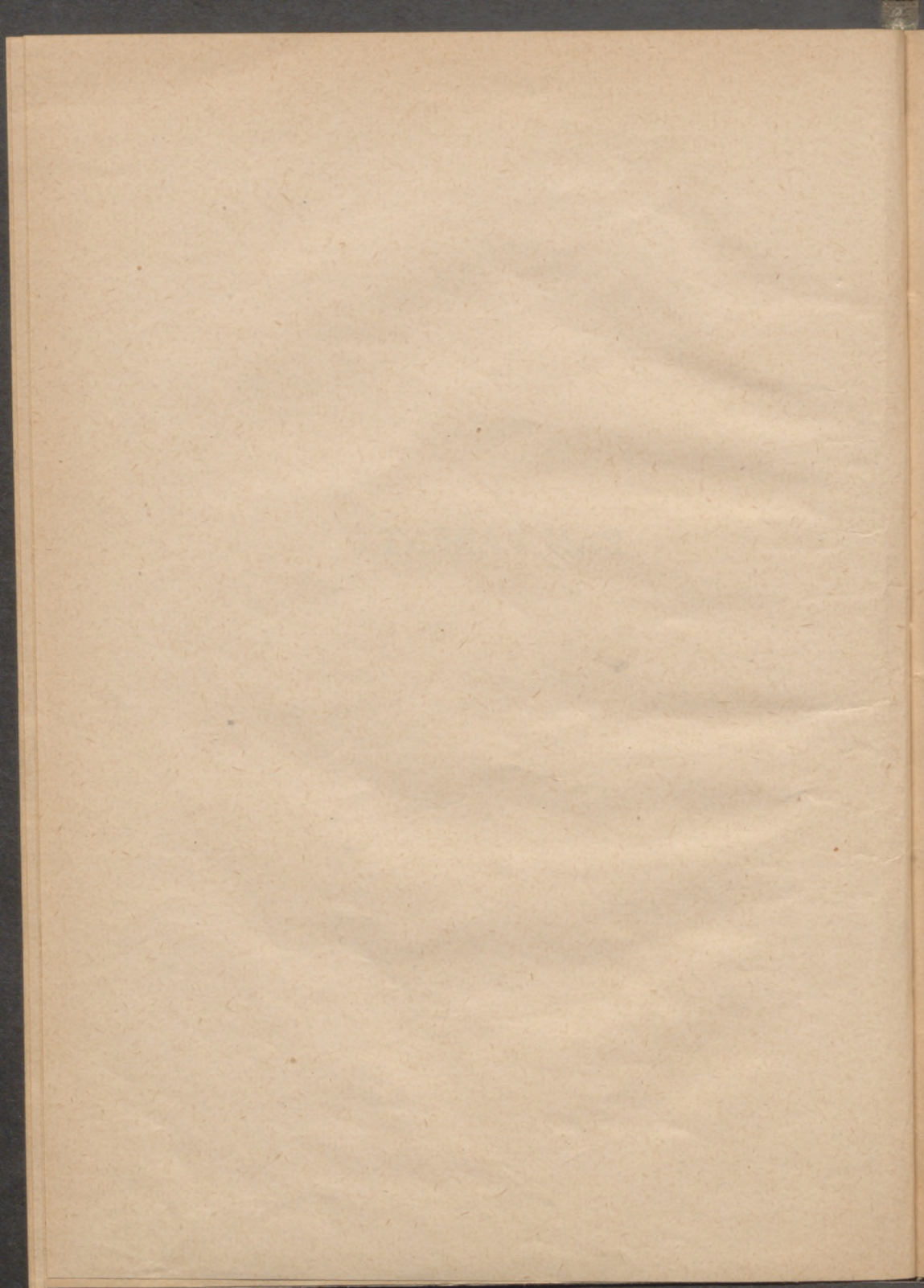
— Hip, hip, hip — hura!!

Następnie po kolei z powagą wyciągnęli do pana Dubuis rękę i uściskawszy prawicę Francuza zasiedli na powrót na swoich miejscach.





PAN PARENT





## I

Mały Jurek przykucnąwszy na środku alei budował pagórki z piasku. Nabierał go w obie rączki i usypywał piramidę, na której wierzchołku zatknął liść kasztanowy.

Ojciec siedząc na żelaznym krześle wpatrywał się w niego z tkliwością i w niewielkim publicznym parku przepelnionym ludźmi jego jednego tylko widział.

Wzdłuż całej kolisto zatoczonej drogi, która obiega trawnik, inne dzieci tak samo były zajęte, podobne do młodych zwierzątek bawiły się w jakieś swoje własne gry, podczas gdy bony obojętnie spoglądały przed siebie bezdusznym wzrokiem, a rozmawiające ze sobą matki pilnowały swoich pociech nie spuszczać ich z oczu.

Parami, poważnie krocząc przechadzały się mamki, ciągnąc długie, jaskrawe wstążki czepców, a na rękę niosąc coś białego, spowitego w koronki; małe dziewczynki w krótkich sukienkach i z gołymi łydkami rozmawiały ze sobą poważnie w przerwach pomiędzy jedną a drugą goniwą za obręczami. Dozorca ogrodu w ciemnozielonym mundurze przechadzał się wśród tego narodu malców, ciągle zbaczając z drogi, żeby nie burzyć robót ziemnych, nie nadeptać małych rączek, nie przeszkodzić mrówczej pracy gąsieniczek ludzkich.

Słońce mające już niebawem zniknąć poza dachami ulicy Saint Lazare, rzucało długie, ukośne promienie na

rozbawiony i strojny tłum. Kasztany płonęły żółtawymi blaskami, a trzy wodotryski bijące przed wysokim portykiem kościelnym błyszcząły jak żywe srebro.

Pan Parent patrzył na synka grzebiącego się w piasku.

Pełnymi miłości oczami śledził każdy jego ruch; zdawało się, że przesyła mu w powietrzu pocałunki.

Ale podniósłszy oczy na zegar umieszczony na dzwonnicy spostrzegł, że się już spóźnił o całe pięć minut. Wstał więc, wziął małego za rączkę, otrzepał mu sukienkę z ziemi, obtarł rączki i poprowadził w stronę ulicy Blanche. Przyśpieszał kroku, aby nie wrócić do domu później niż żona, a malec, który nie mógł iść tak szybko, biegł drobnym kroczeniem przy ojcu.

Wziął go więc na ręce i jeszcze przyśpieszył kroku dysząc ze zmęczenia na chodniku stromo wspinającym się w górę.

Był to człowiek lat może czterdziestu, siwiejący już, trochę otyły, z niespokojną miną dźwigający brzuszek człowieka poczciwego i wesołego, którego okoliczności uczyniły nieśmiałym.

Przed kilkoma laty ożenił się z młodą kobietą, którą bardzo kochał. Jego żona obchodziła się z nim teraz szorstko i despotycznie. Gromiła go za wszystko, co robił, i za wszystko, czego nie robił, wymawiała mu surowo najmniejsze jego wykroczenia, nawyki, skromne przyjemności, upodobania, sposób bycia i ruchy, nawet okrągłość jego brzuszka i spokojny dobroduszny ton jego głosu.

Mimo wszystko kochał ją jednak jeszcze, przede wszystkim zaś kochał dziecko, którym go obdarzyła — Jurka, trzyletniego już dziś chłopczyka, który stał się największą jego radością i największym ukochaniem



serca. Skromny rentier żył bez zajęcia z dwudziestu tysięcy franków rocznie, a żona, którą wziął bez posagu, ciągle się oburzała na bezczynność męża.

Doszedłszy wreszcie do domu postawił chłopca na pierwszym stopniu schodów i ocierając spocone czoło zaczął iść na górę.

Na drugim piętrze zadzwonił.

Otworzyła mu stara służąca, która go wychowała od dziecka, jedna z tych rządzących domem sług, które stają się tyranami swoich państwa.

Pan Parent zapytał niespokojnie:

— Czy pani wróciła?

Służąca wzruszyła ramionami:

— A kiedyż to pan widział, żeby pani wróciła na pół do siódmej?

Z pewnym zakłopotaniem odparł:

— Dobrze, to nawet tym lepiej, będę miał czas przebrać się, bo się bardzo zgrzałem.

Służąca patrzyła nań z gniewną i pogardliwą litością.

— Widać, widać — odparła — pot leje się z pana. Musiał pan biec, może nawet niósł pan dziecko, a wszystko po to, żeby czekać na panią do pół do ósmej. Mnie tam już nikt nie nabierze, żeby była gotowa na godzinę. Szykuję kolację na ósmą. Chociaż państwo czekają, to trudno! Mięso nie może się przypalić.

Pan Parent udawał, że nie słucha.

— Dobrze już, dobrze — bąkał — trzeba umyć rączki Jurkowi, bo się bawił w piasku. Idę się przebrać, a ty powiedz pokojówce, żeby porządnie ubrała dziecko.

Poszedł do swego pokoju i zasunął zasuwkę, gdyż chciał być sam, zupełnie sam. Tak już teraz przywykł do łajania i wymówek, że tylko pod osłoną zamków czuł się zupełnie bezpieczny. Nie śmiał już myśleć, jeżeli klucz przekręcony w zamku nie zabezpieczał go od

spojrzeń i posądzeń. Padłszy na krzesło, aby trochę odpocząć przed włożeniem świeżej bielizny, myślał, że kucharka Julia zaczyna się teraz stawać prawdziwą plagą domu. Nienawidziła jego żony, było to rzeczą widoczną, głównie zaś nienawidziła jego kolegi, Pawła Limousin, który był dawniej nieodłącznym towarzyszem jego kawalerskiego żywota, a teraz, co się rzadko zdarza, został — poufnym i serdecznym przyjacielem obojga państwa.

Paweł był rozjemcą między nim a Henryką i bronił go przeciw niesprawiedliwym zarzutom, przeciw dokuczliwym scenom, przeciw wszystkim codziennym utrapieniom nieszczęśliwego pożycia.

A teraz jakoś już od pół roku Julia pozwalała sobie robić o pani nieżyczliwe uwagi. Wydając co chwila sądy o jej postępowaniu, dziesięć razy na dzień oświadczała:

— Ja, gdybym była na miejscu pana, nie pozwalałabym się tak wodzić za nos. Ale niech tam. Każdy robi, jak mu lepiej.

Raz nawet okazała się zuchwałą względem Henryki, która wieczorem powiedziała tylko mężowi:

— Słuchaj, niech mi ta dziewczka raz jeszcze odpowie, a wyrzucę ją za drzwi.

Zdawało się jednak, że ona, która niczego się nie bała, obawia się służącej, a Parent przypisywał tę łaskawość względem dla starej Julii, która jego wychowała, a matce jego zamknęła oczy.

Ale teraz już było za wiele. Dalej tak być nie może. Co robić? Odprawienie Julii wydawało mu się tak okropnym postanowieniem, że nie śmiał myśleć o tym. Przyznać jej słuszność w sporze z żoną? To było niemożliwe. Przed upływem miesiąca najdalej położenie stanie się nie do wytrzymania.



Siedział tak opuściwszy ręce, szukając w myśli sposobów pogodzenia jednej z drugą i nic nie mogąc znaleźć. To przynajmniej szczęście, że mam Jurka — szepnął wreszcie do siebie — bez niego byłbym bardzo niešťęśliwy.

Potem przyszło mu na myśl poradzić się Pawła i już postanowił to uczynić. Ale niebawem wspomnienie niechęci, jaką żywili względem siebie niańka i jego przyjaciel, wzbudziło w nim obawę, że Limousin doradzać będzie odprawienie starej, i znowu pogrążył się w otchłań obaw i wątpliwości.

Zegar wybił siódmą. Parent zerwał się. Siódma, a on nie zmienił jeszcze bielizny. I wystraszony, zdyszany rozebrał się, umył, włożył czystą koszulę i ubrał się znowu z takim pośpiechem, jakby w sąsiednim pokoju czekał nań ktoś w bardzo ważnej sprawie.

Potem wszedł do salonu zadowolony, że niczego już nie potrzebuje się obawiać.

Rzucił okiem na gazetę, wyjrzał na ulicę i usiadł po chwili na kanapie. Wtem drzwi się otworzyły i wszedł jego synek umyty, uczesany, uśmiechnięty. Parent pochwycił go w ramiona i ucałował namiętnie. Całował najprzód jego włosy, potem oczy, potem policzki, usta, wreszcie rączki. Potem podrzucił go w górę, aż pod sam sufit, wreszcie usiadł zmęczony tym wysiłkiem i posadziwszy sobie Jurka na kolanie kazał mu jechać jakby na koniu.

Chłopiec śmiał się uszczęśliwiony, wymachiwał rączkami, krzyczał z radości, a ojciec śmiał się i krzyczał także z radości, trzęsąc dużym brzuchem i bawiąc się lepiej jeszcze od syna. Kochał go całym sercem słabych, poddających się, boleśnie co chwila ranionych istot. Kochał go całą siłą namiętności, całą tkliwością wstydlive w nim utajoną, tkliwością, która nigdy nie mogła

ujawnić się, ponieważ nawet w pierwszych chwilach małżeńskiego pożycia żona okazywała się zawsze chłodna i zamknięta w sobie.

Julia stanęła w drzwiach blada, z błyszczącymi oczyma i głosem, w którym przebijało się najwyższe zniecierpliwienie, oświadczyła:

— Proszę pana, już pół do ósmej.

Parent rzucił na zegar niespokojnym, zrezygnowanym spojrzeniem i szepnął:

— Rzeczywiście już pół do ósmej.

— A widzi pan. Kolację mam już dawno gotową.

Widząc nadciągającą burzę usiłował ją zażegnać.

— Przecież mówiłaś sama, że ją zrobisz dopiero na ósmą.

— Na ósmą. Pan chyba sam nie wie, co pan mówi! To pan każe dziecku jeść dopiero o ósmej? Powiedziałam, to prawda, ot tak sobie, żeby gadać. Ale dziecko popsułoby sobie żołądek, gdyby zaczęło jadać o ósmej. O, pani to wszystko jedno, pani tam bardzo dba o dziecko. To dopiero matka. Czy to nie obraza boska, taka matka jak pani?

Parent, drżąc z bolesnego niepokoju, czuł, że mu wypada stanowczo przerwać grożącą scenę.

— Julio — rzekł — nie pozwalam odzywać się w ten sposób o pani. Zapamiętaj to sobie i staraj się nie zapominać o tym na przyszłość.

Stara służąca oniemiała ze zdziwienia, zawróciła się i wyszła trzaskając drzwiami tak silnie, że wszystkie kryształowe żyrandole zadzwoniły. Przez kilka sekund lekkie dźwięki jakby niewidzialnych dzwoneczków rozlegały się w milczącej atmosferze salonu.

Jurek, zrazu zdziwiony, zaczął klaskać w ręce z radości i nadąwszy policzki całą siłą płuc wyrzucił z piersi głośne „bums“ mające naśladować łoskot drzwi.



Wtedy ojciec zaczął mu opowiadać bajeczki, ale że myśl jego czym innym była zaprzątnięta, wątek opowiadania rwał mu się co chwila, malec więc nie mogąc zrozumieć, o co chodzi, otwierał szeroko oczy ze zdziwienia.

Parent nie spuszczał oczu z zegara. Zdawało mu się, że dostrzega nieznaczny ruch wskazówek. Chciałby zatrzymać bieg godzin, unieruchomić czas aż do powrotu żony. Nie miał za złe Henryce jej spóźnienia, ale brał go strach, bał się Henryki zarówno jak Julii, bał się wszystkiego, co mogło nastąpić.

Wystarczy jeszcze dziesięć minut, żeby sprowadzić nieuniknioną katastrofę, gwałtowne spory i wzajemne wymówki, których nie śmiał nawet wyobrazić sobie. Na samą myśl o tej kłótni, o krzyku podniesionych głosów, o tych dwóch kobietach patrzących sobie twarz w twarz, oko w oko i rzucających sobie nawzajem obelgi, biło mu serce, zasychało mu w ustach, jakby szedł po słonecznym skwarze, opuszczały go siły, słabł tak, że nie był w stanie podnieść z ziemi synka i podrzucić go na kolanie.

Wybiła ósma i w otwartych drzwiach znowu ukazała się Julia. Nie znać już było na niej zniecierpliwienia, miała jednak daleko groźniejszą minę, złośliwie i chłodno zdecydowanej osoby.

— Proszę pana — zaczęła — służyłam u mamy pańskiej do ostatniej chwili jej życia, wychowałam także pana od urodzenia aż po dziś dzień. Zdaje się, że mam prawo powiedzieć, że wierna ze mnie sługa.

Przerwała oczekując odpowiedzi.

Parent niewyraźnie bąknął:

— Zapewne, zapewne, moja Julio.

Ona ciągnęła dalej:

— Pan wie, zem nigdy nic nie robiła dla pieniędzy, ale zawsze z przywiązania do pana, zem nigdy w niczym nie okłamała, że nie oszukuję, że pan nigdy nie potrzebował się skarżyć.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, moja Julio...

— Więc kiedy tak, proszę pana, to już tak dłużej trwać nie może. Ja tylko przez przywiązanie do pana nic dotąd nie mówiłam i pan o niczym nie wiedział, ale już tego zanadto, wszyscy się śmieją z pana. Zrobi pan, co pan zechce, ale wszyscy wiedzą już o tym, muszę więc i ja w końcu wszystko powiedzieć, choć nie lubię roznosić plotek. Jeżeli pani wraca tak późno, o Bóg wie jakich godzinach, to dlatego, że robi okropności.

Parent osłupiał z przerażenia, a nie mogąc na razie zrozumieć wyjąkał tylko:

— Cicho bądź! Wiesz, że ci zabroniłem...

Ale ona z nieodpartą stanowczością przerwała mu:

— Nie, proszę pana, teraz już muszę panu wszystko powiedzieć. Pani dawno już zgrzeszyła z panem Limousin, ze dwadzieścia razy przynajmniej widziałam, jak się całowali za drzwiami. O, gdyby pan Limousin miał majątek, to pani nie za pana byłaby poszła. Niech pan sobie tylko przypomni, jak doszło do tego małżeństwa, a zrozumie pan wszystko od początku do końca.

Parent podniósłszy się z krzesła bełkotał zsiniały.

— Milcz, milcz... bo...

Ona ciągnęła dalej:

— Nie, powiem już wszystko. Pani wyszła za pana dla pieniędzy, ale oszukiwała pana od pierwszej chwili: umówili się tak między sobą. Niech pan się tylko zastanowi, a zrozumie pan. A że pani nie w smak było, że poszła za pana nie kochając, więc dokuczała panu, czym mogła, dokuczała tak, że aż mi się serce krajało, kiedy na to patrzałam...



Ścisnąwszy pięści postąpił ku niej powtarzając:

— Milcz, milcz... — nie miał co odpowiedzieć.

Stara niańka nie ustępowała jednak; zdawała się zdecydowana na wszystko.

Tymczasem Jurek najpierw spłoszony, potem przestraszony tymi gniewnymi głosami zaczął przeraźliwie krzyczeć. Stał tuż za ojcem i z wykrzywioną twarzą, z otwartymi ustami wrzeszczał co siły.

Krzyk dziecka doprowadził ojca do ostateczności. Z otwartymi rękami rzucił się ku Julii i godząc w nią obiema pięściami krzyczał:

— Ach ty niegodziwa... przez ciebie mi dziecko zachoruje ze strachu.

Dotykał jej prawie. Ale ona cisnęła mu w twarz:

— Niech mnie pan, bije, kiedy pan chce, ale ja dlatego właśnie powiem, że żona pana oszukuje i że Jurek nie jest pańskim synem.

Parent stanął teraz jak wryty. Ręce mu opadły i stał naprzeciw niej tak zmieszany, że nie zrozumiał, co mówiła.

Ona dodała:

— Dość spojrzeć na niego, aby poznać, czyje to dziecko — przecież to wykapany portret pana Limousin. Niech pan spojrzy uważnie na jego czoło i oczy. Ślepy zauważyłby.

Ale on chwycił ją za ramiona i trzęsąc nią z całej siły belkotał:

— Żmijo, żmijo, wynoś mi się zaraz precz, żmijo. Precz, bo cię zabiję. Precz... precz... precz...

I rozpaczliwym wysiłkiem popchnął ją aż do sąsiedniego pokoju. Upadła na nakryty stół, tłukąc sobą szklanki, po czym podniósłszy się i zastawiając się stołem od pana, który znowu ją chciał pochwycić, pluła mu w twarz przerażające słowa:

— Niech pan tylko wyjdzie dziś wieczór i niech pan zaraz wróci... Zobaczy pan, zobaczy pan, czy ja kłamię... Niech pan spróbuje... Przekona się pan...

Dopadła drzwi od kuchni i uciekła. On pobiegł za nią kuchennymi schodami dostał się do jej izdebki, w której zamknęła się na klucz, i stukając do drzwi krzyknął:

— W tej chwili wynoś się stąd precz...

Julia przez drzwi odparła:

— Może pan być pewny. Za godzinę już mnie tu nie będzie.

Zeszedł na dół powoli, chwytając się poręczy, aby nie upaść, i powrócił do salonu, gdzie zastał Jurka siedzącego na ziemi i tonącego we łzach.

Parent padł na krzesło i osłupiałym wzrokiem przyglądał się dziecku. Nic już nie pojmował, nic nie widział, odurzony, ogłupiały, oszalały, jakby z wysoka upadł na głowę. Zaledwie przypomniał sobie te okropne rzeczy, o których mówiła służąca. Potem powoli umysł jego uspokoił się i uciszył jak zmacona woda, a ohydna wiadomość otrzymana przed chwilą zaczęła mu szarpać serce.

Julia mówiła tak wyraźnie, z taką siłą, taką szczerością, taką pewnością siebie, że nie mógł wątpić o jej dobrej wierze. Miał tylko wątpliwość co do trafności jej spostrzeżeń. Mogła się omylić zaślepiona przywiązaniem do niego, powodowana bezwiedną nienawiścią do Henryki. Tymczasem jednak, w miarę jak starał się uspokoić i przekonać samego siebie o nieprawdzie słów Julii, stawały mu w pamięci tysiące drobnych zdarzeń. Słowa żony, spojrzenia Pawła, mnóstwo drobiazgów nie-spostrzeżonych, które ledwie pamiętał. Późne wychodzenie z domu, równoczesna nieobecność obojga, gesty prawie nic nie znaczące, ale dziwnie porozumiewawcze,



których nie umiał zrozumieć, ale które teraz nabierały dla niego ogromnej wagi, dowodziły łączącego tych dwoje stosunku. W pamięci jego podnieconej bolesnym niepokojem powstawało nagle wszystko, co zaszło od chwili zaręczyn. Wszystko to uprzytomniał sobie teraz: poszczególne słowa, podejrzone ruchy, a ubogi umysł tego spokojnego poczciwca dręczony wątpliwościami przedstawiał mu jako pewność to, co jeszcze mogło być tylko posądzeniem.

Z gwałtownym rozgoryczeniem grzebał we wspomnieniach pięcioletniego pożycia małżeńskiego, usiłując odnaleźć wszystko, miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, a cokolwiek odkrył niepokojącego, raniło mu natychmiast serce ukłuciem bolesnym jak żądło osy.

Nie myślał o małym Jurku, który tymczasem uspokoił się.

Widząc jednak, że nikt się nim nie zajmuje, malec począł na nowo płakać.

Pan Parent pochylił się nad nim, porwał go w ramiona i okrył pocałunkami jego główkę. Pozostawało mu przynajmniej dziecko, cóż go mogła obchodzić reszta. Trzymał je w objęciach i ścisnął z ustami wtulonymi w jasne włosy. Pocieszony już i spokojniejszy szeptał:

— Jurku, mój mały Jurku, moje kochane dziecko.

Nagle przypomniał sobie, co mówiła Julia... Powiedziała przecież, że Jurek był synem Limousina. Cóż znowu! Wszak to niepodobieństwo. Nie mógł temu ani na sekundę dać wiary, ani na chwilę przypuścić coś podobnego. Była to, jak sądził, jedna z tych ohydnych podłości, które lęgną się w nikczemnych duszach służących.

Powtarzał ciągle:

— Jurku, mój kochany Jurku.

Malec pod wpływem pieszczot uspokoił się znowu.

Parent czuł ciepło jego małego ciała. Nappełniało go ono miłością, odwagą, szczęściem. Rozkoszne ciepło dziecięce było dla niego w tej chwili ukojeniem, wzmocnieniem i ratunkiem.

I odsunawszy od siebie tę małą, lokami okrytą główkę przyglądał jej się z miłością, tonął w niej wzrokiem i upojony powtarzał:

— Mój mały Jureczku.

Nagle przyszło mu na myśl:

— Gdyby tak jednak istotnie malec podobny był do Limousina?

Ogarnęło go dziwne, okrutne, gwałtowne i przemożne uczucie zimna w całym ciele, we wszystkich członkach, jakby mu nagle kości zmieniły się w lód.

— Ach, a jeżeli jest podobny do Limousina?

Zaczął uważnie przypatrywać się Jurkowi, który już śmiał się. Szukał w czole, w ustach, w oczach, w policzkach dziecka, czy nie znajdzie czegoś, co by mu przypominało czoło, nos, oczy, policzki — Pawła.

Myśl uciekała mu jak człowiekowi, którego chwyta obłąkanie, a twarz dziecka mieniła się w oczach, przybierała dziwaczne rysy, nieprawdopodobne podobieństwo.

Julia mówiła: „Ślepy zauważyłby“. Było więc w jego twarzy coś uderzającego, coś niezaprzeczonego. Ale co? Czoło? Tak... A może Limousin miał węższe? A zatem usta? Ale Limousin miał brodę... Jak stwierdzić podobieństwo między tłustym podbródkiem chłopca a brodatym podbródkiem mężczyzny?

Parent mówił sobie w duchu:

— Nie widzę już nic, nie poznaję nic, jestem zbyt wzruszony. Nie byłbym w stanie niczego poznać. Trzeba poczekać, muszę mu się dobrze przypatrzeć jutro rano, natychmiast po wstaniu z łóżka.



Potem przyszło mu na myśl:

— A jeżeli się okaże, że jest podobny do mnie? Byłoby dla mnie ocaleniem, byłbym uratowany.

I dwoma ogromnymi krokami przeszedł salon, aby twarz dziecka zobaczyć w lustrze obok swojej.

Posadził sobie Jurka na rękę i sam już nie wiedząc, co czyni, głośno mówił do siebie:

— Tak, mamy podobne nosy, podobne... a może nie... i taki sam wyraz oczu. Ale nie. Jurek ma oczy niebieskie... A więc... O mój Boże... Boże... ja oszaleję... nie chcę już więcej patrzeć... oszaleję.

Uciekł od lustra na drugi koniec pokoju, rzucił się na fotel, posadził chłopca na drugim i zaczął płakać. Płakał głośno, rozpaczliwie.

Jurek słysząc ojca płaczącego rozpłakał się na nowo.

W tejże chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Parent zerwał się jakby piorunem rażony i zawołał:

— To ona. Co robić?

Pobiegł do swego pokoju — zamknąć się, aby przynajmniej obetrzeć sobie oczy.

Ale po chwili przestraszył go powtórny dzwonek i wtedy przypomniał sobie, że Julia wychodząc nie uprzedziła o tym pokojówki. Nikt więc nie pójdzie jej otworzyć? Co tu robić?

Po chwili namysłu poszedł sam.

I oto nagle poczuł się mężnym, stanowczym, gotowym do walki nie mniej jak do ukrywania swoich wrażeń. Przez ten straszliwy wstrząs dojrzał w ciągu kilku chwil.

A przy tym chciał wiedzieć prawdę, dążył do jej wyświelenia z energią człowieka bojaźliwego i z odwagą wzburzonej łagodności.

Mimo to drżał. Czyżby ze strachu? Tak... Bał się jej może jeszcze? Któż zgadnie, ile rozdrażnionego tchórzostwa czasem zawiera w sobie odwaga?

Skradał się do drzwi na palcach i stanął obok nich nasłuchując. Serce mu biło jak młotem, słyszał tylko jego głuche uderzenia i głos Jurka, który ciągle płakał w salonie.

Nagle rozległ się głos dzwonka tuż nad jego głową i wstrząsnął nim jak eksplozja.

Chwycił więc ręką za zamek, zdyszany, na pół omdlały przekreślił klucz i otworzył drzwi na oścież.

Naprzeciw niego na schodach stała jego żona, a obok Limousin. Ze zdziwieniem, w którym przebijało trochę gniewu, zapytała:

— To ty już teraz sam otwierasz? Gdzie jest Julia?

Gardło miał ściśnięte i oddech przyspieszony; silił się na odpowiedź, ale nie był w stanie wymówić ani słowa.

— Czyś oniemiał? Pytam się ciebie, gdzie Julia? — powtórzyła.

Wtedy wyjąkał:

— Ju... Julia... wyszła.

Żona zaczynała się już gniewać.

— Wyszła? Dokąd? Po co?

Powoli odzyskiwał pewność siebie i czuł budzącą się w nim zjadliwą nienawiść do tej bezczelnej kobiety stojącej przed nim.

— Wyszła... odeszła już na dobre... Odprawiłem ją.

— Odprawiłeś Julię? Oszalałeś chyba.

— Tak, odprawiłem ją, bo zachowywała się bezczelnie i źle obchodziła się z dzieckiem.

— Julia?

— Tak... Julia.

— O cóż poszło?



- O ciebie.  
— O mnie?  
— Tak... dlatego że obiad już się przypalał, a ciebie jeszcze nie było.  
— Co powiedziała?  
— Powiedziała coś, co mi ubliża... czego nie powinienem był słuchać, nie mogłem.  
— Cóż takiego?  
— Nie chcę tego powtarzać.  
— Ja chcę wiedzieć.  
— Powiedziała... że dla człowieka takiego jak ja nie-  
szczęściem jest kobieta taka jak ty, nieporządna, niedba-  
ła, zła gospodyni, zła matka i zła żona.

Henryka weszła tymczasem do przedpokoju, a za nią Limousin milczący wobec niespodziewanej sytuacji. Gwałtownie trzasnęła drzwiami, rzuciła okrycie na krzesło i przystąpiwszy do męża powiedziała z gniewem, jękając się:

— Mówisz więc?... mówisz... że jestem...

On bardzo blady, ale bardzo też spokojny odpowiedział:

— Ja nic nie mówię, moja droga; powtarzam ci tylko słowa Julii, o które pytałaś, i pozwolę sobie zwrócić ci uwagę, że właśnie z powodu tych słów wyrzuciłem ją za drzwi.

Miała ochotę rwać mu włosy z brody i drapać twarz paznokciami. W głosie jego, mowie, w całym obejściu przeczuwała bunt przeciwko sobie i nie wiedziała co na to powiedzieć, a chciała sama zacząć jakąś dojmującą zaczepkę.

— Jadłeś kolację? — zapytała.

— Nie, czekałem na ciebie.

Niecierpliwie ruszyła ramionami.

— To nie ma sensu. Po co czekać dłużej niż do pół do ósmej? Trzeba było zrozumieć, że coś mnie zatrzymało, że miałam interesy, sprawunki...

Potem nagle, jakby uczuła potrzebę usprawiedliwienia się, jak spędziła czas, zwięźle, pogardliwie odpowiedziała, że potrzebując jakichś sprzętów domowych w odległej części miasta, spotkała tam już po siódmej Limousina i prosiła, ażeby poszedł z nią do restauracji, gdzie nie śmiała wejść sama, choć słabo jej się robiło z głodu. Byli więc na kolacji, jeżeli to można nazwać kolacją, gdyż tak im było pilno wracać, że zjedli ledwie trochę rosółu i połówkę kurczęcia.

Parent odpowiedział:

— Dobrze zrobiłaś. Wcałe ci nie robię wymówek.

Wtedy Limousin, do tej pory milczący, ukryty prawie za plecami Henryki, wystąpił naprzód i podał mu rękę szepcząc:

— Jak się masz?

Parent wziął podaną rękę i uściskawszy ją z lekka:

— Dziękuję ci — odrzekł — dobrze.

Ale młoda kobieta uczepiła się ostatnich słów męża:

— Wymówek? — powtórzyła — dlaczego wspominasz o wymówkach? Myślałby kto, że czynisz to z jakimś zamiarem.

— Ależ wcałe nie — bronił się Parent — chciałem ci po prostu powiedzieć, że nie byłem zaniepokojony twoim spóźnieniem i że ci go bynajmniej nie miałem za złe.

Ona nadrabiając miną szukała powodu do kłótni:

— Nie miałeś mi za złe? Myślałby kto, że jest co najmniej pierwsza i że noc przepędzam poza domem.

— Ależ nie, moja droga. Powiedziałem „spóźnienia“, bo nie wiem jak powiedzieć inaczej. Miałeś wrócić o pół do siódmej, wracasz o pół do dziewiątej. To chyba można nazwać spóźnieniem? Rozumiem to, nawet... na-



wet się temu nie dziwię. Ale... ale trudno mi użyć innego wyrazu.

— A wymawiasz go takim tonem, jakbym nocowała poza domem.

— Ależ nie... wcale nie...

Przekonana, że mąż umyślnie tak postępuje, miała już wejść do swego pokoju, gdy spostrzegła, że Jurek płacze na cały głos.

Wtedy z widocznym na twarzy wzruszeniem zapytała:

— Co mu jest?

— Powiedziałem ci już, że Julia źle się z nim obchodzi.

— Co mu zrobiła ta łajdaczka?

— O, nic wielkiego! Popchnęła go tak, że upadł.

Chciała zobaczyć dziecko i pobiegła do jadalni, ale stała jak wryta na widok rozlanego na stole wina, przewróconych solniczek, potłuczonych szklanek i karafek.

— Cóż to za spustoszenie?

— To Julia...

Ale ona z wściekłością przerywając mu rzuciła:

— A, tego już nadto! Julia ma mnie za ładacznice, bije mi dziecko, tłucze naczynia, przewraca dom do góry nogami, a tobie się zdaje, że to całkiem naturalne.

— Ale nie — odprawiłem ją przecie.

— Doprawdy? odprawiłeś ją! Ależ... trzeba było wezwać policję i kazać ją aresztować.

— Ależ moja droga, doprawdy nie mogłem... nie miałem do tego powodu... Doprawdy trudno było...

Wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Z ciebie zawsze niedołęga, bez woli, bez energii, bez charakteru... Julia musiała ci chyba dobrze nagadać, żeś zdecydował się ją wypędzić. Chciałabym widzieć to na własne oczy, choć na chwilę...

Otworzywszy drzwi salonu podbiegła do dziecka, podniosła je z ziemi i uścisnęła pytając:

— Co ci jest, mój kotku, moje kochanie?

Pocieszony przez matkę przestał płakać, ale ona powtarzała pytanie:

— Co ci jest?

Źle widział scenę ze służącą przerażonymi oczami, odpowiedział więc:

— Julia biła tatusia...

Henryka zdumiona zrazu zwróciła się pytająco do męża. Potem wzbudziła się w niej szalona chęć śmiechu, drgnieniem przebiegła jej delikatne policzki, rozchyliła usta, rozdęła nozdrza i wreszcie wybuchnęła kaskadą śmiechu. Krótkie, złośliwe wykrzykniki wyrwały się zza jej białych zębów i powtarzając się co chwila szarpały męża jak ból ciągle ponawianych ukąszeń.

— Ha, ha, ha! Bi... bi... ła... cię, wybiła. Ach, jakie to śmieszne, jakie śmieszne. Słyszysz pan, Julia go wybiła... wybiła mojego męża... Ha, ha, ha, jakie to paradne.

Parent jękał:

— Ależ nie... nie! to nieprawda, nieprawda. Owszem, to ja ją pchnąłem do jadalnego pokoju tak mocno, że aż stół przewróciła. Jurek nie widział dobrze. To ja wybiłem Julię.

Henryka mówiła do syna:

— Powtórz no, powtórz, koteczku. Julia biła tatusia?

— Tak, Julia — odpowiedział mały posłusznie.

Potem przechodząc nagle do innej myśli zawołała:

— Ale dziecko jest bez kolacji. Nie jadłeś nic, Jureczku?

— Nie, mamol!

Rozzłoszczona odwróciła się znów do męża:



— Aleś ty oszalał z kretešem. Pół do dziewiątej już, a Jurek bez kolacji!

Odurzony tą sceną, zdruzgotany walącym się gmachem całego życia, zaczął tłumaczyć:

— Ależ moja droga, czekaliśmy na ciebie... Nie chciałem siadać bez ciebie do stołu. Ponieważ co dzień się spóźniasz, myślałem, że lada chwila wrócisz.

Rzuciła na fotel kapelusz, który dopiero co zdjęła z głowy, i rozdrażnionym głosem zawołała:

— Jakie to straszne mieć do czynienia z ludźmi, którzy nic nie rozumieją i sami nie potrafią nic zrobić. Więc gdybym wróciła o północy, dziecko czekałoby głodne? Nie mogłeś też domyśleć się widząc, że coś mnie zatrzymuje i przeszkadza wrócić na czas?

Parent cały drżący czuł, że gniew go ogarnia, ale Limousin zwrócił się do młodej kobiety:

— Pani Henryko, jest pani niesprawiedliwa. Parent nie mógł odgadnąć, że pani wróci tak późno, co się pani nigdy nie zdarza; a zresztą jakże pani chce, żeby sam dał sobie radę, kiedy odprawił Julię?

Ale Henryka odparła ze złością:

— Musi jednak dać sobie radę, bo ja mu nie pomogę, niech robi co chce!

I wpadła do swego pokoju zapominając już, że Jurek dotąd nie jadł kolacji.

Limousin stanął więc do pomocy przyjacielowi. Zebrał i wyrzucił potłuczone szklanki, dotąd leżące na obrusie, poprawił nakrycia i posadził Jurka na jego wysokim krzeselku, a Parent poszedł tymczasem po pokojówkę, żeby podała do stołu.

Przyszła zdziwiona nie wiedząc o niczym, ponieważ hałasy nie dochodziły do pokoju Jurka, gdzie siedziała nad robotą. Przyniosła zupę, przypaloną pieczeń baranią i kartofle.

Parent usiadł obok dziecka. Katastrofa odjęła mu rozum, splątała myśli. Karmił malca, próbował jeść sam, krajał mięso, żuł je i polykał z taką trudnością, jakby miał gardło sparaliżowane.

Powoli zaczęło powstawać w jego duszy nieodparte pragnienie, aby przyjrzeć się przyjacielowi, który siedział naprzeciw niego i robił galki z chleba. Chciał zobaczyć, czy jest podobny do Jurka, ale nie śmiał podnieść oczu. Odważył się na to w końcu i nagłym spojrzeniem objął tę twarz dobrze mu znaną, choć teraz wydawało mu się, że jej nigdy nie widział, tak wydała mu się różna od tego, co sobie wyobrażał. Od czasu do czasu rzucał na nią okiem starając się zbadać jej rysy, wyraz, zachodzące w nich zmiany, potem zaraz przenosił spojrzenie na syna udając, że go tylko karmi.

Dwa wyrazy huczały mu w uszach: „Ojciec! Jego ojciec“ i z każdym uderzeniem serca dźwięczały mu natrętnie koło skroni. Tak, ten człowiek, tak spokojnie siedzący z drugiej strony stołu, był może ojcem jego syna, Jurka, jego dziecka. Parent przestał jeść... nie mógł. Wnętrznosci rozdzierał mu ból tak przejmujący, że chciał wyć, rzucić się na ziemię, gryźć meble. Miał ochotę chwycić nóż i wbić go sobie w brzuch. To przyniosłoby mu ulgę, ocaliłoby go; wszystko skończyłoby się wtedy. Czy będzie mógł żyć w takiej sytuacji? Czy będzie mógł wstawać co rano, w ciągu dnia zasiadać do stołu, przechadzać się po ulicy, kłaść się co wieczór i spać w nocy z tą myślą wiecznie w nim nurtującą: „Limousin jest ojcem Jerzego“.

Nie, nie będzie miał siły zrobić kroku, ubierać się, myśleć o czymkolwiek, z kimkolwiek rozmawiać. Co dzień, co godzinę, co chwilę będzie pytał o to sam siebie, usiłował dowiedzieć się tej strasznej tajemnicy, odgadnąć ją. A dziecko? Ile razy spojrzy na nie, uczuje



straszliwy ból tej rozdzierającej wątpliwości. Musiałby żyć tu, pozostać w tym domu, obok syna tak kochanego i znenawidzonego jednocześnie, gdyż w końcu znenawidzi go. Co za męczarnia! Gdyby chociaż miał pewność, że Paweł jest ojcem, może by się uspokoił, pogodził ze swoim nieszczęściem i cierpieniem. Ale niepewności nie potrafi znieść.

Nie wiedzieć nigdy, bez przerwy dociekać prawdy, cierpieć i całować nie swoje dziecko, oprowadzać je po mieście, nosić na rękę, dotykać ustami jego miękkich włosów, uwielbiać je i zawsze myśleć: „Może to nie mój syn?“ Lepiej by było nie widzieć go, porzucić, zgubić na ulicy albo samemu uciec gdzieś daleko, gdzie o niczym nie będzie słyszeć...

Drgnął słysząc, że ktoś otwiera drzwi. Żona wchodziła do jadalni.

— Jestem głodna — odezwała się — a pan, panie Pawle?

Limousin z pewnym wahaniem odpowiedział:

— Ja także.

Kazała więc przynieść zabraną ze stołu pieczeń.

Parent pytał sam siebie:

— Byli na kolacji czy tylko na schadzce?

Oboje jedli z wielkim apetytem. Henryka, spokojna już, śmiała się i żartowała. Mąż śledził ją ukradkiem rzucanymi spojrzeniami. Miała na sobie szlafrok różowy, przystrojony białymi koronkami; jej jasnowłosa głowa, delikatna szyja i pulchne ręce wyglądały z wytwornego i pachnącego perfumami odzienia jak z muszli obrzeżonej pianą. Co robiła z nim przez cały dzień we dwoje? Parent widział ich splecionych w uścisku, szepczących namiętne słowa. Jak mógł dotąd nic nie dostrzec, nic nie odgadnąć, widząc ich tak razem siedzących naprzeciw niego?

Jak musieli szydzić z niego, jeżeli od pierwszego dnia po ślubie pozwolił im oszukiwać się. Czy to możliwe, żeby tak drwić sobie z porządnego człowieka, dlatego że mu ojciec zostawił trochę pieniędzy? Dlaczego nie można przeniknąć duszy ludzkiej i dojrzeć w niej podłości, dlaczego ten sam głos kłamie i szepcze miłosne zaklęcia, dlaczego spojrzenie, które oszukuje, pada z tych samych oczu, co spojrzenie szczerze?

Sledził ich wyczekując ruchu, wyrazu, intonacji, która by ich zdradziła. Naraz przyszło mu na myśl: Muszę ich zaskoczyć dziś jeszcze. Odezwał się więc:

— Moja droga, ponieważ odprawiłem Julię, muszę poszukać innej służącej. Wyjdę więc zaraz, żeby się wystarać o kogoś na jutro rano. Prawdopodobnie wrócę dosyć późno.

— Idź! — odpowiedziała — ja zostanę w domu. Pan Paweł dotrzyma mi towarzystwa. Będziemy czekać na ciebie.

I zwracając się do pokojówki dodała:

— Połóż dziecko, a potem sprzątnij i idź do siebie.

Parent wstał z miejsca. Nogi pod nim drżały, w głowie mu się kręciło, potykał się co krok.

Powiedział cichym głosem:

— Dowidzenia — i dotarł do drzwi chwytając się ściany, gdyż posadzka kołysała się pod nim jak łódka.

Pokojówka wyniosła Jurka. Henryka i Paweł poszli do salonu. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Paweł odezwał się:

— Czyś ty oszalała, że tak go męczysz?

— Wiesz — odparła — czy to nie lekka przesada, że robisz z mojego męża męczennika i litujesz się nad nim?

Limousin rzucił się na fotel i zakładając nogę na nogę rzekł:



— Wcale nie robię z niego męczennika, ale jestem zdania, że w naszym położeniu nie można go tak traktować od rana do wieczora. W końcu domyśli się wszystkiego.

Wzięła papieros leżący na kominku, zapaliła go i odparła:

— Do tego nie dojdzie, bądź pewien, ale co ja mam zrobić, kiedy on drażni mnie swoją głupotą? Traktuję go tak, jak na to zasługuje.

Limousin odparł zniecierpliwiony:

— To nie ma sensu. Wszystkie kobiety są jednakowe. Masz dobrego męża, który jest nawet za dobry, ma do nas nieograniczone zaufanie, w niczym nam nie przeszkadza, o nic nas nie posądza, zostawia nam swobodę, a ty robisz, co możesz, żeby go doprowadzić do ostateczności i zburzyć nasze życie.

Henryka odwróciła się ku niemu:

— Nudzisz mnie. Jesteś tchórz jak wszyscy mężczyźni. Boisz się tego idioty.

Zerwał się z miejsca gniewnie:

— Chciałbym wiedzieć, co on ci zrobił — zawołał — i o co możesz mieć żal do niego? Czy jesteś z nim nie-szczęśliwa? Czy cię bije lub oszukuje? Nie, wiesz, tego już za wiele. Dręczysz tego człowieka jedynie za to, że jest zbyt dobry, i masz do niego pretensje o to, że go oszukujesz.

Zbliżyła się do Pawła i powiedziała patrząc mu w oczy:

— Ty, ty mi wymawiasz, że go oszukuje? Ty mi to śmiesz wymawiać? Co za podłość!

Próbował bronić się trochę zawstydzony:

— Ja ci nic nie wymawiam, moja droga. Proszę cię tylko, żebyś oszczędzała trochę męża, bo oboje potrzebujemy jego zaufania. Zdaje mi się, żeś powinna to zrozumieć.

Stali blisko siebie: on — wysoki, ciemnowłosa, z długimi faworytami, dosyć pospolity typ zadowolonego z siebie, przystojnego mężczyzny, ona — drobna, różowa blondynka, paryżanka o typie kokoty, urodzona w mieszkaniu za sklepem, wychowana na progu sklepu, gdzie wabiła przechodniów, wydana za zwabionego wreszcie człowieka, który się w niej naiwnie zakochał, dlatego że widział ją co dzień, gdy rano wychodził z domu i gdy wracał wieczorem do siebie.

— Czy nie rozumiesz, głuptasie — tłumaczyła — że nienawidzę go dlatego właśnie, że się ze mną ożenił, że mnie po prostu kupił i że wszystko, co robi, mówi i myśli, działa mi na nerwy? On mnie drażni swoim tępym usposobieniem, które ty nazywasz dobrocią, swoją głupotą, którą ty nazywasz zaufaniem, a przede wszystkim tym, że jest moim mężem — on, a nie ty! Nie znoszę go, chociaż nie przeszkadza nam wcale. To jest aż irytujące, że się niczego nie domyśla! Chciałabym przynajmniej, żeby był choć trochę zazdrosny. Czasem mam ochotę zawołać: Ośle jeden, więc nic nie widzisz, nie rozumiesz, że Paweł jest moim kochankiem?

Limousin zaczął się śmiać:

— Tymczasem trzymaj język za zębami. Czy nie lepiej mieć spokój?

— Nie bój się, będziemy mieli spokój! Ze strony tego głupca niczego nie potrzebujemy się obawiać. Dlaczego nie możesz zrozumieć, jak ja go nienawidzę, jak on mnie drażni! Ty zawsze masz taką minę, jakbyś go lubił, i tak serdecznie ściskasz mu rękę. Naprawdę mężczyźni są czasem dziwni.

— Trzeba umieć udawać!

— Tu nie chodzi o udawanie, mój kochany, ale o uczucie. Jak tylko który z was oszukuje drugiego, to zdawałoby się, że go za to bardziej kocha; my, przeciw-



nie, nienawidzimy mężczyznę od chwili, kiedyśmy go oszukały.

— Nie widzę powodu, dlaczego miałbym nienawidzić poczciwego człowieka, któremu zabieram żonę?

— Nie widzisz powodu? Są rzeczy, których mężczyźni nigdy nie rozumieją. To się czuje, ale wypowiedzieć tego nie można, a właściwie nawet nie wolno. Tak, ty tego nie rozumiesz! To są za subtelne sprawy dla mężczyzny!

I uśmiechając się z łagodną pogardą zepsutej i sprytnej kobiety oparła mu obie ręce na ramionach, podając mu usta do pocałunku. On objął ją uściskiem, pochylił ku niej głowę i usta ich spotkały się. A ponieważ stali przed lustrem, które wisiało nad kominkiem, druga para kochanków ścisła się za zegarem.

Nie usłyszeli zgrzytu klucza ani skrzypnięcia drzwi, lecz nagle Henryka, krzyknawszy przeraźliwie, odepchnęła Pawła — spostrzegli męża, który przyglądał się im blade, ze ściśniętymi pięściami, bez butów i w kapeluszu.

Przyglądał im się kolejno nie poruszając głową. Wyglądał jakby postradał zmysły i wciąż milcząc rzucił się na Limousina, chwycił go w ramiona, jakby chciał uduścić, i pchnął w róg salonu tak gwałtownie, że Paweł przewrócił się i rozłożywszy ręce silnie uderzył głową o ścianę.

Ale Henryka zrozumiawszy, że mąż zamorduje jej kochanka, rzuciła się na niego, chwyciła go za szyję i wpijając mu w ciało dziesięć drobnych różowych palców, z nerwową siłą zrozpaczonej kobiety, zacisnęła je tak silnie, że krew jej trysnęła spod paznokci. Gryzła go przy tym w ramię, jakby go chciała rozszarpać, aż Parent, straciwszy oddech, puścił Pawła, chcąc oderwać od siebie żonę wiszącą mu u szyi i ująwszy ją wpół, jednym szarpnięciem odrzucił ją w przeciwny róg salonu.

Potem, ponieważ gniew jego był krótki jak zwykle u istot słabych, stanął między kochankami zdyszany i wyczerpany, sam nie wiedząc co robić. Jego brutalny gniew wylał się cały w tym wysiłku jak piana odkorkowanego wina i niezwykle u niego wybuch energii skończył się zadyszka.

Zaledwie odzyskał mowę, wybełkotał:

— Wynoście się stąd... oboje... Wynoście się...

Limousin stał nieruchomo w swoim kącie, przyciśnięty do ściany, zbyt wystraszony, aby zrozumieć cokolwiek, zbyt przerażony, aby poruszyć palcem. Henryka z pięściami opartymi na konsoli, z głową wysuniętą do przodu, z włosami rozrzuconymi, z rozpiętym stanikiem i odkrytą piersią czekała podobna do drapieżnego zwierzęcia, które za chwilę ma się rzucić do ataku.

Parent powtórzył silniejszym już głosem:

— Wynoście się natychmiast!

Widząc, że pierwszy poryw gniewu już minął, Henryka nabrała odwagi, wyprostowała się, postąpiła ku niemu parę kroków i krzyknęła odzyskawszy pewność siebie:

— Czyś zwariował? Co ci się stało?

Odwrócił się do niej i podnosząc pięść zaczął mówić przerywanym głosem:

— Tego już za dużo... za dużo! Wszystko... wszystko... widziałem! Wszystko... rozumiesz? Wszystko!... Podła, podła, niegodziwa! Oboje jesteście łajdacy! Idźcie sobie precz... Oboje! Zaraz!... Bo was zabiję!... Wynoście się...

Zrozumiała, że wszystko stracone, że mąż wie, że nie potrafi się przed nim uniewinnić i będzie musiała ustąpić. Wróciła jej już cała bezczelność, rozbudzona nienawiść do męża dodawała jej odwagi i pobudzała do zakończenia tej sceny awanturą.

Powiedziała opanowanym głosem:



— Chodź, Pawle! Skoro on mnie stąd wypędza, pój-  
dę do ciebie.

Ale Limousin nie ruszał się z miejsca.

Parent, którego znowu ogarnął gniew, zawołał:

— Wynoście się, łajdacy!... Albo... albo...

I porwał krzesło, którym zaczął wywijać nad głową.

Wtedy Henryka przechodząc szybkim krokiem przez  
salon wzięła Pawła pod rękę, oderwała go od ściany, do  
której wydawał się przykuty, i pociągnęła ku drzwiom  
powtarzając:

— Chodźcie, chodź!... Widzisz, że on zwariował!... Chodź.

W drzwiach odwróciła się jeszcze do męża, myśląc,  
co mogłaby zrobić, co wynaleźć, aby opuszczając ten dom  
zranić go do żywego. Przyszła jej do głowy myśl, jedna  
z tych myśli zaprawionych jadem, zabójczych, w których  
czai się cała przewrotność kobieca.

Odezwała się stanowczym głosem:

— Chcę zabrać moje dziecko.

Parent zdumiony wyjąkał:

— Twoje dziecko... dziecko? Śmiesz mówić o twoim  
dziecku? Śmiesz... ty... ty?... Śmiesz żądać twego dzie-  
cka... teraz... kiedy... O, tego za wiele! Wynoś mi się za-  
raz, ty łajdaczko!

Zbliżyła się ku niemu, prawie już uśmiechnięta, pra-  
wie pomszczona i wyzywającym tonem rzuciła w twarz:

— Chcę wziąć moje dziecko! Ty nie masz prawa go  
zatrzymać, bo to nie twoje dziecko, rozumiesz? Jurek  
nie jest twoim dzieckiem, jest synem Pawła...

Parent krzyknął z rozpaczą:

— Kłamiesz... kłamiesz... nędznicu!

Ale ona odparła:

— Jakiś ty głupi! Wszyscy o tym wiedzą oprócz cie-  
bie... Powiadam ci, że Paweł jest jego ojcem. Dość na  
niego spojrzeć, aby się o tym przekonać.

Parent cofał się przed nią niepewnymi krokami. Nagle odwrócił się, chwycił świecę i pobiegł do sąsiedniego pokoju.

Po chwili wrócił niosąc na rękę Jurka owiniętego w kołderkę. Dziecko nagle zbudzone płakało wystraszone. Parent rzucił go żonie na ręce i milcząc wypchnął ją na schody, gdzie przezornie wycofał się już Limousin.

Potem zamknął drzwi, przekręcił dwa razy klucz w zamku i zasunął rygiel. Zaledwie wrócił do salonu, padł jak długi na ziemię.

## II

Od tej chwili pan Parent żył sam, zupełnie sam. W pierwszych tygodniach samotności był tak zdziwiony nowym życiem, że zdziwienie to przeszkadzało mu myśleć... Wrócił do swych kawalerskich zwyczajów, spacerował godzinami po ulicach i jak dawniej stołował się w restauracjach. Chcąc uniknąć rozgłosu, płacił żonie roczną pensję, której wysokość ustalili ich adwokaci. Ale powoli wspomnienie dziecka zaczęło nawiedzać jego myśli. Nieraz, siedząc w domu wieczorem, wyobrażał sobie nagle, że słyszy Jurka wołającego: „Tatusiu!” Serce zaczynało mu bić i zrywał się z miejsca, aby otworzyć drzwi i zobaczyć, czy przypadkiem malec nie wrócił. Tak, mógłby wrócić, tak samo jak wracają do domu psy i gołębie. Dlaczego dziecko miałoby mieć mniej instynktu niż zwierzęta?

Stwierdziwszy, że się mylił, wracał na swój fotel i myślał o Jurku. Myślał o nim całe godziny, całe dni. Czuł tęsknotę gwałtowną, nieodstępną, nie tylko moralną — była to przede wszystkim tęsknota fizyczna, po-



trzeba posiadania go blisko siebie, dotykania go, sadzania na kolanach i podrzucania w górę. Czuł żar na wspomnienie dawnych pieśczoł; czuł drobne rączki obejmujące go za szyję, drobne usteczka składające na jego twarzy głośny pocałunek, miękkie włosy muskające jego policzki. Tęsknota za tymi pieśczołami, za ciepłym i miękkim ciałem dziecka piekła go jak pragnienie ukochanej kobiety.

Na ulicy zaczynał niespodzianie płakać na myśl, że mógłby mieć obok siebie swego synka, drepczącego drobnymi nóżkami jak niegdyś, kiedy go wyprowadzał na spacer. Wracał do domu i z czołem ukrytym w dłoniach szlochał aż do wieczora.

A przy tym sto razy na dzień zadawał sobie pytanie: jest czy nie jest ojcem Jurka? W nocy zwłaszcza rozmyślał nad tym bez końca, ledwo się położywszy do łóżka. Co wieczór powtarzał sobie zawsze te same argumenty, które mu podsuwała rozpacz.

Po odejściu żony z początku nie wątpił wcale: Jurek był bez wątpienia synem Limousina. Potem zwolna zaczął się wahać. Przecież wyznanie Henryki nie mogło mieć żadnej wagi. Powiedziała to na złość mężowi, chcąc go doprowadzić do rozpacz. Po spokojnym rozważeniu wszystkich argumentów za i przeciw, wiele przemawiało za tym, że Henryka kłamała.

Jeden tylko Limousin mógłby powiedzieć prawdę. Ale jak się jej dowiedzieć, jak go zapytać, jak skłonić do wyznań?

Czasem wśród nocy zrywał się z łóżka zdecydowany pójść do Limousina, błagać go, dać mu, ile tylko by zechciał, aby raz zakończyć tę straszliwą niepewność. Po chwili kładł się znowu zrozpaczony zastanowiwszy się nad tym, że i kochanek także by go może okłamał. Okła-

małby go nawet na pewno, byle tylko nie pozwolić, aby prawdziwy ojciec zabrał dziecko. Cóż więc robić? Nic!

Martwił się teraz, że przyśpieszył bieg wypadków, że się nie zastanowił, nie miał dość cierpliwości, nie potrafił udawać i czekać parę miesięcy, aby się naocześnie o wszystkim przekonać. Powinien był udawać, że nie podejrzewa, i pozwolić, aby się sami nieopatrznie zdradzili. Wystarczyłoby zobaczyć, jak Paweł całuje dziecko: odgadłby zaraz, zrozumiał! Przyjaciel nie tak całuje jak ojciec. Byłby ich podpatrywał zza drzwi! Jakim sposobem nie przyszło mu to na myśl? Gdyby Limousin zostawszy sam na sam z Jurkiem nie ścisnął go serdecznie, nie całował z uniesieniem, gdyby mu obojętnie pozwolił bawić się nie zwracając na niego uwagi, wtedy nie byłoby już wątpliwości — widoczne byłoby bowiem, że Limousin nie uważa się za ojca, nie czuje się nim, czyli że nim nie jest istotnie. I wtedy Parent, wypędzając żonę, zatrzymałby syna i byłby szczęśliwy, zupełnie szczęśliwy.

Przewracał się na łóżku obłany potem udęczenia i usiłował przypomnieć sobie szczegóły zachowania się Limousina wobec małego. Ale nie mógł przypomnieć sobie nic, nic zupełnie, żadnego ruchu, żadnego spojrzenia, żadnego słowa, żadnej podejrzonej pieśczoły. W dodatku i matka wcale się też nie zajmowała dzieckiem. Gdyby Jurek był synem jej kochanka, z pewnością kochałaby go więcej.

Rozłączono go więc z synem przez zemstę, przez okrucieństwo, chcąc go ukarać za to, że ich złapał na gorącym uczynku.

Postanowił natychmiast, jak tylko się rozwidni, udać się do władz z żądaniem, aby mu zwrócono syna.

Ale zaledwie powziął postanowienie, już ogarniała go pewność, że jest w błędzie. Skoro Limousin był od pierw-



szej chwili po ślubie kochankiem Henryki, kochankiem gorąco kochanym, musiała więc należeć do niego z tym uniesieniem, z tym namiętym oddaniem się, któremu kobieta zawdzięcza macierzyństwo. Wobec niego, męża, tak zawsze była powściągliwa i chłodna — może z powodu tego właśnie chłodu uściski jego były bezpłodne?

Miał więc upominać się o dziecko nie swoje — brać je do siebie, chować i strzec jak własne? Nie mógłby spojrzeć na Jurka, nie mógłby uściskać go, słyszeć, jak woła „tatusiu“, żeby go nie rozdarła ta myśl: „to nie mój syn“. Miał się skazać na to udręczenie w każdej chwili, na takie straszne życie? Nie, lepiej pozostać samotnym, samotnie żyć i starzeć się, a potem umrzeć samotnie!

Co dzień, co noc rozpoczynały się na nowo te niepewności i cierpienia, których nic uspokoić ani zakończyć nie mogło. Obawiał się szczególnie wieczorów, smutku, który przychodzi ze zmierzchem. Serce jego zalewała wtedy istna powódź rozpaczy wzbierająca razem z ciemnością. Tonął w niej tracąc przytomność umysłu. Bał się własnych myśli, jak inni boją się złoczyńców, i uciekał przed nimi jak ścigane zwierzę... Bał się zwłaszcza pustki swego mieszkania, czarnej, straszliwej pustki... Bał się też opustoszałych wieczorem ulic, gdzie tylko miejscami błyszczą latarnie gazowe, a przechodzień, którego kroki słychać z daleka, wydaje się bandytą i człowiek zwalnia lub przyśpiesza kroku, aby być dalej od niego.

Mimo woli, instynktownie Parent ciągnął ku wielkim ulicom pełnym ludzi i światła. Światło i tłum przyciągały go, wchłaniały i odurzały. Gdy mu się już nudziło błądzić bez celu, snuć się wśród fali rojących się na chodniku ludzi, gdy przechodniów było coraz mniej, a na chodnikach coraz więcej miejsca, obawa przed samotnością i ciszą pchała go w stronę kawiarni pełnej



ludzi i światła. Ciągnął tam, jak ćmy ciągną do płomienia, siadał przy małym, okrągłym stoliczku i kazał sobie podawać ciemne piwo. Pił powoli, zaniepokojony, ilekroć ktoś z pijących wstawał z miejsca, aby odejść. Miał ochotę wziąć go za rękę, zatrzymać, prosić, aby jeszcze został, tak się obawiał chwili, kiedy kelner stanąwszy przed nim odezwie się gniewnie: „Proszę pana, zamykamy!”

Co wieczór bowiem zostawał ostatni. Patrzył, jak sprzątaję stoliki, jak jedną po drugiej gaszą lampy zostawiając tylko światło przy jego stoliku i przy kasie. Smutnym wzrokiem spoglądał na kasjerkę, kiedy przeliczywszy pieniądze chowała je do szuflady, i wychodził, prawie wyrzucany za drzwi przez kelnerów mrużących: „Stary idiota! Myślałby kto, że nie ma gdzie nocować“.

Gdy znajdował się sam na środku pustej ulicy, zaczynał znowu myśleć o synu i łamać sobie głowę, żeby dojść prawdy — dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka.

W ten sposób nabrał zwyczaju przesiadywania w piwiarni, gdzie otaczał go tłum milczących bywalców, gdzie gęsty dym fajek usypiał jego niepokoje, a ciężkie piwo napełniało odrętwieniem myśl i uspokajało serce.

Tam spędzał życie. Ledwo wstawszy z łóżka szedł do piwiarni szukać przy sąsiednich stolikach ludzi, którzy mogliby zająć jego spojrzenia i myśli. Niebawem przez lenistwo, żeby się nie ruszać z miejsca, zaczął tam jadać. Około południa uderzał spodkiem o marmurowy blat stolika. Na ten znak kelner przynosił mu pośpiesznie talerz, szklanke, serwetę i podawał obiad. Skończywszy jeść Parent powoli pił kawę z okiem utkwionym w karmelce, obiecującej mu godzinę zapomnienia. Z początku maczał tylko usta w koniaku, jakby go chciał skosztować, spróbować końcem języka, jaki ma smak. Potem kropla po kropli wypijał cały kieliszek przechylając



głowę do tyłu; rozprowadzał powoli palący płyn po podniebieniu i dziąsłach, mieszając go ze śliną napływającą mu do ust. Osłabiwszy alkohol w ten sposób, polykał z namaszczeniem czując, jak zwolna spływa mu w głąb żołądka.

Po każdym obiedzie pił powoli przez przeszło godzinę kilka małych kieliszków, które go stopniowo odurzały. Wtedy spuszczał głowę na piersi, zamykał oczy i drzemał. Budził się po kilku godzinach i natychmiast sięgał ręką po piwo, które podczas jego snu stawiał przed nim kelner. Wypiwszy je podnosił się z kanapki obitej pasowym aksamitem, podciągał spodnie, poprawiał kamizelkę, spod której wyglądała koszula, strzepywał kurz z kołnierza marynarki, wyciągał z rękawów mankiety i brał znowu do ręki dzienniki, przeczytane już rano.

Zaczynał je czytać na nowo, od pierwszego do ostatniego wiersza, nie opuszczając reklam, drobnych ogłoszeń, wiadomości giełdowych i programów teatralnych.

Między czwartą a szóstą wychodził na ulicę, aby przejść się po bulwarze, „przewietrzyć się” — jak mówił; po czym wracał, siadał na tym samym miejscu, które zarezerwowano dla niego, i zamawiał kieliszek absyntu.

Rozmawiał ze stałymi bywalcami tego lokalu, których z czasem poznał osobiście. Roztrząsał z nimi najświeższe wiadomości, drobne wypadki i wydarzenia polityczne. Wreszcie zbliżała się pora kolacji. Wieczór schodził mu tak samo jak popołudnie, aż do chwili zamknięcia zakładu. Była to najstraszniejsza dla niego chwila, chwila powrotu do ciemności, do pustego pokoju, pełnego straszliwych wspomnień, męczących myśli, udręki. Nie odwiedzał dawnych przyjaciół ani krewnych — unikał wszystkiego, co mogło mu przypominać przeszłość.

Ponieważ mieszkanie przygnębiało go wspomnieniami, wynajął pokój w jednym z większych hoteli, piękny pokój na parterze, aby widzieć przez okno przechodniów. W tym domu nie dokuczała mu już samotność. Czuł rojących się koło niego ludzi, za ścianami słyszał ich głosy, a gdy dawne cierpienie nie dawało mu spokoju między posłanym na noc łóżkiem i kominkiem, przy którym siedział, wychodził na szerokie korytarze i snuł się po nich jak żołnierz trzymający wartę mijając rzędy zamkniętych drzwi i ze smutkiem patrzył na stojące przy każdym progu dwie pary obuwia: drobne pantofle kobiece przytulone do dużych butów męskich; myślał wtedy, że właściciele tego obuwia są pewno szczęśliwi, że śpią spokojnie w ciepłych łóżkach, leżąc obok siebie lub spleceni uściskiem.

Pięć lat tak przeszło, pięć posepnych lat, podczas których nie zdarzyło mu się nic ważniejszego prócz dwugodzinnych miłostek od czasu do czasu, za które płacił czterdzieści franków.

Pewnego dnia, gdy odbywał zwykłą przechadzkę, spostrzegł nagle kobietę, której ruchy zwróciły jego uwagę. Jakiś wysoki pan i mały chłopiec towarzyszyli jej. Wszyscy troje szli przed nim. „Gdzie ja ich widziałem?” — pomyślał i nagle poznał ruch ręki: to była jego żona i Paweł Limousin, a z nimi jego mały synek, jego mały Jurek.

Serce zabiło mu gwałtownie. Nie zatrzymał się jednak. Chciał ich widzieć i poszedł za nimi. Wyglądali na małżeństwo, na solidne mieszczańskie małżeństwo. Henryka opierała się na ramieniu Pawła i zwracała się do niego łagodnym głosem, spoglądając czasem spod oka. Parent widział ją wtedy z profilu, poznawał pełen wdzięku kontur jej twarzy, ruch jej ust, jej uśmiech i pieścizotliwe spojrzenie. Szczególniej zainteresował go



chłopiec. Jak urósł i zmeźniał! Parent nie mógł dojrzeć twarzyczki, widział tylko długie jasne włosy spadające w lokach na kołnierzyk. Tak, to Jurek — ten chłopiec z gołymi łydkami, idący obok matki jak mężczyzna.

Zatrzymali się przed sklepem i ujrzał ich nagle wszystkich troje. Limousin posiwiiał, zestarzał się i schudł; jego żona natomiast, świeższa niż kiedykolwiek, utyla trochę. Jerzy zmienił się nie do poznania.

Ruszyli w dalszą drogę. Parent szedł znowu za nimi, potem wyprzedził ich, aby zawrócić i z bliska popatrzeć im w twarz. Gdy mijał dziecko, zdjęła go ochota, gwałtowna ochota, żeby porwać Jurka w ramiona i zabrać ze sobą. Potracił go niby niechcący. Malec odwrócił głowę i spojrział na niezgrabnego przechodnia niezadowolonym wzrokiem. Parent uciekł zraniony tym spojrzeniem. Uciekł jak złodziej, gnany obawą, że żona i jej kochanek widzieli go i poznali.

Pobiegł prosto do swojej piwiarni i zdyszany upadł na krzesło.

Tego wieczoru wypił trzy kieliszki absyntu.

Przez cztery miesiące nosił w sercu ranę po tym spotkaniu. Co noc stawali mu w oczach wszyscy troje, spokojni i szczęśliwi, ojciec, matka i dziecko, przechadzający się po bulwarach, zanim wrócą na kolację do domu. Ten nowy obraz zacierał dawniejszy. Teraz była to już inna, nowa halucynacja, a także inny, nowy ból. Jurek, jego mały Jurek, ten, którego kiedyś tak kochał i pieścił, zniknął mu w dalekiej, niepowrotnej przeszłości, a na jego miejscu stawał mu przed oczyma inny, jakby brat tamtego, chłopiec o gołych łydkach, dla którego on, Parent, był zupełnie obcy! Myśl ta bolała go niewymownie. Przywiązanie dziecka znikło; nie było już między nimi żadnego węzła; chłopiec ujrzawszy go przed

sobą nie wyciągnąłby już ręk do niego. Dziś nawet spozrzał na niego z gniewem.

Zwolna, stopniowo jego serce uspokoiło się, torturujące go myśli ucichły; obraz, który ukazał się jego oczom i prześladował go po nocach, zacierał się i pojawiał coraz rzadziej. Zaczął znowu żyć jak wszyscy znudzeni bywalcy kawiarni i restauracji, którzy piją piwo przy marmurowych stolikach i zużywają spodnie na wytartym aksamicie kanapek.

Zestarzał się w kłębach dymu tytoniowego, wyłysiał w świetle lamp restauracyjnych, za ważne zdarzenia zaczął uważać cotygodniową kąpiel, strzyżenie resztek włosów dwa razy na miesiąc, kupno nowego ubrania lub kapelusza. Gdy przybywał do swojej piwiarni w świeżo kupionym kapeluszu, patrzył długo w lustro, zanim usiadł, kilka razy wkładał i zdejmował ten nowy nabytek, przymierzał go na różne sposoby, a w końcu pytał kasjerki, która przyglądała mu się z uwagą: „Jak pani myśli, czy mi w tym dobrze?“

Kilka razy w ciągu roku szedł do teatru, a latem spędzał czasem wieczór w jednym z kabaretów na Polach Elizejskich. Przynosił stamtąd w pamięci melodie, które dźwięczały mu w uszach przez kilka tygodni i które nawet nucił wybijając takt nogą, gdy zasiadał przed swoim kuflem.

Płynęły lata, powolne, monotonne i krótkie, bo puste.

Nie czuł, że mijają. Zbliżał się do śmierci bez ruchu, spokojnie, siedząc przy stoliku w piwiarni; tylko w wielkim lustrze, o które opierał głowę co dzień bardziej łysiejącą, odbijały się spustoszenia wyrządzone przez czas, który przechodzi i ucieka niszcząc nieszczęsnych, bezbronnych ludzi.

Rzadko już teraz myślał o dramacie, w którym roz-



biło się jego szczęście, gdyż już dwadzieścia lat upłynęło od tamtego straszego wieczoru.

Ale życie, jakie sobie urządził, zużyło go i wyczerpało; toteż właściciel piwiarni — szósty z kolei, odkąd Parent zaczął w niej bywać — mawiał mu nieraz:

— Powinien pan ruszać się trochę, panie Parent. Trzeba odetchnąć świeżym powietrzem, wyjechać na wieś. Od kilku miesięcy zmienił się pan bardzo.

Gdy klient wychodził, restaurator dzielił się spostrzeżeniami z kasjerką:

— Ten biedny Parent zaczyna kiepsko wyglądać. Takie życie w mieście, bez wyjazdów na wieś, nie jest zdrowe. On ma do pani zaufanie — niech go pani namówi, żeby urządził sobie od czasu do czasu wycieczki na wieś. Niedługo zacznie się lato. To mu dobrze zrobi.

Kasjerka, pełna współczucia i życzliwości dla stałego gościa, powtarzała mu więc co dzień:

— Powinien pan wybrać się na świeże powietrze! Na wsi jest tak ślicznie! Ach, gdybym tylko mogła, nie mieszkałabym w mieście!

Opowiadała mu o swoich marzeniach. Były to poetyczne i proste marzenia, jakie roi każda z tych biednych dziewcząt, które zamknięte przez cały rok za szybą sklepową, patrząc na sztuczne i hałaśliwe życie miejskie, myślą o spokojnym życiu na wsi, pod cieniem drzew, w blasku słońca padającym na łąki, lasy i rzeki, na spoczywające wśród trawy krowy i na przeróżne — niebieskie, różowe, żółte, fioletowe, czerwone, liliowe i białe kwiaty, pachnące, piękne i świeże, swobodnie rosnące kwiaty polne, z których można układać podczas spacerów wielkie bukiety.

Lubiła mówić mu o tym niewinnym, niespełnionym i nigdy nie mającym się spełnić pragnieniu, a on, samotny starzec, bez żadnej już przed sobą nadziei, słuchał jej

z przyjemnością. Siadywał teraz obok kontuaru, żeby rozmawiać z panną Zoé o wsi. Powoli rodziła się w nim chęć przekonania się, czy naprawdę jest tak przyjemnie wydstać się poza mury miasta, jak twierdziła panna Zoé.

Pewnego rana zapytał:

— Nie wie pani, gdzieby można pojechać w okolice Paryża na cały dzień?

— Niech pan jedzie do Saint-Germain. Tam jest ślicznie!

Był już kiedyś w Saint-Germain w czasach swego narzeczeństwa i postanowił się tam wybrać jeszcze raz.

Chciał to uczynić w niedzielę, bez specjalnego powodu, tylko dlatego, że zwykle w niedzielę odbywa się wycieczki, choćby się nawet przez cały tydzień nic nie robiło.

W pewną niedzielę rano pojechał więc do Saint-Germain.

Był upalny dzień w początkach lipca. Siedząc przy oknie wagonu widział przemykające drzewa i łąki, i dziwaczne domki przedmieść Paryża. Smutno mu było, że uległ temu kaprysowi, że odstąpił od swoich nawyknień. Męczył go krajobraz bez przerwy zmieniający się, a zawsze podobny. Czuł pragnienie i na każdej stacji miał ochotę wysiąść, napić się piwa i wrócić pierwszym pociągiem do Paryża. Podróż wydawała mu się bardzo długa. Mógł siedzieć na miejscu całymi dniami, byle tylko patrzeć na te same, nieruchome przedmioty, ale czuł się zmęczony i zdenerwowany wtedy, gdy z każdą chwilą przenosił się na inne miejsce, gdy wszystko dookoła niego ruszało się, a on jeden tylko musiał pozostawać nieruchomy.

Jednakże zajęła go Sekwana, przez którą przejeżdżał kilka razy. Pod jednym z mostów spostrzegł szybko



płynące łódki, w których młodzi ludzie o nagich ramionach rytmicznie pochylali się nad wiosłami.

„Ci się nie nudzą!“ — pomyślał.

Długa wstęga rzeki rozwinięta z obu stron drugiego mostu zbudziła w jego sercu przelotne pragnienie przechadzki na jej brzegach. Ale pociąg wpadł w tunel przed dworcem Saint-Germain i w chwilę potem stanął na peronie.

Parent wysiadł i ocieężył, z założonymi na plecach rękami, poszedł na taras. Tam, oparty o żelazną balustradę, stanął, aby popatrzeć przed siebie. Przed nim ciągnęła się niezmierzona jak morze, zielona równina, usiana wielkimi wsiami ludnymi jak miasteczka. Rozległą tę okolicę przecinały bielejące drogi, tu i ówdzie ocieniały ją niewielkie lasy, stawy błyszcząły jak srebrne blachy, a w lekkiej niebieskawej mgłę rysowały się niewyraźnie dalekie wzgórza. W gorącym świetle słońca kąpał się cały ten krajobraz przysłonięty jeszcze poranną mgłą, oparami ogrzewającej się ziemi i wilgotnymi powiewami z Sekwany, która jak olbrzymi wąż rozwinięty w dolinie obejmowała w swoje kręgi wioski i pełzała pod wzgórzami.

Łagodny wietrzyk, przesiąknięty wonią zieleni i soków wiosennych, muskał twarz, przenikał w głąb piersi, zdawał się odmładzać serce i szybszym biegiem popędzać krew.

Parent, zdziwiony, oddychał pełną piersią. Rozległy krajobraz olśniewał go.

— Rzeczywiście, tu jest przyjemnie — szepnął.

Postąpił parę kroków i znowu się zatrzymał, aby patrzeć. Zdawało mu się, że odkrywał rzeczy nowe i nieznanne, nie tylko te, które widział, ale rzeczy, które przeczuwał w duszy, radości, których istnienie zaledwie podejrzywał, szczęśliwe a nieznanne mu bliżej chwile,

cały widnokrąg życia, którego istnienia nie domyślał się dotąd nigdy, a który teraz otwierał się przed nim zniecka, razem z tym bezmiarem widnokregu pól, wsi i lasów.

To światło, którego potoki zalewały ziemię, oświetliło mu żywiej jego smutne życie. Ujrzał w nim dwadzieścia lat spędzonych w piwiarni, dwadzieścia posepnych, monotonna, rozpaczliwych lat. I on przecież, jak tylu innych, mógł podróżować, pojechać daleko... daleko, między obce narody, w kraje mało znane, za morza, mógł interesować się wszystkim, co przejmuje innych zapalem: nauką, sztuką; mógł kochać życie w tysiącnych jego kształtach, życie tajemnicze, urocze lub bolesne, zawsze zmienne, zawsze niewytłumaczalne i ciekawe.

Ale teraz już za późno. Będzie pił piwo aż do śmierci, bez rodziny, bez przyjaciół, bez nadziei, bez żadnej ciekawości. Ogarnął go lęk, chęć ucieczki, ukrycia się, powrotu do Paryża, do piwiarni i swej sennej egzystencji! Wszystkie myśli, marzenia, pragnienia, wszystko, co śpi w sercach leniwych jak woda stojąca, budziło się teraz dotknięte tym promieniem słońca, które świeciło nad równinami.

Uczuł, że jeżeli dłużej tu zabawi, straci do reszty głowę, szybko więc podążył do pawilonu Henryka IV, aby zjeść obiad, odurzyć się winem i wódką i przynajmniej z kimś porozmawiać.

Wybrał sobie stolik wśród krzewów, skąd miał widok na całą okolicę, i zamówił obiad prosząc, aby mu go podano natychmiast.

Przybywali nowi goście i zajmowali sąsiednie stoliki. Było mu coraz lepiej, nie czuł się sam.

W altanie obok jadły obiad trzy osoby. Spojrzał w ich stronę kilka razy, nie interesując się nimi specjalnie.



Nagle głos kobiecy przejął go dreszczem jednym z tych, co wstrząsają szpikiem w kościach.

Głos ten powiedział:

— Jerzy, pokraj kurczaka.

Na to odezwał się inny głos:

— Dobrze, mammo.

Parent podniósł oczy i od razu zrozumiał, kim były te trzy osoby. Z pewnością nie byłby ich poznał. Żona jego była zupełnie siwą, mocno otyłą, niemłodą panią o wyglądzie budzącym szacunek; jadła wyciągając głowę, żeby nie poplamieć sukni, chociaż piersi okryła serwetką. Jerzy był już dorosłym mężczyzną. Na brodzie ukazywały się nierówne i prawie bezbarwne, jak zwykle u młodych ludzi, początki zarostu. Nosił kapelusz z szerokim rondem, białą pikową kamizelkę, w oku miał monokl, zapewne przez elegancję. Parent przyglądał się mu zdumiony. To był jego syn? Nie, nie znał tego młodego człowieka; między nimi nie mogło być nic wspólnego.

Limousin, odwrócony plecami, siedział trochę przygarbiony.

A zatem ci troje wydawali się zadowoleni i szczęśliwi, wyjeżdżali sobie za miasto na obiad w znanych restauracjach. Pędzili sobie życie spokojne, życie prawdziwie rodzinne, w mieszkaniu wygodnym i ciepłym, pełnym tych wszystkich drobiazgów, które uprzyjemniają spokój i bez troskę, pełnym uczucia, słów serdecznych, które mówią sobie ludzie kochający się. Żyli tak z jego łaski, żyli za jego pieniądze, oszukawszy go, okradłszy, zgubiwszy! Dobroduszny i naiwny, skazany został przez nich na wszystkie smutki osamotnienia, na to ohydne życie, jakie wiódł między chodnikiem ulicy a kontuarem, na wszystkie udręczenia serca i wszystkie nędze ciała! Zrobili z niego istotę nieużytecz-

ną, zabłąkaną na świecie, nieszczęsnego starca, który już niczego od nikogo spodziewać się nie mógł, żadnej nie miał nadziei i żadnego nie mógł doznać szczęścia. Świat był dla niego pustką, ponieważ nic i nikogo na świecie nie kochał. Mógł szukać we wszystkich krajach, na wszystkich ulicach, mógł wejść do wszystkich mieszkań w Paryżu i otworzyć wszystkie drzwi — nigdzie nie znalazłby drogiej twarzy dziecka lub kobiety, uśmiechającej się do niego. Przede wszystkim to jedno miał na myśli: drzwi, za których otwarciem można zobaczyć i uścisnąć kogoś drogiego.

A to było przecież winą tych trojga niegodziwców! Było winą tej podłej kobiety, tego podłego przyjaciela i tego wysokiego blondynka, tak pełnego zuchwałej pewności siebie.

Miał teraz żal do dziecka taki sam, jak do tamtych dwojga! Przecież Jerzy był synem Limousina. Gdyby nim nie był, czy Limousin trzymałby go w domu i kochał? Czy nie porzuciłby czym prędzej matki i dziecka, gdyby nie wiedział, że to jego, naprawdę jego dziecko? Kto chowa cudze dziecko?

Tu więc, obok niego, siedzieli trzej złoczyńcy, przez których wycierpiał tyle.

Parent patrzył na nich wzburzony wspomnieniem wszystkich swych udręczeń. Przede wszystkim do szału doprowadzał go ich spokojny i zadowolony wygląd. Miał ochotę ich zabić, rzucić w nich syfonem wody selcerskiej, rozbić Limousinowi głowę, która co chwila podnosiła się i schylała nad talerzem.

Jak to? Więc i nadal tak będą żyli bez żadnych trosk i kłopotów? Nie! Nie! Dość tego! Zemści się na nich; zemści się i to zaraz, teraz, kiedy ich ma pod ręką. Ale jak się zemści? Zastanowił się, przychodziły mu na myśl okropności, w rodzaju tych, które się spotyka w powie-



ściach, ale nie znajdował nic odpowiedniego. Pił więc, wypróżniał kieliszek po kieliszku, żeby się podniecić, dodać sobie odwagi i nie stracić sposobności, której prawdopodobnie nie znajdzie już nigdy powtórnie.

Nagle błysnęła mu myśl, myśl straszna; przestał pić, aby ją rozwinąć. Z uśmiechem na ustach szeptał:

- Mam ich, mam ich. Zobaczymy teraz, zobaczymy.
- Podszedł kelner i zapytał go:
- Czy pan jeszcze coś każe podać?
- Czarnej kawy i dobrego koniaku.

I pijąc wolno kieliszek po kieliszku przyglądał się im. Zbyt dużo było osób w restauracji, aby mógł dokonać tego, co zamierzał; będzie więc czekał, pójdzie za nimi, gdyż zapewne zechcą się przejść. Kiedy się trochę oddała, dogoni ich i wtedy się zemści... Tak! Zemści się! Po dwudziestu trzech latach cierpień zemsta przyjdzie właśnie w porę. Nie spodziewają się tego, co ich czeka!

Tamci tymczasem powoli kończyli obiad, rozmawiając beztrosko. Parent nie mógł słyszeć słów, ale widział ich spokojne ruchy. Oburzała go szczególnie twarz jego żony. Nabrała wyniosłej miny otyłych, nieprzystępnych dewotek, naszpikowanych zasadami i opancerzonych cnotą.

Zapłacili rachunek i wstali. Zobaczył wtedy Limousina. Zdawałoby się, że to były dyplomata, tak poważnie wyglądał z siwymi, miękkimi faworytami, których końce spadały mu na klapy surduta.

Wyszli. Jerzy, włożywszy kapelusz na bakier, zapalił cygaro. Parent poszedł za nimi.

Obeszli naprzód taras przyglądając się krajobrazowi ze spokojnym podziwem sytych ludzi, potem weszli do lasu.

Parent zacierał ręce i ciągle szedł za nimi z daleka, kryjąc się trochę, aby przed czasem nie zwrócić ich uwagi.

Szli wolno jakby kąpiąc się w zieleni i ciepłym powietrzu lipcowym. Henryka wsparta na ramieniu Limousina, wyprostowana, szła obok niego dumnym krokiem pewnej swoich praw małżonki. Jerzy strącał listki szpicrutą, a czasem lekkim skokiem przesadzał przydrożne rowy jak młody koń, lada chwila gotowy ponieść i zniknąć w gęstwinie.

Parent dopędzał ich stopniowo dysząc ze wzruszenia i ze zmęczenia, gdyż odwykł już od szybkiego marszu. Zrównał się z nimi wreszcie, ale ogarnął go jakiś niewytłumaczony strach, minął ich więc, aby zawrócić i stanąć przed nimi twarzą w twarz.

Szedł z bijącym sercem, czując ich teraz za sobą i powtarzając sobie: „Teraz pora! Odwagi! Odwagi! Teraz pora!”

Obejrzał się. Siedzieli wszyscy troje na trawie w cieniu ogromnego drzewa rozmawiając w dalszym ciągu.

Zdecydował się wreszcie i zawróciwszy szybko zatrzymał się przed nimi. Stojąc na środku drogi odezwał się głosem urywanym, łamiącym się ze wzruszenia:

— To ja! Nie spodziewaliście się mnie zobaczyć, prawda?

Wszyscy troje przypatrywali się temu człowiekowi, który wydawał się im wariatem.

— Myślałby kto — mówił dalej — żeście mnie nie poznali? Przypatrzcie mi się! Jestem Parent, Henryk Parent! Co? Nie spodziewaliście się mnie? Myśleliście, że już po wszystkim i że mnie już nigdy nie zobaczycie? Otóż nie! Spotkaliśmy się. Musimy się rozmówić.

Henryka przerażona ukryła twarz w dłonie szepcząc:

— O mój Boże!



Na widok nieznanomego, który zdawał się grozić jego matce, Jerzy wstał gotów każdej chwili pochwycić go za kołnierz.

Limousin, osłupiały, patrzył wystraszonymi oczami na upiorną zjawę, która chwyciwszy trochę tchu mówiła dalej:

— Teraz się rozmówimy. Teraz na to czas. Oszukaliście mnie, skazaliście mnie na życie galernika i myśleliście, że was nigdy nie złapię!

Młody człowiek wziął go za ramiona:

— Czy pan oszalał? Czego pan chce? Ruszaj pan swoją drogą, bo inaczej oberwiesz pan ode mnie.

Parent odparł:

— Czego ja chcę? Chcę ci powiedzieć, kto są ci państwo.

Jerzy zniecierpliwiony trząśł nim i zamierzał uderzyć go.

— Puść mnie! Jestem twoim ojcem! — zawołał Parent. — Przypatrz się tym niegodziwcom, a zobaczysz, że mnie poznali.

Zdumiony młody człowiek puścił intruza i obrócił się do matki.

Parent, wolny już, zbliżył się do niej.

— No? Powiedz mu, kto ja jestem! Powiedz mu, że się nazywam Henryk Parent, że jestem jego ojcem, ponieważ on się nazywa Jerzy Parent, ponieważ jesteś moją żoną, ponieważ wszyscy troje żyjecie za moje pieniądze, za te dziesięć tysięcy franków, które ci płacę, odkąd wypędziłem cię z domu. Powiedz mu też, za co cię wypędziłem! Za to, że cię złapałem z tym łajdakiem, twoim kochankiem! Powiedz mu, że ja byłem poczciwym człowiekiem, za którego wyszłaś dlatego, że był bogaty, i którego od pierwszej chwili oszukiwałaś. Powiedz mu, kim ja jestem i kim jesteś ty...

Jąkał się, dyszał, gniew go unosił.

Kobieta rozdzierającym głosem krzyknęła:

— Pawle, Pawle, przerwij mu, niech milczy, na litość! Nie pozwól mu mówić takich rzeczy w obecności mojego syna!

Teraz Limousin podniósł się. Wyszeptał bardzo cicho:

— Proszę cię... proszę, bądź cicho. Zrozum, co robisz.

Parent odparł z uniesieniem:

— Wiem dobrze, co robię. Nie dość tego, chcę się jeszcze dowiedzieć jednej rzeczy, która mnie dręczy od przeszło dwudziestu lat.

Po czym zwróciwszy się do Jerzego, który prawie nieprzytomny stał oparty o drzewo, zawołał:

— Słuchaj! Kiedy poszła sobie ode mnie, myślała, że to za mało jeszcze mnie zdradzić, chciała mnie wtrącić w rozpacz. Ty byłeś całą moją pociechą, zabrała cię więc przysięgając, że nie byłem twoim ojcem, ale że twój ojciec to on! Czy kłamała — nie wiem! Pytam się o to sam siebie od dwudziestu lat.

Zbliżył się ku niej pełen tragicznej grozy i odrywając rękę, którą zasłaniała twarz:

— Teraz więc rozkazuję ci! Powiedz mi, który z nas dwóch jest ojcem tego chłopca: on czy ja, mąż czy kochanek. Mów no, mów!

Limousin rzucił się na niego. Parent odepchnął go i zawołał szyderczo, głosem pełnym gniewu:

— Cóż to? Dziś jesteś odważny, odważniejszy niż wtedy, kiedy uciekłeś na schody, żebym cię nie zatłukł. A więc ty mi odpowiedz, skoro ona nie odpowiada... Musisz wiedzieć równie dobrze jak ona. Mówże. Prędzej!

Zwrócił się znowu do żony:

— Jeżeli tego nie chcesz powiedzieć mnie, powiedz przynajmniej synowi. Dziś to już dorosły mężczyzna, ma prawo wiedzieć, kto jest jego ojcem. Ja... ja nie wiem...



nigdy nie wiedziałem... nigdy... nigdy! Nie mogę powiedzieć ci tego, chłopcze...

Tracił przytomność, głos jego nabierał ostrych dźwięków. Machał rękami jak epileptyk.

— Tak! Tak! Powiedz! Nie wie! Założyłbym się, że ona nie wie... Nie wie... Spała z dwoma!... Ha! ha! ha! nikt nie wie... nikt! Któż takie rzeczy może wiedzieć! I ty się tego nie dowiesz, mój chłopcze, nie dowiesz się tak samo jak ja... nigdy! Słuchaj! Spytaj się jej... spytaj... zobaczysz, że i ona nie wie... Ja także nie wiem... i on nie wie... i ty nie wiesz... nikt nie wie! Możesz wybierać... tak... możesz wybierać... jego lub mnie... Wybieraj... Do widzenia!... Już skończyłem... Jeżeli matka powie ci wreszcie, przyjdiesz mi to powiedzieć... Mieszkam w „Continentalu“... przyjdiesz? Miło mi będzie dowiedzieć się... Do widzenia! Bawcie się państwo dobrze...

I gestykując żywo, ciągle mówiąc do siebie szedł w cieniu wysokich drzew, pełnym świeżości i woni wzbierających soków roślinnych. Szedł przed siebie pchany wzburzeniem, które mu opętało umysł.

Nagle znalazł się na dworcu. Pociąg odchodził właśnie. Wsiadł do wagonu. W drodze ochłonął z gniewu, odzyskał przytomność i wrócił do Paryża zdumiony własną śmiałością.

Czuł się zbity i zbolały, jakby mu kto kości połamał. Poszedł jednak do piwiarni.

Ujrzawszy go panna Zoé zapytała zdumiona:

— Już z powrotem? Zmęczył się pan?

Odpowiedział:

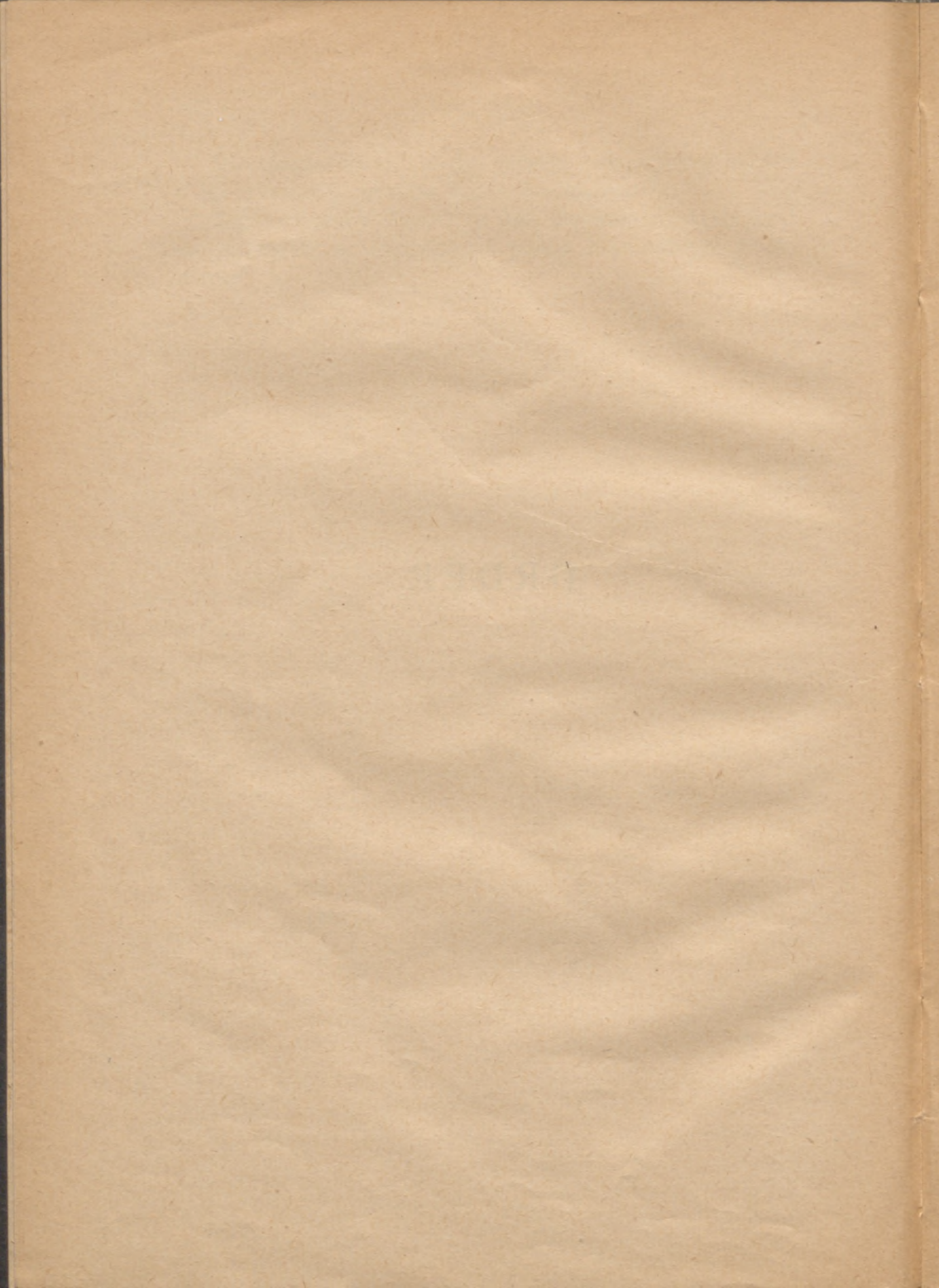
— Tak... Tak... Zmęczyłem się... Bardzo... Pani rozumie... Kiedy się nie jest przyzwyczajonym do wycieczek... Już dosyć... Nie pojedę już nigdy za miasto. Lepiej było tu zostać. Teraz już się nie ruszę z Paryża.

Nie mogła się od niego niczego więcej dowiedzieć o tej wycieczce, chociaż miała wielką ochotę.

Tego wieczoru Parent po raz pierwszy w życiu upił się do utraty przytomności i trzeba było odnieść go do domu.



ORDER





Niektórzy ludzie przychodzą na świat z bardzo wyraźnymi skłonnościami w pewnym kierunku — bywa to powołanie albo po prostu jakaś namiętność objawiająca się już w najwcześniejszym dzieciństwie.

Pan Sacrement miał od najmłodszych lat jedno tylko pragnienie: dostać order. Jako mały chłopiec przypinał sobie krzyże Legii Honorowej z błyszczącej blachy, tak jak inne dzieci stroją się w szabelki i czapki wojskowe. Szedł wtedy dumny trzymając się ręki matki i wypinał pierś, na której widniała czerwona wstążeczka i blaszana gwiazda.

W szkole uczył się marnie i w końcu obciął się przy maturze, a nie wiedząc, co z sobą począć, ożenił się z ładną dziewczyną, ponieważ był dość zamożny.

Żyli jak wszyscy bogaci mieszczenie paryscy; bywali u ludzi swojej sfery, nie robili wysiłków, aby bywać w wielkim świecie, szcycili się znajomością z pewnym deputowanym, który mógł zostać ministrem, i przyjaźnili się z dwoma naczelnikami wydziału.

Jednak myśl, nurtująca pana Sacrement od najwcześniejszych lat życia, nie opuszczała go nigdy; cierpiał też stale, że nie ma prawa wpiąć czerwonej wstążeczki do klapy surduta.

Kiedy spotykał na bulwarach ludzi udekorowanych, krajało mu się serce. Przyglądał im się ukradkiem z gorzycą i zazdrością. Niekiedy, w ciągu długich beczyn-

nych godzin popołudniowych liczył tych szczęśliwców. Mówił sobie:

— Ciekaw jestem, ilu spotkam od kościoła świętej Magdaleny do ulicy Drouot.

Szedł powoli, uważnie przyglądając się butonierkom. Przy końcu trasy za każdym razem dziwił się wielkiej liczbie udekorowanych.

— Ośmiu oficerów i siedmiu kawalerów Legii Honorowej. Ileż tego jest! Czy takie szastanie orderami ma sens? Ciekaw jestem, ilu spotkam wracając.

I wracał tą samą drogą, zrozpaczony, jeśli tłok uliczny przeszkadzał mu w obliczeniach i narażał go na pominięcie jakiegoś orderu.

Wiedział, w których dzielnicach ujrzy ich najwięcej. Ogromną ilość widywał zawsze w Palais Royal. Na avenue de l'Opera było ich mniej niż na rue de la Paix, a po prawej stronie bulwaru więcej niż po lewej.

Tak samo w pewnych kawiarniach i teatrach można ich było więcej naliczyć niż w innych. Ilekroć spotykał grupkę starych siwowłosych mężczyzn stojących na środku chodnika i utrudniających ruch, pan Sacrement mówił do siebie w duchu:

— Oto oficerowie Legii Honorowej! — I miał ochotę uklonić się im.

Oficerowie (jak niejednokrotnie zauważył) mają inny wygląd i inne ruchy niż zwyczajni kawalerowie Legii. Inaczej trzymają głowę. Od razu widać, że są bardziej szanowani i ważniejsi.

Niekiedy znów pan Sacrement unosił się wielkim gniewem. Porywała go wściekłość przeciw posiadaczom orderów. Czuł do nich nienawiść.

W takich chwilach wracał do domu rozdrażniony widokiem tyłu ludzi z orderami doznając uczucia głodnego



nędzarza, który przeszedł przed wystawami wielkich sklepów spożywczych.

I bardzo głośno wypowiadał pytanie:

— Kiedyż nareszcie pozbedziemy się tego idiotycznego rządu?

Żona odpowiadała ze zdumieniem:

— Co ci się dzisiaj stało?

A on wyjaśniał:

— Jestem oburzony niesprawiedliwością, którą widzę na każdym kroku. Ach, komunardzi mieli zupełną rację!

Po kolacji jednak wychodził z domu oglądać wystawy sklepów, gdzie sprzedawano ordery. Wpatrywał się długo w odznaki rozmaitych kształtów i kolorów. Pragnąłby mieć je wszystkie i podczas jakiejś wielkiej uroczystości, w ogromnej sali, w której tłoczyłby się zachwycony tłum, kroczyć na czele orszaku, mieć piersi pokryte orderami jeden obok drugiego — pragnąłby tak kroczyć z cylindrem pod pachą, olśniewający jak gwiazda, budząc szmer podziwu.

Niestety, nie miał żadnych danych, aby ubiegać się o odznaczenie.

Nie sposób zdobyć Legię Honorową nie piastując żadnego urzędu publicznego. Pomyślał kiedyś: — Żeby dostał chociaż palmy akademickie!\*)

Nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać. Zwierzył się żonie, która spojrzała na niego zdziwiona.

— Ty, palmy akademickie? A coś ty takiego zrobił? Uniósł się.

— Zrozum przede wszystkim, co ci chcę powiedzieć. Zastanawiam się właśnie, co trzeba zrobić, żeby je dostać. Jesteś czasami dziwnie głupia.

---

\*) Odznaczenie przyznawane uczonym, pisarzom, artystom i zasłużonym nauczycielom (przp. tłum.)

Uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście, masz rację. Ale nie wiem, co ci poradzić w tej sprawie.

Nagle wpadł na pomysł:

— A gdybyś tak pomówiła z deputowanym Rosselin? On mógłby dać mi dobrą radę. Ja sam nie mogę zacząć z nim rozmowy na ten temat. To kwestia bardzo delikatna i trudna. Jeżeli ty zaczniesz, to będzie brzmiało zupełnie naturalnie.

Pani Sacrement uczyniła zadość życzeniu męża. Pan Rosselin przyrzekł, że pomówi z ministrem. Wówczas pan Sacrement zaczął go zamęczać swoją sprawą. Deputowany poradził mu wreszcie, aby wniósł podanie wymieniając zasługi, na podstawie których prosi o odznaczenie. Zasługi? Nie miał żadnych. Nie zdołał nawet skończyć szkoły średniej.

Zabrał się jednak do pracy i zaczął pisać broszurę pod tytułem: „Prawo ludu do wykształcenia“. Nie mógł jej wszakże dokończyć, ponieważ nie wiedział, co pisać.

Zaczął szukać łatwiejszych tematów i kolejno rozpoczynał coraz to inną pracę.

Najpierw napisał: „O wychowaniu dzieci przy pomocy wzroku“. Domagał się w tej pracy, aby w ubogich dzielnicach zakładano bezpłatne teatry dla dzieci. Rodzice prowadziliby tam dzieci od najmłodszych lat. Na scenie uczono by wiadomości z rozmaitych dziedzin przy pomocy latarni magicznej. Byłyby to rodzaj szkoły. Za pomocą wzroku kształcono by mózg, a obrazy oglądane na ekranie łatwo utrwałyby się w pamięci, czyniąc w ten sposób wiedzę niejako przedmiotem widzialnym.

Cóż prostszego, jak uczyć w ten sposób historii, geografii, zoologii, botaniki, anatomii itd.?



Ogłosił drukiem tę pracę i przesłał każdemu z deputowanych po egzemplarzu, do każdego ministerstwa po dziesięć egzemplarzy, prezydentowi republiki pięćdziesiąt egzemplarzy, każdemu z dzienników paryskich po dziesięć, a pismom prowincjonalnym po pięć egzemplarzy.

Następnie zajął się sprawą bibliotek ulicznych, żądając, aby państwo stworzyło nowy rodzaj wypożyczalni urządzonych w ten sposób, że po ulicach krążyłyby wózki z książkami, zupełnie tak samo jak wózki z pomarańczami. Każdy mieszkaniec miałby prawo wypożyczenia miesięcznie dziesięciu książek za opłatą pięciu centymów.

„Lud szuka tylko rozrywek — pisał pan Sacrement. — Lud nie idzie do nauki, więc nauka powinna iść do ludu itd.“

Jego broszury nie wywołały żadnego echa. Mimo to pan Sacrement napisał do ministra. Otrzymał odpowiedź, że jego projekt będzie przestudiowany. Teraz był pewny powodzenia i czekał. Nic jednak nie nastąpiło.

Wówczas postanowił rozpocząć starania osobiście. Poprosił ministra oświaty o audiencję. Przyjął go urzędnik gabinetu ministra, człowiek młody, ale wyglądający bardzo poważnie. Podczas rozmowy przyciskał jak klawisze fortepianu szereg białych guzików na małej tablicy i wzywał woźnych oraz podwładnych urzędników. Pana Sacrement zapewnił, że jego sprawa jest na dobrej drodze i radził mu, aby kontynuował swe cenne publikacje.

Pan Sacrement zabrał się znowu do pracy.

Deputowany Rosselin zajmował się teraz bardzo gorliwie jego sprawą, udzielając mu mnóstwa doskonałych rad. Sam zresztą miał już order Legii Honorowej i nikt nie wiedział, za co go dostał.

Radził panu Sacrement, jakie zagadnienia ma przestudiować, na co zwrócić specjalną uwagę. Wprowadził

go do różnych towarzystw naukowych, które zajmowały się zawiłymi problemami, traktując to jako drogę do zaszczytów. Co więcej, zaczął go nawet protegować w ministerstwie.

Pewnego dnia deputowany przyszedł do swego przyjaciela na obiad (od kilku miesięcy często jadał u Sacrementów) i ściskając mu rękę rzekł półgłosem:

— Wystarałem się dla pana o wielkie wyróżnienie. Towarzystwo historyczne powierzy panu bardzo ważną pracę. Chodzi mianowicie o przeprowadzenie bardzo doniosłych badań w rozmaitych bibliotekach francuskich.

Sacrement nieprzytomny ze szczęścia nie mógł jeść ani pić przez cały obiad. W tydzień później wyjechał.

Wędrował z miasta do miasta wertując katalogi, przeglądając stare, zakurzone foliały, ściągając na siebie nienawiść bibliotekarzy.

Pewnego wieczoru, będąc w Rouen, zapragnął uściśnić żonę, której nie widział już od tygodnia. Wsiadł w pociąg odchodzący o dziewiątej wieczorem, aby o północy być w domu.

Miał przy sobie klucz do mieszkania, więc cicho otworzył drzwi, zadowolony, że sprawi żonie niespodziankę.

Tymczasem drzwi od jej pokoju były zamknięte. To mu popsulo radość — niespodzianka nie udała się. Zawałał więc:

— Żanetko, otwórz! To ja!

Widocznie przestraszyła się, gdyż słyszał, jak wyskoczyła z łóżka i mówiła sama do siebie. Następnie pobiegła do umywalni, otworzyła i zamknęła drzwi od niej, kilka razy przebiegła bosą przez sypialnię, potrącając meble tak silnie, że stojące na nich szkło zadzwieczało.

Wreszcie zapytała:

— Aleksandrze, czy to ty naprawdę?

Odpowiedział:



— Ależ rozumie się. To ja. Otwórz wreszcie drzwi. Drzwi się otwarły, a żona padła mu w objęcia, wołając urywanym głosem:

— Ach, jak się przeraziłam! Tak się cieszę! Jaka niespodzianka!

Zaczął się rozbierać powoli, systematycznie, jak zwykł czynić wszystko. Wziął palto z krzesła, aby je, jak zwykle, powiesić w przedpokoju.

Nagle skamieniał. W butonierce palta widniała czerwona wstążeczka!

Wyjąkał:

— Wstą...żeczka... Legii Honorowej!...

Wówczas żona jednym susem skoczyła ku niemu i wyrwała mu z ręki palto, wołając:

— Ależ nie... nie... Mylisz się... Pokaż no...

On jednak trzymał palto za rękaw i nie wypuszczając go mamrotał, jak nieprzytomny:

— Co?... Dlaczego?... Wytlumacz mi!... Jakie to palto?... To nie moje, bo w butonierce jest wstążeczka Legii Honorowej!

Chciała mu przemocą wyrwać palto szepcząc w przerażeniu:

— Posłuchaj... posłuchaj... Oddaj mi to... Nie mogę ci powiedzieć... to tajemnica... posłuchaj...

Ale on rozgniewał się i błędnie krzyknął:

— Chcę wiedzieć, skąd się tu wzięło to palto. To nie moje!

Wtedy ona zawołała:

— Tak... tak... tylko nic nie mów! Przysięgnij mi... Posłuchaj... A więc tak... Rzeczywiście... Dostałeś order!...

Wzruszenie jego było tak silne, że padł na fotel wypuszczając z rąk palto.

— Ja... ja... dostałem order...!

— Tak... tak... Ale to jeszcze tajemnica, wielka tajemnica — szeptała.

Otworzyła szafę, zawiesiła w niej palto i zwróciła się do męża cała drżąca i blada.

— Tak, to jest nowe palto, które umyślnie kazałem zrobić dla ciebie. Musiałam jednak przysiąc, że ci o tym nie powiem. Oficjalnie masz się dowiedzieć dopiero za miesiąc lub nawet za sześć tygodni. Przedtem musisz skończyć pracę, którą ci powierzono. To pan Rosselin wystarał się o ten order...

Sacrement, omdlały ze wzruszenia, szeptał:

— Rosselin... Order... Wystarał się... To on... Och!... Musiał wypić szklanek zimnej wody.

Na podłodze leżała biała karteczka. Wypadła z kieszeni palta. Podniósł ją. Był to bilet wizytowy. Sacrement przeczytał: „Rosselin, deputowany“.

Żona zawołała:

— A widzisz!

Rozplakał się ze szczęścia.

W tydzień później Dziennik Urzędowy ogłosił, że pan Sacrement został mianowany kawalerem Legii Honorowej za szczególne zasługi.



## SPIS RZECZY

WŁOCZĘGA . . . . .	5
NA WSI . . . . .	23
PCHŁA . . . . .	33
DIABEL . . . . .	45
WYCIECZKA NA WIES . . . . .	57
RYBY . . . . .	75
JEŃCY . . . . .	85
PANNA FIFI . . . . .	101
POJEDYNEK . . . . .	119
PAN PARENT . . . . .	129
ORDER . . . . .	179



74824  
74824



— Tak... tak... Ale to jeszcze tajemnica, wielka tajemnica — szeptała.

Otworzyła szafę, zawiesiła w niej palto i zwróciła się do męża cała drżąca i blada.

— Tak, to jest nowe palto, które umyślnie kazałem zrobić dla ciebie. Musiałam jednak przysiąc, że ci o tym nie powiem. Oficjalnie masz się dowiedzieć dopiero za miesiąc lub nawet za sześć tygodni. Przedtem musisz skończyć pracę, którą ci powierzono. To pan Rosselin wystarał się o ten order...

Sacrement, omdlały ze wzruszenia, szeptał:

— Rosselin... Order... Wystarał się... To on... Och!... Musiał wypić szklanek zimnej wody.

Na podłodze leżała biała karteczka. Wypadła z kieszeni palta. Podniósł ją. Był to bilet wizytowy. Sacrement przeczytał: „Rosselin, deputowany“.

Żona zawołała:

— A widzisz!

Rozplakał się ze szczęścia.

W tydzień później Dziennik Urzędowy ogłosił, że pan Sacrement został mianowany kawalerem Legii Honorowej za szczególne zasługi.

## SPIS RZECZY

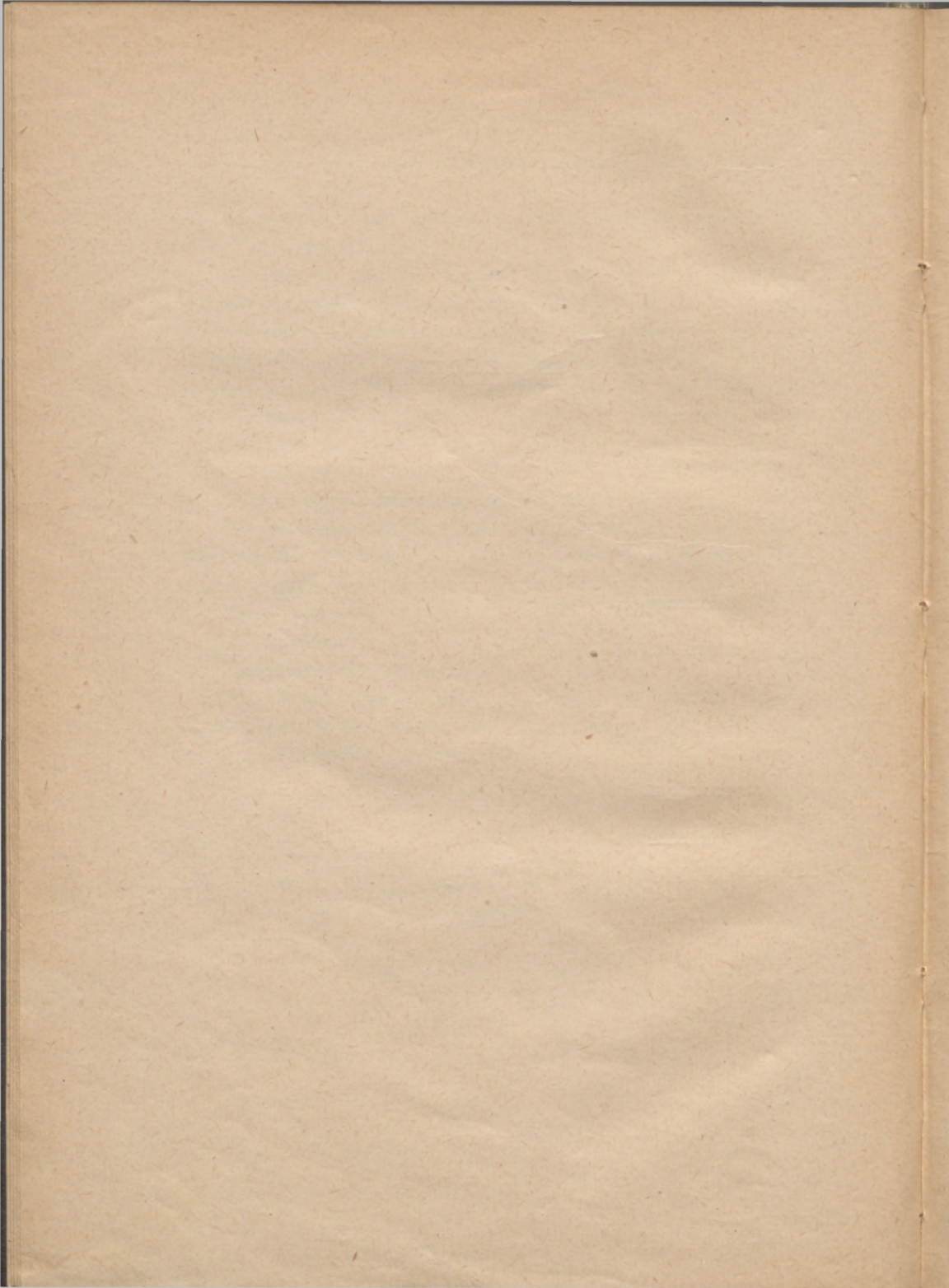
WŁOCZĘGA . . . . .	5
NA WSI . . . . .	23
PCHEŁA . . . . .	33
DIABEL . . . . .	45
WYCIECZKA NA WIES . . . . .	
RYBY . . . . .	
JENCY . . . . .	
PANNA FIFI . . . . .	
POJEDYNEK . . . . .	
PAN PARENT . . . . .	
ORDER . . . . .	

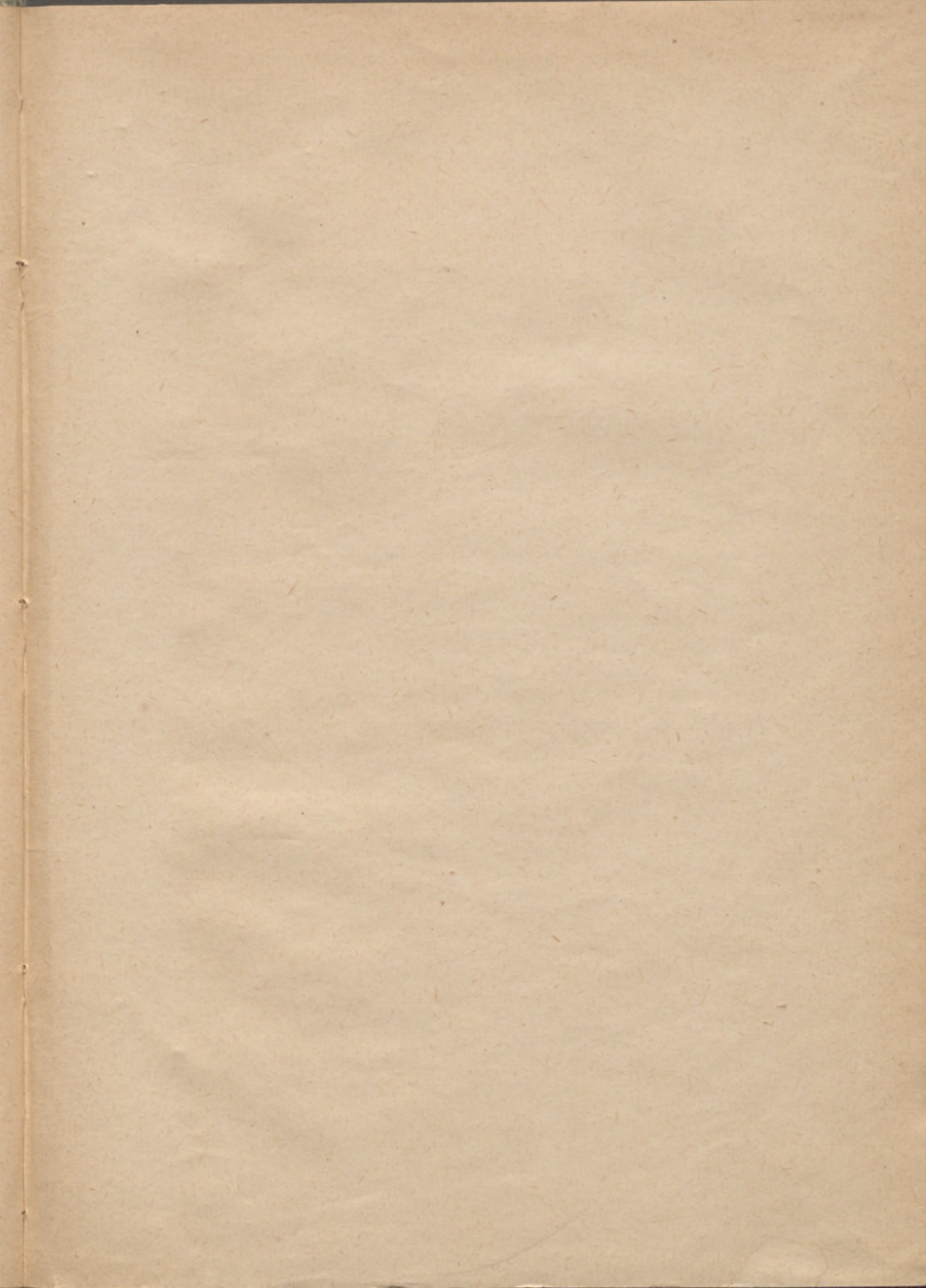


7482  
2482











Biblioteka Główna UMK



300047477580